

NOWA POWIEŚĆ AUTORA KSIĄŻKI „DOM NA WYRĘBACH”,
NOMINOWANEJ DO NAGRODY FANDOMU POLSKIEGO I DO NAGRODY SFINKS 2008

STEFAN

DARDA

Czarny Wygon

POWIEŚĆ GROZY



STARZYŻNA

VIDEOGRAF II

Drugą część powieści o przekiętej wiosce na Roztoczu:

Czarny Wygon STARZYNA

„Już po raz trzeci Stefan Darda zaprasza nas na mroczną i magiczną Lubelszczyznę. Roztocze w Jego powieściach to kraina dzika i śmiertelnie niebezpieczna dla każdego mieszczaucha racjonalisty. Bohaterowie muszą jednak podjąć walkę. Zmierzyć się z własnym lękiem i podjąć kolejną próbę rozwikłania zagadki Starzyny i Czarnego Wygonu.”

Andrzej Pilipiuk

„Jeśli czytaliście *Słoneczną Dolinę*, nie potrzeba Wam dalszej zachęty, by sięgnąć po najnowszą, niedoczekiwaną powieść autora najlepszych rodzimych horrorów. Czy dane nam będzie do końca odkryć sekret przekiętej wioski i rozplątać losy jej mieszkańców? Tego nie zdradzę, ale jedno jest pewne – zarówno miłośnicy twórczości pisarza, jak i nowi czytelnicy, nie zawiodą się! Bo historia jest mroczna i pełna dramatyzmu, a zarazem ujmującej poetyki dnia codziennego – znaku rozpoznawczego Stefana Dardy. Zaciągnijcie więc o zmierzchu zasłony i zapalcie świecę. Ledwie rozłożycie okładki, znów rozlegną się dzwony. Przed Wami noc pełna wrażeń...”

Piotr Michałik – redaktor naczelny kwartalnika „Qlant”

Stefan Darda – urodził się w 1972 r. w Tomaszowie Lubelskim na Roztoczu. W czasie studiów na UMCS w Lublinie pracował w akademickich klubach turystycznych. Był także muzykiem folkowego zespołu „Orkiestra pod wezwaniem Świętego Mikołaja”. W 2008 roku zadebiutował powieścią *Dom na wyrębach*, która została nominowana do Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla oraz do Nagrody Słynks 2008.

Zdobyła również tytuł Najlepszej Książki na Lato w plebiscycie portalu literackiego Granice.

Wcześniejsze losy bohaterów powieści „Czarny Wygon” znajdują Państwo w książce:



GILDIA.PL

kawerna.pl

Boon

GRABARZ.NET

QANT

PARADOKS

Patronat medialny



Cena 29,90 zł!

STEFAN

DARDA

Czarny Wygon

STARZYŻNA



VIDEOGRAF II
Katowice

Redakcja i korekta

Jadwiga Kwiecień

Projekt okładki

Marek J. Piwko {mjp}

Ilustracja na okładce

Dariusz Kocurek

Redakcja techniczna, skład i łamanie

Grzegorz Bociek

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest w tej książce niezamierzone i przypadkowe.

Wydanie I, listopad 2010

Wydawca: Videograf II Sp, z o.o.

41-500 Chorzów,

Aleja Harcerska 3c

tel. 32-348-31-33, 32-348-31-35 fax 32-348-31-25

office@videograf.pl www.videograf.pl

Dystrybucja: DICTUM Sp, z o.o.

01-942 Warszawa,

ul. Kabaretowa 21

tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12

dystrybucja@dictum.pl www.dictum.pl

© Copyright by Videograf II Sp, z o.o.,

Chorzów 2010 © Copyright by Stefan Darda

ISBN 978-83-7183-862-0

Druk i oprawa:

Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

www.opolgraf.com.pl

*Tylko trudne chwile powiedzą ci,
kim tak naprawdę jesteś.*

Franciszek Gielmuda

Przedmowa

Każdy miesiąc przynosi nowe znajomości, jest sprawcą wzajemnego stykania się ludzkich ścieżek. To fantastyczne, że niektóre szlaki w ten właśnie magiczny i niewytłumaczalny sposób łączą się, by potem już nie mieć ochoty na ucieczkę ku własnym celom.

Zdarzają się też szczęściarze, mający u swego boku przyjazną duszę już od pierwszego kroku postawionego na własnej drodze.

Należę do takich szczęściarzy.

Nie ma małych przyjaźni. Każda z nich jest wspaniała, niepowtarzalna, niedająca się zamienić na cokolwiek innego. Cieszę się jednak, że dane mi było posmakować także przyjaźni zbudowanej na najbliższych więzach krwi i każdemu życzylibym, by spotkało go coś podobnego.

Pierwszego spotkania z moją Siostrą, Urszulą, nie mogę pamiętać. Pamiętam za to doskonale całe dziesięciolecie spędzone w przeświadczeniu, że jest ktoś, na kogo zawsze można liczyć, ktoś, kto sprawia, że świat wydaje się lepszy, bardziej przyjazny i łatwiejszy. Ktoś mądry, dobry i niezwykle wrażliwy.

Pamiętam też i ciągle czuję ból ostatnich lat. W połowie roku dwa tysiące czwartego świat mojej Siostry i jej Synów zachwiał się w posiadach. Wszyscy wiemy, że nigdy nie będzie tak, jak przedtem.

Ale też nie chcę zapomnieć tego, co było później. Jestem szczęśliwy, że jestem bratem kogoś tak niesłychanie dzielnego,

kogoś, kto potrafił stawić czoła okrutnemu losowi i złapać go za gardło, gdy była taka potrzeba.

Nie wiem, czy ja dałbym radę.

Tym bardziej jestem dumny i szczęśliwy, że mogę być blisko kogoś takiego.

Moja droga Ulu!

Dedykuję Tobie tę książkę i mam nadzieję, że jej lektura sprawi Ci przynajmniej trochę przyjemności.

Dziękuję za to, że jesteś, i dziękuję za to, że zawsze ze mną byłaś.

I proszę o jeszcze...

Podziękowania

Składam gorące podziękowania osobom, które przyczyniły się do powstania tej książki. Zarówno tym, pomagającym mi w jej redakcji, jak również tym, które dobrym słowem motywowały mnie do jej rozpoczęcia i ukończenia.

Raz jeszcze dziękuję, Jacku, za wycieczkę do Słonecznej. Tobie i Tobie, Mariuszu, za to, że jesteście ze mną każdego roku w Zwierzyńcu. Pamiętacie zapewne, że tam właśnie, podczas skąpanej w ulewnym deszczu, gorącej, pachnącej lipami, czerwcowej nocy, zrodził się pomysł na tytuł cyklu? Bez Was by go nie było.

Dziękuję też Tobie, Drogi Czytelniku. Skoro trzymasz w dłoniach tę książkę, to zapewne sięgnąłeś także wcześniej po „Słoneczną Dolinę”. Być może jesteś jedną z osób, które pytały mnie o datę wydania „Starzyzny”? Oto jest. Oddaję ją pod Twoją ocenę z obawą i nadzieją...

Byłbym szczęśliwy, gdyby nie zawiodła Twoich oczekiwań i chociażby na chwilę pozwoliła zapomnieć o tym, czego nie masz ochoty pamiętać.

S.D.

Mojej Siostrze, Urszuli

Prolog

Nawrot wyłączył silnik i odetchnął. Przez chwilę nie widział nic poza ciemnością i słyszał tylko dzwonienie w uszach, spowodowane nagłą ciszą w aucie. Zamknął oczy i rozsiadł się wygodnie w fotelu swojego fiata punto. Do północy było jeszcze sporo czasu.

Ruszył w drogę bezpośrednio po pracy, by mieć pewność, że zdąży dojechać bez stresującego pośpiechu. Na dodatek krajowa siedemnastka zaraz za rogatkami Warszawy zrobiła się nadspodziewanie pusta, więc jeszcze przed Zamościem mógł zatrzymać się na dłuższy odpoczynek. Gorąca herbata i marynowane śledzie z razowym chlebem sprawiły, że nabrał sił do dalszej jazdy. Zresztą, od tego postoju miał już przecież całkiem niedaleko.

Tak jak rok wcześniej przejechał przez Zwierzyniec, nie widząc w miasteczku żywego ducha. Zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie znów przebywa tę drogę na próżno, lecz nie potrafił inaczej. Nie dałby rady siedzieć w Wielki Piątek w swoim warszawskim mieszkaniu. Mijając Obrocz zadał sobie pytanie: „Jak długo jeszcze?” Nie potrafił odpowiedzieć ze stuprocentową pewnością, ale sądził, że jeszcze bardzo, bardzo

długo. Może nawet do końca życia będzie przemierzał tę trasę właśnie w ten wyjątkowy dzień. To wszystko wydawało się kompletnie irracjonalne, lecz czuł coś w rodzaju obowiązku wobec Witka. Zresztą, i tak nie miał już z kim spędzać Wielkanocy.

Dzień, w którym Magda zginęła w płonącym samochodzie, wydawał się tak odległy, jak gdyby to zdarzenie miało miejsce w innym życiu, w całkowicie odmiennej rzeczywistości. Adam myślał o wypadku wiele razy, niemal nieustannie, jednak i tak śmierć żony niknęła w mglistej przeszłości. Wspomnienie tego zdarzenia wróciło na chwilę z całą mocą, gdy dowiedział się, kto był sprawcą tragedii, by później znów ukryć się w zakamarkach niepamięci.

Śmierć matki stała się kolejną traumą, z którą nie potrafił sobie poradzić.

Odeszła wieczorem, drugiego kwietnia dwa tysiące piątego roku, a więc prawie dokładnie w chwili, gdy umarł Jan Paweł II. Nawrot miał nadzieję, że w dalszą drogę ruszyli razem. Właściwie był tego pewien i tylko to stanowiło swego rodzaju niewielkie pocieszenie.

Wyjeżdżając z Krasnobrodu w końcu kwietnia dwa lata wcześniej, był przekonany, że wróci najwyżej za kilka dni, by spotkać się z Gielmudą. Sprawy związane z pogrzebem, a później brak chęci do czegokolwiek sprawiły, że wybrał się na Roztocze dopiero po połowie maja.

Pamiętał to dokładnie. Drzwi znów otworzyła mu matka Rafała.

— Przykro mi — rzekła, gdy o niego zapytał. — Wyjechał z córką i prosił, by nikomu nie przekazywać dokąd...

— Do Gorzowa? — zapytał wtedy Nawrot.

Doskonale pamiętał zaskoczenie malujące się w oczach kobiety.

— Tak, ale nie mogę powiedzieć nic więcej. Do widzenia panu.

Zamknęła drzwi, nim zdążył zapytać o cokolwiek więcej. Stał przez chwilę, zastanawiając się, czy nie zadzwonić ponownie, lecz ostatecznie dał spokój. W końcu, jakie to mogło mieć wtedy znaczenie? Witek i tak zniknął, a po lekturze tego, co napisał, można było się domyślić, gdzie przebywa.

Panującą wokół samochodu ciszę gwałtownie przerwał głośny dźwięk. Coś z hukiem uderzyło o dach auta, a Adam, wyrwany nagle z rozmyślań, drgnął w fotelu i rozejrzał się przestraszony.

Nie zwrócił wcześniej uwagi, że za szybami wzmagały się porywy wiatru. Przyzwyczajone już do ciemności oczy zarejestrowały świetliste plamy przesuwające się po leśnej drodze; księżyc tuż po pełni świecił jasno, skrywając się od czasu do czasu za pędzącymi po niebie chmurami, których cienie ślizgały się bezszelestnie po obłym kształcie samochodu. Wyraźnie widoczne za szybą kontury drzew zdawały się ruszać do gwałtownego tańca.

„To tylko spadająca gałąź” — pomyślał, uspokajając oddech.

Opuścił szybę po stronie pasażera i poczuł na twarzy ciepłe, wilgotne uderzenie powietrza. Był szósty kwietnia dwa tysiące siódmego roku. Wiosna zbliżała się wielkimi krokami. Podobnie jak wielkopiątkowa północ.

Prawie rok wcześniej, czternastego kwietnia, też czekał w tym samym miejscu i wtedy nie wydarzyło się absolutnie nic. Nawrot nie miał zbyt wielkich nadziei, że tym razem będzie inaczej. Znów przymknął powieki.

Książka *Czarny Wygon* została wydrukowana i trafiła do księgarń w czerwcu ubiegłego roku. Adam długo bił się z myślami, czy w ogóle jest sens, by publikować przekazane mu notatki Witka. Cała sprawa wydawała się dość absurdalna, ale przecież jednak przyjaciel go o to poprosił, w dodatku zostawiając pieniądze na całe przedsięwzięcie. Wreszcie Nawrot stwierdził, że jeśli jego przyjaciel nie wróci w Wielki

Piątek dwa tysiące szóstego roku, to książka zostanie wydana niedługo potem.

Nakład nie był imponujący — ledwie półtora tysiąca egzemplarzy. Sprzedawało się to w miarę przyzwoicie, a co za tym idzie, sporo osób dowiedziało się o Starzyźnie. Internetowe wpisy na temat publikacji z uznaniem odnosiły się do wybujałej wyobraźni autora.

Adam był przekonany, że to nie była fikcja. Tym bardziej gryźł się, że książka za jego przyczyną nie pojawiła się wcześniej. Zdawał sobie sprawę, że przecież to opóźnienie mogło pogrozić Witka...

Teraz już nic nie mógł na to poradzić. Mógł co najwyżej w każdy kolejny Wielki Piątek czekać na drodze, prowadzącej z Guciowa do Słonecznej Doliny.

Zmęczenie dawało znać o sobie. Cały dzień w pracy i około trzystu kilometrów podróży sprawiły, że Nawrot rozpoczął walkę z sennością. Dobiegający z zewnątrz szum kołyszających się drzew nie ułatwiał zadania. Do północy była jeszcze prawie godzina, więc wreszcie uległ pokusie i postanowił chwilę się zdrzemnąć. Pomyślał, że dobrze byłoby nastawić alarm w komórce na dwudziestą trzecią pięćdziesiąt, lecz zanim zdążył to zrobić, zapadł w głęboki sen.

Tuż przed pierwszą naprzeciw maski auta stanął lekko przygarbiony mężczyzna. Nawet gdyby Adam w tej chwili się obudził, nie zobaczyłby jego twarzy; tarcza księżycy znajdowała się dokładnie na wprost przedniej szyby samochodu. Nawrot jednak spał, cicho pochrapując, nie mając pojęcia, że ktoś natarczywie mu się przygląda.

Wiatr nieco ustał i ciszę mąciły jedynie dobiegające gdzieś z oddali krzyki nocnych ptaków.

Mężczyzna ruszył w kierunku samochodu i nachylił się nad szybą, by dokładnie przyjrzeć się śpiącemu, po czym przeszedł na drugą stronę i spod pachy wyjął niewielkie, płaskie zawiniątko. Jeszcze przez jakiś czas stał, jakby się wahając,

w końcu jednak włożył pakunek do środka przez uchylone okno, starając się nie obudzić śpiącego. Położył przedmiot na siedzeniu pasażera i cofnął się o kilka kroków. Zaraz potem, uważnie stawiając kroki, ruszył w gęstwinę, która przed chwilą znajdowała się za jego plecami. Każdy, kto choć trochę znał te okolice, wiedziałby, że nocny wędrowiec skierował się w kierunku Czarnego Wygonu.

Z oddali dobiegło jeszcze stłumione trzaśnięcie nadepniętej gałęzi, lecz dźwięk był zbyt cichy, by przerwać Adamowi sen.

Ocknął się, gdy zaczynało już dzień. Było mu zimno, więc natychmiast sięgnął do drzwi po przeciwległej stronie samochodu, żeby zamknąć okno. Niedługo potem niecierpliwymi ruchami wydobył płaski przedmiot z osłaniającego go materiału. Oczom Adama ukazał się brulion, dokładnie taki sam, jak ten dostarczony do Warszawy przez Gielmudę pod koniec marca dwa tysiące piątego roku.

Najpierw obejrzał go ze wszystkich stron, jakby obawiając się zajrzeć do środka, w końcu jednak przekartkował jego zawartość, a następnie otworzył na pierwszej stronie. Zanim zagłębił się w lekturze, rozejrzał się jeszcze wokół, nie dostrzegając niczego niepokojącego. Pokręcił z niedowierzaniem głową i włączył silnik, podkrecając maksymalnie ogrzewanie.

Zaraz potem cały świat przestał dla niego istnieć.

Rozdział pierwszy

1.

Spojrzałem na zegarek i okazało się, że Wielki Piątek dwa tysiące piątego roku rozpoczął się prawie półtorej godziny wcześniej. Nie mogłem w to uwierzyć, więc sprawdziłem ponownie. Wskazówki nie pozostawiały wątpliwości — była pierwsza dwadzieścia siedem.

Czas pędził na złamanie karku, przybliżając mnie nieuchronnie do poranka i tego, co postanowiłem. Tyle że z każdą chwilą miałem coraz więcej wątpliwości.

„Na szczęście nic mu jeszcze nie powiedziałem i wcale nie muszę tego robić” — przeszło mi przez myśl.

Panujące wokół ciemności i absolutna cisza sprawiały, że wyobraźnia mogła pracować na najwyższych obrotach. Jej oczyma zobaczyłem zagubioną pośród czasu i przestrzeni wieś, zamieszkaną przez ludzi od dziesięcioleci oczekujących z wyęsknieniem tego, aby minuty znów zaczęły bezlitośnie przybliżać ich do śmierci. To ponure miejsce, niepamiętające już słonecznego światła, otoczone było bezkresnymi połaciami lasów, w których czaiły się upiorne postacie wisielców, pozostających w zawieszeniu pomiędzy światem żywych i umarłych, czyhających tylko na to, aby kolejnych nieszczęśników nakłonić do

powiększenia grona potępionych na wieki.

„Wcale nie muszę” — znów zapewniłem samego siebie.

Zamknąłem oczy i zobaczyłem, jak ktoś z trudem wysiada z białego samochodu, stojącego na skraju Słonecznej Doliny. Pomimo nocy widziałem tego człowieka bardzo dokładnie. Lekko przygarbiony, ponad pięćdziesięcioletni mężczyzna, wyraźnie kuśtykając, ruszył w kierunku majaczących w oddali domostw. Nie był sam. Krok w krok towarzyszyła mu zakapturzona postać ubrana w coś, co z oddali wyglądało na zakonny habit.

Drgnąłem i rozejrzałem się wokół. Wizja była tak wyrazista, że zacząłem mieć wątpliwości, czy to nie był sen. Zegarek pokazywał pierwszą trzydzieści, więc nawet jeśli zasnąłem, to ledwie na chwilę.

Półsennie obrazy przedstawiały scenę, która miała się ziszczyć nie dalej, jak za niecałą dobę. Nie wiedziałem, czy obok kulejącego mężczyzny rzeczywiście pojawi się postać w kapturze, wiedziałem natomiast jedno: mężczyzna znajdzie się w Starzyźnie na własne życzenie, próbując ratować małą dziewczynkę — córkę kogoś, kogo jeszcze kilka tygodni wcześniej nawet nie znał. Miał ryzykować życiem i tym, że nigdy już nie wróci do świata, w którym się wychował i w którym zamierzał dopełnić swoich dni. Nazywał się Witold Uchmann.

Tak samo jak ja.

Byłem żalonym tchórzem i doskonale zdawałem sobie z tego sprawę. Tyle że zupełnie nie było mi wstyd.

W pewien sposób otuchy w tej sytuacji dodawała mi świadomość, że niewielu ludzi, będąc na moim miejscu, czułoby coś innego. Co więcej, jakkolwiek absurdalnie jawiło się to w myślach, miałem wrażenie, że i tak zrobiłem wiele. Zdecydowałem o próbie pomocy i przedsięwziąłem pierwsze kroki, zmierzające do realizacji zamierzonego czynu. Zważywszy na okoliczności, to przecież było nie byle co.

Oparłem głowę na lewym nadgarstku, przez co słyszałem cichutkie tykanie sekundnika w moim staromodnym „Timexie”. Od momentu położenia się do łóżka, wciąż byłem przeświadczony o tym, że to zrobię, że wkrótce rzucę na szalę wszystko, co mam, by pomóc Rafałowi, jednak wystarczyła mroczna wizja i kilka godzin spędzonych w ciemnościach, bym całkowicie zmienił swoją decyzję. To było ponad moje siły. Egoista, w ostatnich dniach drzemiący pod grubą warstwą wspaniałomyślności, wziął górę i przepędził precz zacnego i wielkodusznego Witolda Uchmanna.

— I bardzo dobrze, że to zrobił — szepnąłem. — Mało brakowało, a nie byłoby już odwrotu...

Spłynęło na mnie poczucie ogromnej ulgi. Zdecydowanie łatwiej było być przestraszonym, dbającym tylko o własną skórę redaktorem średnio poczytnego czasopisma, który najlepiej się czuł, gdy opisywał historie stukniętych staruszek, słyszających „jakieś dziwne szuranie”.

Zacząłem wreszcie zasypiać. Pełni spokoju sumienia dopełnił fakt, że podczas nieobecności Rafała (czyli być może do końca życia) będę się opiekował jego małą córeczką, opłacę jakąś dobrą szkołę. Mogę też pomóc w inny sposób... Nie bardzo wiedziałem, w jaki, jednak rozważanie tego problemu przebrał mi...

Czułem się dziwnie, siedząc na kolanach tego człowieka, on jednak lewą ręką przytrzymywał mnie dość mocno na wysokości klatki piersiowej, więc nie miałem wyboru. Od czasu do czasu miarowo poruszał nogą, sprawiając, że delikatnie podskakiwałem. Czułem na twarzy jego ciepły oddech, pachnący dymem papierosowym, jednak — o dziwo — nie odczuwałem dyskomfortu. Powiedziałbym nawet, że było przyjemnie i bezpiecznie.

Spojrzałem w dół.

Na nogach miałem krótkie spodenki, a moje małe stopy obute były w staromodne, dziecięce sandałki. Gdy wyciągnąłem przed siebie ramiona, zobaczyłem pulchne rączki i piąstki,

które chwilę potem zostały przykryte sękatą, pokrytą wątrobowymi plamami dłonią.

Widziałem już gdzieś podobną scenę, miałem ochotę odwrócić się i sprawdzić, kto jest tajemniczym starcem, lecz siedziałem cicho. Bałem się, że cała ta magia może nagle prysnąć.

— Mówiłem ci już, Wituś, że czas to wariat?

— Tak, dziadku — odrzekłem piskliwym głosem i w tej samej chwili zorientowałem się, na czyich kolanach siedzę. — Mówiłeś, że stary i zwariowany — dodałem.

— Racja, smyku — pradziadek Gielmudy poruszył się lekko. — Dobrze, że mnie słuchasz. I powiem ci jeszcze jedno...

— Tak, dziadku...? — zawiesiłem głos, stawiając na końcu znak zapytania.

— To wcale nie jest takie złe.

Po chwili milczenia dodał:

— Różne mnie losy w życiu spotkały, ale śmierć wcale nie była najgorszą z nich...

Poczułem, jak skóra cierpnie mi na karku, a dziecięce mięśnie prężą się, jakbym szykował się do ucieczki. Doskonale to wyczuł, bo w tej samej sekundzie przycisnął mnie mocniej do siebie.

— Nie bój się — powiedział cicho. — Dlaczego się boisz?

— Nie wiem, dziadku...

— Widzisz, Wituś, nie powinieneś się bać zmarłych. Oni już wszyscy są tam, skąd dzisiaj do ciebie przyszedłem, i wiesz co? Wcale nie mają ochoty tutaj wracać.

— Jesteś duchem?

Zastanowił się i odparł:

— Sam nie wiem. Pewnie tak.

— Ale ja się boję duchów, dziadku. — W tej chwili nie miałem już ochoty się obejrzeć. Oczyma wyobraźni widziałem potworną, zdeformowaną twarz zmarłego przed laty starca.

— Niepotrzebnie, zupełnie niepotrzebnie... — powiedział cicho. — Gorszi są inni... Ci, którzy nie całkiem jeszcze umarli.

— Tacy, jak ci, co się powiesili w Starzyźnie? — Sam się zdziwiłem, że zadałem to pytanie.

— Tak, smyku. Oni są bardzo źli i niebezpieczni. Ale wiesz kogo powinieneś się jeszcze bać przynajmniej tak samo, jak ich?

Nie znałem odpowiedzi, więc nie odezwałem się ani słowem.

— Tylko trudne chwile powiedzą ci, kim tak naprawdę jesteś. Powinieneś się więc bać samego siebie... Rozumiesz, co mam na myśli?

— Tak, dziadku — przytaknąłem skwapliwie, tak naprawdę nie mając zielonego pojęcia, o co mu chodzi.

— To dobrze — rzekł. — Teraz wyjdę na zewnątrz, żeby sobie zapalić. Teraz już mogę palić bez obaw, że przez to zachoruję.

Roześmiał się cicho, łagodnie zdjął mnie z kolan i posadził na swoim miejscu. W jego twarzy nie było nic strasznego. Spojrzał mi w oczy pogodnym, ciepłym wzrokiem, zmierzwił mi włosy i zostawił samego przy piecu.

Miałem nadzieję, że wróci, ale się tego nie doczekałem.

... głęboki sen.

Głęboki i bardzo dziwny. Jeśli miałbym go w jakiś sposób określić, użyłbym przymiotnika „lepki”. Słodkawy, pachnący dymem i — co najważniejsze — wciągający i dobry jak... Trudno powiedzieć. Może miód?

W każdym razie z kolan pradziadka Gielmudy wracałem jak z bardzo dalekiej podróży. Zawieszenie pomiędzy przywidzeniem a pełną świadomością trwało nieznośnie długo. Dziesiątki minut, a może nawet kilka godzin. Wiedziałem już, że znów jestem w domu Rafała, że leżę na łóżku, czując potworne zawroty głowy, i... nie potrafiłem się poruszyć.

„Czy to tak wygląda wylew?” — zapytałem w myślach.

Wpadłem w panikę. Ręce, nogi, nawet powieki... nie poddawały się mojej woli. Myśli galopowały jak oszalałe, a ja nie mogłem nawet pociągnąć nosem. Chciałem krzyknąć, lecz to też mi się nie udało.

Przez zamknięte oczy wpadało coraz więcej światła; wiedziałem, że dnieje. Pozostało mi tylko czekać na to, aż obudzi się Rafał i znajdzie mnie w tym stanie.

Nagle ktoś się nade mną pochylił. Byłem tego pewien; wyraźnie poczułem w powietrzu znajomy zapach tytoniu.

— Pomyśl o tym.

To było wszystko, co szepnął mi do ucha. Znów zostałem sam.

Z braku lepszego zajęcia po wielekroć przypominałem sobie cały sen, każdy gest i każde usłyszane słowo. Wreszcie chyba zrozumiałem i ktoś wyłączył zawroty głowy. Chciałem otworzyć oczy, lecz była to kolejna nieudana próba. Czułem wielką senność.

— Mówiłem ci już, że czas to wariat?

Znów był obok.

— Tak, dziadku, ale teraz bardzo chce mi się spać — szepnąłem.

— To śpij, Witek, śpij. I pomyśl o mnie rano.

Usłyszałem oddalające się kroki, lecz po chwili wrócił raz jeszcze.

— O jednym zapomniałem. Pamiętaj, nigdy ci nie dam spokoju, jeśli tego nie zrobisz... A wiesz chyba, co dla mnie oznacza słowo „nigdy”...?

*

Wstałem z łóżka, gdy dzień był już w pełni.

Nic nie wskazywało na to, że nocne zdarzenia mogły być przynajmniej w części rzeczywistością. Byłem rześki i wypoczęty. Koszmary z wolna zaczęły się chować w dolnych szufladach wspomnień.

Usłyszałem, że Rafał krząta się w kuchni, więc ubrałem się i wyszedłem z pokoju. Zastałem go akurat w momencie, kiedy siadał za stołem z kubkiem kawy zaparzonej po turecku. Wyglądał, jakby w ogóle nie spał.

— Chcesz kawy? — zapytał.

— Nie, dzięki. Nie mam ochoty. Chyba wolę herbatę.

Chciał wstać, lecz stwierdziłem, że sam sobie poradzę.

Niedługo potem opierałem się o kuchenną szafkę z herbatą w ręce i obserwowałem jego profil. Od poprzedniego wieczoru rysy Rafała wyraźnie się wyostrzyły. Policzki miał zapadnięte, co sprawiało, że jego nerwowy tik był wyraźniejszy niż zwykle. Siedział przed stygnącą kawą, krzyżując przed nią przedramiona. Przygarbiona sylwetka sprawiała wrażenie, że dźwiga na plecach wszystkie troski tego świata. Pomyślałem, że chyba nie tylko tego...

Nagle jego usta wykrzywił grymas, który pierwotnie miał być prawdopodobnie uśmiechem.

— Pamiętasz, jak w pamiętniku pisałem o moim pradziadku? — Spojrzał w moim kierunku. Jego oczy lśniły jak w gorączce, lecz z ulgą dostrzegłem w nich pogodne rozbłyski.

— Tak.

— Śnił mi się dzisiaj.

Poczułem, że nogi lekko się pode mną uginają, więc na wszelki wypadek usiadłem naprzeciw Gielmudy.

— Wiesz, to dziwne... — ciągnął. — Dałbym sobie głowę uciąć, że nie zmrużyłem w nocy oczu. Wydaje mi się, że pamiętam każdą minutę, ale chyba jednak musiałem na chwilę zasnąć.

Nie wytrzymałem jego spojrzenia i uciekłem wzrokiem w kierunku okna. Tak naprawdę nie chciałem, żeby Rafał opowiadał mi swój sen i miałem nadzieję, że moje zachowanie potraktuje jako brak zainteresowania. On jednak mówił dalej:

— To było cholernie... — szukał przez chwilę słowa — cholernie rzeczywiste. Wszystko działo się w moim pokoju, on wszedł cicho i usiadł obok mnie. Była noc. Siedział kilka minut bez słowa, a potem mi powiedział, żebym się nie bał i że wszystko będzie dobrze.

Sięgnął po kubek i upił kilka łyków.

— I już? To wszystko? — zapytałem, patrząc znów w jego stronę.

— Właściwie tak... — Tym razem to on odwrócił głowę. — Wstał i wyszedł.

Rafał siedział, wciąż lekko się uśmiechając, a ja czułem ulgę, że jego sen tak właśnie wyglądał. Bałem się czegoś o wiele gorszego, właściwie nawet nie potrafiłem określić, co to mogło być.

— Tylko... — odezwał się znów. — Tylko przed wyjściem powiedział coś jeszcze...

— Co takiego? — Poczułem rosnący w gardle strach.

— A, nie... to nieważne — odrzekł i spojrział na zegarek. — Czas na mnie. Został mi już przecież tylko jeden dzień.

Odsunął krzesło i wziął kubek do ręki, którą przytrzymałem gwałtownym ruchem.

— Czy powiedział coś o mnie? — Mój głos zabrzmiał chyba zbyt natarczywie.

— Witek, to tylko sen... Daj spokój...

— Powiedział, prawda?

Rafał przyglądał mi się uważnie. Byłem pewien, że walczy z myślami, czy odpowiedzieć.

— Najpierw mnie zrugął, że nie jestem ze swoją córką, bo tam jest moje miejsce, a nie w domu, zwłaszcza gdy jest chora...

— A potem? — lekko poluzowałem uchwyt, zdając sobie sprawę, że ściskam przedramię Rafała zbyt mocno.

Pokręcił głową i machnął lekceważąco wolną ręką.

— Potem powiedział, że to nic nie szkodzi, bo i tak nie będę się z nią musiał rozstać w najbliższym czasie.

Wstał i zaniósł kubek do zlewu. Znów poczułem ulgę. Usłyszałem, jak wychodzi z kuchni, lecz nagle przystanął.

— Wiem, że to idiotyczne — usłyszałem zza pleców — ale wiesz, co powiedział?

Milczałem.

— Faktycznie, powiedział coś o tobie. Tuż przed wyjściem zapewnił mnie, że to ty zamiast mnie pojawisz się w Starzyźnie...

2.

Wcale nie zamierzałem się tam pojawiać.

Owszem, nocne wydarzenia wciąż wydawały mi się nadzwyczaj realistyczne, a wspomnienie starca tak wyraźne, jak pozostały pod powiekami wizerunek mojego gospodarza w chwilę po tym, gdy wyszedł z domu, aby jeszcze trochę pobyc z córką. Nie czułem się z tym wszystkim komfortowo, niemniej jednak miałem też swój rozum, którego posłuchałem, podejmując ostateczną decyzję o rezygnacji z zastąpienia Rafała w jego misji.

Stałem w oknie i gapiłem się na przejeżdżające ulicą samochody i na przechodniów, zmierzających do centrum miasteczka, by przed świętami zrobić ostatnie zakupy, a może w ostatniej chwili pojednać się z Bogiem. Stary mężczyzna nie dawał mi jednak spokoju. Mimo woli zastanawiałem się, czy to możliwe, że któraś z osób spotkanych podczas pracy w dziale opisującym nadnaturalne zjawiska mogła choć w minimalnej części mieć rację.

Ileż to razy spotykałem się z relacjami o powracających zmarłych, którzy nie mogą pożegnać się z tym światem. „Mają tu widocznie jeszcze coś do załatwienia” — przekonywali mnie specjaliści od dusz błądzących gdzieś pomiędzy różnymi wymiarami.

„Ale przecież pradziadek Rafała powiedział mi zupełnie coś innego” — pomyślałem.

Nie mogłem sobie przypomnieć, co dokładnie, lecz na pewno coś innego niż to, że nie odszedł do świata zmarłych.

— Oni wszyscy już są tam, skąd dzisiaj do ciebie przyszedłem — wypowiedziałem te słowa na głos, starając się upewnić, czy tak właśnie brzmiały. — I wcale nie mają ochoty tutaj wracać...

Tak, dokładnie taki był sens tego, co usłyszałem w nocy.

— Po co więc wróciłeś? — zapytałem szeptem.

Na zewnątrz błysnęło słońce i pastelowym blaskiem podkreśliło irracjonalność lekkiego dreszczu, który wyraźnie czułem na plecach. Odetchnąłem głębiej i postanowiłem skupić uwagę na ludziach mijających dom.

Bez żenady oddałem się tej czynności, ponieważ nie mogli mnie widzieć, ukrytego za drobnymi oczkami śnieżnobiałej firanki. Tuż za ogrodzeniem przedfilowała młoda matka z wózkiem, zaraz za nią, trzymając się za ręce, przeszła para starszych ludzi. Prawie zniknęli mi z pola widzenia, gdy minęli zmierzającego w przeciwnym kierunku starszego człowieka. Był spory kawałek od mojego okna, a mimo to odniosłem wrażenie, że się uporczywie w nie wpatruje. Choć przygarbiony, zbliżał się dość żwawym krokiem i wciąż nie odrywał wzroku od... nie, on nie patrzył w okno. Patrzył mi prosto w oczy.

Poznałem go, zanim dotarł do furtki. Zatrzymał się przy niej, uśmiechnął i podniósł rękę w przyjaznym geście. Nie miałem wątpliwości. Wspomnienia minionej nocy były jeszcze zbyt żywe.

Franciszek Gielmuda powstał chwilę, jakby oczekując, że odwzajemni gest; gdy się tak jednak nie stało, pchnął furtkę i ruszył w kierunku domu. Usłyszałem skrzypnięcie zawiasów i szcęk metalowych drzwiczek. Stałem jak zahipnotyzowany. Gdy wreszcie zniknął mi z pola widzenia, zacząłem się gorączkowo zastanawiać, czy drzwi wejściowe są zamknięte.

„Duchy nie mają problemów z zamkami” — przeszło mi przez myśl, jednak mimo to z ulgą przypomniałem sobie, że Rafał wychodząc przekręcił klucz od zewnątrz.

Odwróciłem się plecami do okna i czekałem.

Zza pleców dobiegł warkot silnika przejeżdżającego samochodu. Potem drugiego, natomiast w najbliższym otoczeniu domu panowała cisza.

Był jasny, słoneczny dzień, a ja stałem trzęsąc się jak w febrze. Ciekawe, co bym zrobił, gdyby teraz ktoś znieńacka zapukał w szybę, która znajdowała się tuż za mną? Uznałem, że choć z moim sercem nie jest najgorzej, mogłoby tego nie wytrzymać. Cholernie się bałem, lecz i tak zdecydowałem się popatrzeć za siebie.

To, co zobaczyłem, sprawiło, że znów zacząłem oddychać głębiej. Ani za oknem, ani na chodniku nie było nikogo. Przejeżdżający ulicą chłopak spojrzał w moim kierunku obojętnie, po czym przyśpieszył stając na pedałach. Byłem spokojniejszy, to prawda, ale do całkowitej równowagi brakowało mi jeszcze bardzo wiele.

Usiadłem przy stole i zacząłem zbierać myśli. Starszy człowiek nie był przywidzeniem — to pewne. Nagle uświadomiłem sobie, że przecież nie mam bladego pojęcia, jak wyglądał pradiadek Gielmudy. Znałem go tylko z dość pobieżnego opisu w Rafałowym brulionie...

Pokręciłem głową i zacząłem się zastanawiać, kim mógł być ten starszy jegomość, tak podobny do starca z nocnego koszmaru. Był prosty sposób na poznanie tej zagadki. Wystarczyło wyjść na zewnątrz i spytać, po co przyszedł. Nawet potem nie próbował zapukać.

Opuściłem kuchnię i stanąłem w przedpokoju. Drzwi do wiatrołapu były otwarte na oścież, zupełnie nie tak, jak zostawiłem je po wyjściu Rafała. Cały korytarz zalewało słoneczne światło, a drzwi zewnętrzne delikatnie poruszały się pod wpływem słabych podmuchów wiatru.

Trudno powiedzieć, jak długo wpatrywałem się w prowadzący na podwórze jasny prostokąt. Bałem się nawet do niego podejść.

— Jest tu kto? — usłyszałem swój zachrypnięty głos.

Odpowiedziała mi cisza. Gdy po chwili zamierzałem głośniejszym głosem powtórzyć pytanie, usłyszałem ciche zgrzytnięcie zawiasów w drzwiach prowadzących do pokoju, w którym spałem. Na zeszytywniałych nogach zrobiłem kilka kroków w ich kierunku.

— Rafał? To ty?

Czułem, jak każda zgłoska z trudem wydobywa się z zaciśniętego gardła. Sięgałem właśnie do klamki, kiedy drzwi zatrzasnęły się z hukiem tuż przed moją twarzą. Otworzyłem je i wszedłem. Okno było zamknięte, więc przeciąg był wykluczony.

Pierwszy raz w życiu przeżyłem coś takiego. Już przekraczając próg, czułem niewypowiedziany strach, ale zaraz potem spotkało mnie coś, przy czym dotychczasowe obawy okazały się niczym. Miałem wrażenie, że ktoś był w pomieszczeniu razem ze mną.

Czułem obecność tej osoby nie mniej intensywnie, niż gdybym widział ją siedzącą za stołem. Byłem bacznie obserwowany. Mogłem nawet dość dokładnie określić miejsce, z którego śledzą mnie czyjeś oczy.

— Kim jesteś? — zapytałem nieco spokojniej. — Kim jesteś i czego ode mnie chcesz?

Postać, którą jedynie wyczuwałem, zaczęła się przybliżać. Zaraz potem byłem pewien, że jest tuż przede mną. Wyciągnąłem rękę i... nie trafiła ona w pustkę. Gdy zacisnąłem palce, wewnątrz dłoni pozostała mi garść lodowatego powietrza. Tak samo chłodnego, jak podmuch, który niedługo potem poczułem na policzkach.

Zostałem w pokoju sam, a drzwi zewnętrzne zamknęły się cicho za moimi plecami. Usłyszałem odgłos zamykania zamka i znów byłem w domu sam.

Uspokajając oddech zacząłem się ubierać. Na kuchennym stole zostawiłem Rafałowi kartkę z wiadomością, że wyszedłem i nie wiem, kiedy wrócę.

*

Spacer rozjaśnioną słońcem ulicą dobrze mi zrobił. Po kilkudziesięciu metrach mojego miarowego kuśtykania tętno wróciło do normy. Staralem się skupić uwagę na otoczeniu. Słuchałem nieśmiałego jeszcze śpiewu ptaków, patrzyłem w twarze mijanych ludzi, mając nadzieję (nie wiem, skąd mi się to wzięło), że na którejś z nich dostrzegę przynajmniej cień uśmiechu. Jednak uśmiech do nieznanego jest w Polsce towarem bardzo deficytowym nie tylko w refleksyjny Wielki Piątek, więc musiało mi wystarczyć to, że po prostu nie jestem sam.

Wydawało się, że w środku dnia, w tłumie, łatwiej oswoję się z tym, co miało miejsce przed kilkunastoma minutami i, w istocie, tak właśnie było, lecz dłoń, którą dotknąłem lodowatego powietrza, wciąż pozostawała zimna, nie pozwalając zapomnieć o niezwykłym zajściu. Zresztą, wcale nie chciałem zapomnieć. O wiele bardziej zależało mi na tym, aby odnaleźć sens tego, co mnie spotkało. A później podjąć dobrą decyzję...

Nawet nie próbowałem sam siebie oszukiwać, że moja przechadzka nie ma celu i zakończy się, na przykład wtedy, gdy porządnie rozboli mnie noga. Cel był jasny, zwieńczony sygnaturką, wyraźnie rysującą się na tle błękitnego nieba.

Od centrum Krasnobrodu do klasztoru dominikanów i połączonego z nim kościoła miałem spory kawałek, mimo to postanowiłem pójść właśnie do miejsca, o którym Rafał wspominał w swoim brulionie. Z jego zapisków wynikało, że jest ono szczególne dla wiernych. Pomyślałem, że może i dla mnie takim się stanie.

Natychmiast przyszedł mi na myśl Adam i nasze częste spory dotyczące wiary. W przeciwieństwie do niego byłem zdecydowanie bardziej sceptycznie nastawiony do kleru i sposobu, w jaki sprawuje on swoją misję wśród wiernych. Sam czułem się częścią Kościoła, ale określałem siebie modnym ostatnio i dość wygodnym określeniem „wierzący niepraktykujący”. Nie ulegało

jednak wątpliwości, że podczas ostatnich dni mój pogląd na sprawy związane z życiem pozagrobowym ulegał znaczącym zmianom. Żałowałem, że nie mogę o tym porozmawiać z Adamem; byłem ciekaw, co on by na to wszystko powiedział. Byłem też ciekaw, jak te wszystkie zdarzenia wpłyną na sprawy związane z postrzeganiem przeze mnie religii. Czy znów zacznę chodzić na niedzielne msze święte, czy zechcę po latach przystąpić do spowiedzi, a potem komunii? Nie wiedziałem. Być może między innymi w poszukiwaniu odpowiedzi na te pytania kużykałem w stronę rosnącego w oczach zespołu klasztornego.

Po kilku minutach byłem u celu.

Architektura baroku to nigdy nie była moja bajka. Zawsze zdawało mi się, że kapiące złotem zdobienia i przesyt kolorów nie współgrają z misją Kościoła, a zwłaszcza z cnotą ubóstwa, którą powinien się on przecież cechować. Owszem, przepych mógł oddziaływać na wiernych przed wiekami, jednak w oczach współczesnych błyskotki nie powinny robić aż takiego wrażenia. Te świątynie jednak liczą przecież po kilkaset lat i bez sensu byłoby je teraz przerabiać na współczesną modłę. I tak źle, i tak niedobrze.

Z tablicy informacyjnej dowiedziałem się, że klasztor i kościół zostały ufundowane pod koniec siedemnastego wieku przez królową Marysienkę. Ponoć z wdzięczności za uzdrowienie.

„A może i na mnie spłynie choć trochę uzdrawiającej łaski”? — pomyślałem, przy czym bardziej chodziło mi o stan ducha niż ciała, które — nie licząc chromej nogi — miało się jeszcze w miarę zadowalająco.

Wnętrze świątyni niczym mnie nie zaskoczyło, może poza tym, że złota i innych błyskotek było tu o wiele więcej, niż się spodziewałem. Starając się nie zwracać na siebie uwagi wiernych oczekujących na spowiedź, przyjrzałem się cudownemu obrazowi (a właściwie obrazkowi, który został umieszczony na

tle o wiele większej kopii). Znajdujące się w jego pobliżu wota w postaci koralików, serc i krzyżyków, wykonanych zapewne głównie ze srebra, świadczyć miały o wymodlonych tu łaskach.

Wybrałem sobie miejsce trochę na uboczu, by móc skupić się wyłącznie na własnych myślach. Z trudem ukląknęłam na jednym kolanie i przeżegnałem się zamasyście — tak jak byłem uczony wiele lat temu. Szybko zmówiłem „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Mario”... Tyle. Więcej modlitw nie pamiętałem.

Rozglądałem się bezradnie po kościele, jakby mając nadzieję, że znajdę jakąś pomoc, lecz ta nie nadeszła. Złapałem się na tym, że bez przerwy bezwiednie masuję skostniałą z zimna dłoń. Uczucie chłodu nie chciało ustąpić.

Wota przy cudownym obrazie znów przykuły moją uwagę. W pewien sposób te skromne dary były wzruszające. Osoby, które je ofiarowały, z pewnością nie należały do bogatych; być może często zostawiały tu swe najcenniejsze skarby. Pewnie teraz, poza skromnymi nagrobkami, te przedmioty były jedyne rzeczami, które po nich pozostały. Czy ja miałem coś takiego, co mógłbym tu zostawić, gdyby moje modlitwy w jakiejś ważnej kwestii zostały wysłuchane?

Miałem. Srebrny ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej, który moja babka sprezentowała synowi z okazji pierwszej komunii. On potem przekazał go swojemu synowi, czyli mnie. Przyszło mi na myśl, że gdy Rafał wróci szczęśliwie ze Starzyzny, ryngraf zawiśnie przy obrazie Matki Boskiej Krasnobrodzkiej.

Kiedy tylko to postanowiłem, słowa modlitwy same zaczęły układać się w zdania. Straciłem poczucie czasu. Modliłem się też za rodziców, za Adama, by miał siłę żyć ze stratą Magdy, za nią samą i za matkę mojego przyjaciela, która — z tego, co mi było wiadomo — ostatnio czuła się źle i nie wiadomo było, czy to nie jest coś poważniejszego.

Coś takiego spotkało mnie po raz pierwszy w życiu. Miałem poczucie, że naprawdę rozmawiam z Bogiem. Zastanowiłem się

nawet, czy nie warto byłoby się wyspowiadać, lecz to było chyba zbyt wiele jak na jeden raz. Wyznawanie grzechów przed obcą, pewnie nierzadko tak samo grzeszną jak ja, osobą od bardzo dawna uważałem za jakąś kompletną pomyłkę. Nie potrafiłem znaleźć przyczyn, które dzięki wyklepaniu formułki i grzechów miałyby mnie z nich oczyścić. Ważniejsze wydawało mi się samo uświadomienie ich i wewnętrzna obietnica o ich zaniechaniu. Bóg przecież i tak znał je wszystkie doskonale.

Z trudem podniosłem się z kłęczek. Gdy krążenie wracało bardzo powoli, przypomniałem sobie o zmarzniętej dłoni. Teraz była przyjemnie ciepła. Dokładnie tak, jakby ktoś jeszcze przed chwilą trzymał ją we własnych rękach.

3.

W kościele spotkały mnie nadspodziewanie miłe przeżycia, co nie zmieniało faktu, że przede mną był spory kawał drogi. Czując z każdą chwilą nasilający się ból w kolanie, obawiałem się, że mogę mieć problemy z drogą powrotną. Kilkadziesiąt minut w niewygodnej pozycji zrobiło swoje, a w dodatku miałem wrażenie, że nadchodzi zmiana pogody. Niezawodny barometr, który zawsze nosiłem ze sobą pomiędzy udem a łydką, mylił się w takich kwestiach niezwykle rzadko.

Klakson przerwał te niezbyt optymistyczne myśli. Spojrzałem w prawo i zobaczyłem znajomą sylwetkę białego opla i Rafała za jego kierownicą.

„Trochę modlitwy i od razu zaczynają się cuda” — skonstatawałem w myślach i pokuśtykałem w stronę auta.

— A ty skąd się tu wziąłeś? — zapytałem wsiadając. — Nie miałeś być przypadkiem u Paulinki?

— Byłem jakiś czas, ale mam jeszcze kilka innych rzeczy do załatwienia.

Spojrzałem na niego z ukosa.

— Mianowicie?

— No wiesz... Jeszcze zapomniane zakupy przed wyjazdem...

— Nie wracasz przecież ze sklepu. Nie wiem, czy znasz to miasteczko, ale właśnie poruszamy się w kierunku centrum.

Uśmiechnął się pod nosem, a po chwili odparł:

— No dobra, byłem w miejscu, gdzie pochowałem Trzeźniowskiego.

— Przecież, z tego, co pamiętam, nic już tam po nim nie zostało...

— To prawda, ale pomyślałem sobie... — Przerwał. — Wiesz, pomyślałem, że nie powinienem zostawić przed wyjazdem tego miejsca bez jakiegokolwiek symbolicznego oznaczenia.

Zamyślił się, a po chwili dodał:

— Chyba każdemu należy się grób w miejscu, w którym zostały złożone jego doczesne szczątki. Nie sądzisz?

— Pewnie masz rację — powiedziałem bez przekonania. — Ale czy mogła nie wzbudzi niepotrzebnego zainteresowania?

— Nie chodzi o mogiłę. Zostawiłem tam na najbliższym drzewie taki mały krzyż. Tak dla spokojnego sumienia. I dla spokoju jego duszy...

— Może będzie ci mógł jeszcze pomóc.

— Może.

Jechaliśmy przez jakiś czas w milczeniu.

— A ty? Gdzie byłeś? — zapytał.

— Chciałem się pomodlić.

— Zawiozę cię do domu, jeśli chcesz. Muszę jednak jeszcze wstąpić do sklepu, więc...

— Nie, nie — przerwałem mu gwałtownie. — Poczekam na ciebie w samochodzie.

Nie chciałem znów być sam w jego domu.

*

Wydawało się, że bagażnik opla był już załadowany prawie do pełna, a jednak upchnęliśmy w nim jeszcze dwa pełne wózki zakupów. Głównie były to niepsujące się artykuły spożywcze i sporo mocnego alkoholu. Pomagałem przy układaniu, więc operacja przebiegła w miarę sprawnie.

— Myślałem, że to, co kupiłeś wczoraj, w zupełności wystarczy — powiedziałem, gdy ruszył, by odprowadzić wózek do sklepu. — Nie przesadziłeś trochę z tym zaopatrzeniem?

Zatrzymał się i odwrócił w moją stronę.

— Lepiej, żebyś miał za dużo niż za mało. Poza tym, wiesz, że te zakupy są prawdopodobnie nie tylko dla mnie...

Skinąłem głową i zatrzasnąłem klapę bagażnika. Kiedy tylko Rafał wrócił i usiadł obok, zapytałem:

— Jak to właściwie jest? Nie rozumiem jednej rzeczy z tego, co napisałeś o Starzyźnie...

— Mianowicie?

Przeciskaliśmy się ostrożnie po zatłoczonym parkingu, a ja starałem się jak najzgrabniej ubrać moje wątpliwości w słowa.

— Chodzi mi o to — odezwałem się znów, gdy byliśmy już na ulicy — że nie bardzo pojmuję, jak to jest z tymi przedmiotami, które wracają do stanu z dnia poprzedniego. Pamiętasz, pisałeś o rozbitym kubku, który następnego ranka znów był cały... A chyba — jeśli dobrze rozumiem — zjedzonych, dajmy na to, ziemniaków, czy zużytego oleju, następnego ranka nie ma w piwnicy?

— Podobnie jest ze ściętymi drzewami, które nie wracają do poprzedniego stanu — uzupełnił.

— No właśnie. O co tu chodzi? Nie doczytałem czegoś?

— Może nie napisałem precyzyjnie — odparł. — Regenerują się tylko przedmioty. O wszystko, co potrzebne do życia, na przykład opał i żywność, trzeba zadbać samemu. To bardzo

sprytna kłątwa. Na tyle przyjazna, że z braku pożywienia czy od chłodu nie można umrzeć, bo nosiłoby to znamiona samobójstwa, ale z drugiej strony — aby przeżyć, trzeba się solidnie napracować. Ktoś mądry musiał to wszystko wykombinować.

— Na to wygląda — potwierdziłem. — Czyli z Jasiem Wędrowniczkiem mieliście do czynienia tylko raz?

— Niestety. Ale za to moją paczką papierosów Kowalik opędził ładne kilkanaście miesięcy. — Mówiąc to, Rafał aż uderzył ze złością w kierownicę. — Ale do czasu... Zabrałem je dopiero wtedy, gdy wreszcie udało mi się go pieprzyć siekierą przez ten durny łeb.

*

Atmosfera w domu Gielmudy gęstniała z minuty na minutę.

Pomimo że to nie ja miałem przed sobą perspektywę nocnej wyprawy do Starzyzny, i tak zdenerwowanie przełaziło na mnie z Rafała jak paskudny wirus. Siedzieliśmy w kuchni, próbując znaleźć jakiś temat, który pozwolilby odegnać czarne myśli.

Rafał już wcześniej pożegnał się z córką. Zapowiedział, że jakiś czas go nie będzie, a Paulinka przyjęła tę wiadomość bez większych emocji. Pewnie byłoby inaczej, gdyby zdawała sobie sprawę, z jak wielkim ryzykiem wiąże się wyjazd ojca. To jednak wiedzieli tylko nieliczni.

Byłem wśród nich i nie cieszyłem się zbytnio z tego powodu.

Dałem sobie już spokój z odwodzeniem Gielmudy od szaleńczego pomysłu. Widziałem, jak bardzo jest spięty, nie chciałem go stresować jeszcze dodatkowo gadaniem, które i tak nie odniosłoby żadnego skutku. Swoją drogą byłem ciekaw, jak zareagowałby, gdybym mu powiedział o moich wcześniejszych planach. Na myśl o tym przed oczami stanął mi tajemniczy stary mężczyzna.

— Masz może jakieś zdjęcie swojego pradziadka? — zapytałem.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, z trudem wracając myślami z bardzo daleka. Najwyraźniej miał problem z uchwyceniem sensu mojego pytania, więc powtórzyłem je jeszcze raz.

— Po co ci zdjęcie mojego dziadka? — zapytał wreszcie niepewnie.

— Nie dziadka, ale pradziadka — poprawiłem. — Zdaje się, że to była nietuzinkowa postać, więc chciałbym zobaczyć, jak wyglądał.

Podniósł się z krzesła odruchowo, jednak po chwili znów na nim usiadł.

— Daj spokój, przecież nie będę teraz przeglądał albumów ze zdjęciami — rzekł. — Nie mam do tego głowy...

— A co masz lepszego do roboty? Przynajmniej zajmiesz myśli czymś innym niż zbliżająca się północ.

Zastanowił się i wstał ponownie.

— Pewnie masz rację — powiedział jeszcze, zmierzając w stronę drzwi. — Może i czas szybciej poleci? Mam już dosyć tego cholernego czekania.

4.

Nie było dla mnie zaskoczeniem, że czas tego popołudnia gnał jak opętany. Już przed wielu laty zauważyłem, że gdy w perspektywie jest jakieś mało sympatyczne zdarzenie, gdy chciałoby się, aby trochę zwolnił, upływające godziny złośliwie przyspieszają swój bieg. Nawet droga z Krasnobrodu do Guciowa, mimo że Rafał jechał bardzo wolno, zdawała się kilkakrotnie krótsza, niż bywało to wcześniej.

Uparłem się, że będę mu towarzyszyć. Wcześniej nie było o tym mowy; Rafał był przekonany, że gdy wyjedzie do Guciowa,

ja zostanę w Krasnobrodzie, by następnego dnia wrócić do Warszawy. Chciałem spędzić Wielkanoc w zagrodzie Stanisławskiego, argumentując, że lepsze to niż samotne siedzenie w mieście. Przyznał mi rację, choć pewnie, gdybym powiedział mu o swoich planach na najbliższą noc, nie wpuściłby mnie do auta. Nie musiał jednak przecież wiedzieć wszystkiego.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, było już prawie całkiem ciemno.

Zatrzymaliśmy się przed dobrze mi znaną drewnianą bramą. Na parkingu stało kilka samochodów, a we wnętrzu karczmy wciąż paliło się światło.

— Poczekasz? — zapytałem. — Tylko sprawdzę, czy znajdzie się dla mnie nocleg, i zaraz przyjdę po rzeczy, dobrze?

— Tylko szybko — odparł. — Ona pewnie tam już jest. Miałem być na wygonie tuż po zmroku...

— To zajmij mi chwilę. Zresztą, skoro czekała tyle czasu, to poczeka jeszcze te kilka minut, prawda?

— Wolę nie ryzykować, więc lepiej się pospiesz.

Załatwiłem sprawę najszybciej, jak było to możliwe. Janek stał za barem i — choć gdy wszedłem, nie miał zbyt szczęśliwej miny — zgodził się, bym został u niego na święta. Wziąłem klucz od pokoju i wróciłem do auta. Przez ten czas Rafał wyjął moją torbę i postawił przy samochodzie. Stałem naprzeciw niego i spojrzałem mu w oczy.

Nigdy nie zapomnę ich wyrazu. Dotąd trzymał się dzielnie i skrywanie emocji wychodziło mu całkiem niezłe. Teraz patrzył na mnie bezradnym, przerażonym wzrokiem. W bładym świetle latarni znów ujrzałem mimowolne skurcze na policzku.

Przez ostatnich kilka dni wyraźnie się postarzał. Jego twarz pokryła się kolejnymi zmarszczkami, a włosy miał niemal tak samo siwe, jak ja. Jednak w tym jednym momencie widziałem w nim młodego mężczyznę, a może nawet chłopca, który nie

potrafi sobie poradzić z tym wszystkim, co go spotkało. Pomyślałem, że chyba nie zasłużył na tak wielką karę.

Wyciągnął w moją stronę dłoń, a ja uściśnąłem ją mocno.

— Przepraszam, że cię w to wplątałem — powiedział cicho łamiącym się głosem. — I bardzo dziękuję za pomoc...

— Nie ma za co — odrzekłem odruchowo.

— ...i za to, że byłeś tu ze mną.

Zapadła niezręczna cisza, którą postanowiłem za wszelką cenę przerwać.

— Trzymaj się i wracaj szczęśliwie — starałem się powiedzieć to jak najbardziej beztrosko, lecz wcale nie byłem przekonany, czy mi się to udało. — Będę zaglądał do Paulinki, żeby dowiedzieć się, czy wszystko u niej w porządku. Możesz być spokojny, że do twojego powrotu włos jej z głowy nie spadnie. Zresztą, i tak jest pod dobrą opieką, prawda?

Skinął w odpowiedzi głową.

— Dzięki — szepnęła, odwracając się gwałtownie, bym nie zobaczył jego łez. — Do zobaczenia, Witek — dodał zza kierownicy i zatrzasnął drzwi.

Stałem na pustej ulicy, patrząc na niknące w oddali tylne światła opla. Nawet gdy już ich nie widziałem, nie potrafiłem się ruszyć z miejsca. Tak naprawdę dopiero w tym momencie dotarło do mnie z całą mocą to, co się zdarzyło. Miałem cholerne złe przeczucia.

Przez następnych kilkanaście minut nie wydarzyło się zupełnie nic. Chyba łudziłem się, że Rafał zmieni zdanie i za chwilę wróci, jednak nic takiego się nie stało. Wreszcie usłyszałem od strony karczmy głosy gości, którzy w świetnych nastrojach opuszczali lokal. Jak najszybciej zszedłem im z drogi, odwracając się do nich plecami.

Gdy odjechali, otarłem policzki wierzchem rękawa kurtki i wziąłem kilka głębokich oddechów. Chłodne powietrze w płucach sprawiło, że poczułem się lepiej. Z trudem odczytałem

godzinę na cyferblacie zegarka. Do północy pozostało niecałe pięć godzin.

— Trzeba działać — szepnąłem do siebie. — Trzeba działać, póki jest jeszcze czas...

*

Okazało się, że dostałem ten sam pokój, w którym mieszkałem wcześniej.

Natychmiast po przekroczeniu progu wróciły wspomnienia, z których niewiele mógłbym określić jako miłe, jednak nie zamierzałem rozpamiętywać poprzednich zdarzeń. Pospiesznie rozpakowałem torbę, po czym wziąłem kosmetyczkę i zarzuciłem na ramię świeży ręcznik. Zanim wszedłem do łazienki, wyjrzałem jeszcze przez okno, by sprawdzić, czy ostatni goście nie opuścili jeszcze karczmy. Nic nie wskazywało na to, że Janek wkrótce zamknie gościnne podwoje swojego lokalu, więc poszedłem wziąć szybki prysznic. Chciałem się zrelaksować przed tym, co mnie czekało, i przy okazji zastanowić się nad tym, co postanowiłem.

Po powrocie do pokoju znów wyjrzałem przez okno. Kąpiel zajęła mi najwyżej dziesięć minut, ale okazało się, że i tak była ona zbyt długa. Światła karczmy zgasły.

Zarzuciłem kurtkę na cienki, bawełniany podkoszulek i pokonując po kilka stopni schodów, z mokrą głową zbiegłem na dół. Wypadłem na podwórze i niedługo potem stałem przy wejściu do lokalu. Stanisławski akurat zamykał drzwi na klucz.

— Janek! Całe szczęście, że udało mi się jeszcze cię złapać! — wysapałem. — Musisz mi pomóc! — dodałem, opierając się o ścianę.

Ze stoickim spokojem schował klucze do kieszeni, po czym nacisnął klamkę, sprawdzając, czy drzwi są zamknięte.

— Słuchaj no — wycedził przez zaciśnięte zęby. — Nic nie muszę, rozumiesz?! Odkąd się tu pojawiłeś, ty i ten twój

porąbany koleżka, życie w Guciowie nie jest takie jak dawniej. Wszyscy potrzebujemy spokoju, a to akurat jest ostatnia rzecz, jaką mógłbym z tobą kojarzyć. Idę do domu i daj mi spokój. Mam już tego dosyć!

Odwrócił się do mnie plecami i ruszył w kierunku bramy.

— Janek, błagam cię! Przynajmniej mnie posłuchaj.

— Już dość cię słuchałem — warknął, odwracając się. — Cała wieś jest sparaliżowana strachem. Chcemy spokoju, rozumiesz? Spo-ko-ju! Gdy tylko cię dziś zobaczyłem w drzwiach, to wiedziałem, że znów będą kłopoty, ale teraz postanowiłem, że dość już tego. Nie dam się wmanewrować po raz kolejny w wasze ciemne sprawy! — ostatnie słowa prawie wykrzyczał. — Idę do domu i zamierzam spędzić spokojne święta ze swoją rodziną. Czy to do ciebie dociera? I od razu zaznaczam: lepiej powiedz, że tak, bo w przeciwnym razie wywalę cię stąd na zбитy pysk i to natychmiast!

Stał naprzeciw mnie, oddychając ciężko. Było jasne, że nie wybierze się ze mną dziś w nocy w okolice Czarnego Wygonu, jak planowałem. Doskonale go rozumiałem i trudno mi było nie wczuć się w jego położenie. Ten facet po prostu miał rację. Pewnie na jego miejscu zachowałbym się dokładnie tak samo.

— Przepraszam cię — powiedziałem. — Nie będę ci więcej zawracał głowy...

— I bardzo dobrze! Mam tego wszystkiego po dziurki w nosie, wracaj więc do swojego pokoju i...

— Pożyczysz mi swoją strzelbę?

Było ciemno, więc nie widziałem jego spojrzenia. Może to i lepiej. Czulem przez skórę, jak narasta w nim złość.

— Tego już za wiele! — powiedział spokojnie. — Idziemy do twojego pokoju. Spakujesz się i nie chcę cię tu więcej...

— Błagam, Janek. Wysłuchaj mnie. Jeśli mi nie pomożesz, to cała ta sytuacja nigdy się nie skończy. Proszę, wejdźmy na chwilę do środka i porozmawiajmy. Wszystko ci wyjaśnię.

Zaskoczył mnie, ponownie otwierając drzwi. Na jego miejscu z pewnością zachowałbym się zupełnie inaczej.

*

Maszerując przez spowity ciemnościami Guciów, miałem wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią. Wprawdzie nikogo nie widziałem, lecz byłem przekonany, że warty policji i mieszkańców wioski wciąż patrolują teren w poszukiwaniu mordercy i lustrują z ukrycia każdego przechodnia. Mogłem być uznany za podejrzanego tym bardziej, że taskałem na ramieniu pożyczoną od Janka strzelbę.

Tak, jak zapowiedział, nie zgodził się na kolejną nocną wyprawę do lasu, mimo że powiedziałem mu o wszystkim. O tajemnicy Starzyny, o zagrożeniu dla córki Rafała, a nawet o tym, że wybiera się on tej nocy do przekłetej wioski.

Nie wiem, czy Stanisławski uwierzył w cokolwiek z tego, co mu przekazałem. W trakcie mojej opowieści przyglądał mi się badawczo, w końcu jednak przystał na ostatnią z moich prośb. Wiedziałem, że wręczając mi broń wiele ryzykuje — przecież gdybym nią zrobił komuś krzywdę, byłby za to współodpowiedzialny. Niemniej jednak zdecydował się na ten krok; może trochę dla uspokojenia własnego sumienia, a może ze względu na to, co do tej pory razem przeszliśmy. Obiecałem, że zwrócę strzelbę następnego ranka, a więc miałem być w jej posiadaniu ledwie kilka lub kilkanaście godzin. W dodatku wszyscy w okolicy byli świadomi zagrożenia, więc nawet w razie wpadki istniał cień szansy na ulgowe potraktowanie tego wykroczenia przez stróżów prawa.

Zapewniłem, że potrafię posługiwać się bronią palną. Nie było to do końca kłamstwem; w końcu lata temu odbyłem przeszkolenie wojskowe na studiach. Za swoje umiejętności strzeleckie nie dałbym złamanego grosza, ale niosąc chłodny ciężar na plecach, przynajmniej czułem się trochę pewniej.

Człapałem w kierunku skrętu do Słonecznej Doliny z nadzieją, że moja obecność może jakoś pomóc Rafałowi.

Przewidywałem, że Kowalik będzie próbował uniemożliwić mi ponowne dostanie się do Starzyzny, co dawało szansę, że wreszcie uda się nam go dopaść.

Guciowskie latarnie pozostały w tyle, lecz w żaden sposób nie mogło mi to przeszkodzić. Znałem drogę na tyle dobrze, że trafiłbym na miejsce nawet bez światła księżyca, który srebrzystym blaskiem rozjaśniał okolicę.

Dotarłem do skrzyżowania i znów po lewej stronie dostrzegłem zarys domu na kamiennej podmurówce. Spojrzałem na wskazówki zegarka, doskonale widoczne na białym cyferblacie. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Przez jakiś czas wsłuchiwałem się w ciszę i po raz ostatni zastanawiałem się, czy dobrze robię po raz kolejny pakując się w kłopoty. Wiedziałem, że nie, a mimo to zdecydowanie skręciłem w piaszczystą drogę.

Po kilkudziesięciu metrach dalszego marszu dostrzegłem znajomy biały kształt. Zatrzymałem się, ponownie nasłuchując. Las mruczał cicho swoją niepokojącą melodię i był to jedyny dźwięk, który docierał do moich uszu. Zrobiłem kilkanaście następnych kroków, zbliżając się do samochodu. Wewnątrz nie było nikogo.

*

Siedzenie po raz kolejny w ukryciu, w chłodnej, nocnej scenarii roztoczańskie lasu, zaczynało być dla mnie czymś naturalnym. Bałem się — to jasne, jednak człowiek chyba jest w stanie przyzwyczać się do wszystkiego. Czułem wzmożone bicie serca, moje mięśnie reagowały lekkim, niekontrolowanym skurczem na każdy niespodziewany dźwięk, lecz mój stan daleki był od paniki, która towarzyszyła mi podczas takich eskapad w pierwszych dniach pobytu w okolicach Guciowa.

Nieobecność Rafała brałem za dobrą monetę, łudząc się, że może nie udało mu się spotkać upiornej dziewczynki i dzięki temu tuż po północy razem wrócimy do wioski. Była też szansa — jakkolwiek okrutnie by to brzmiało dla niego i Paulinki — że

Gielmudzie mimo wszystko nie uda się dotrzeć do Starzyzny. Gdyby jednak miało się stać inaczej, chciałem przy tym być i to była kolejna przyczyna mojej obecności w tym miejscu. Ciekawość, jak to wszystko będzie wyglądało, stanowiła dość niską pobudkę, ale przecież byłem tylko człowiekiem.

Siedziałem oparty o gruby pień dębu, co jakiś czas sprawdzając, czy nabita i odbezpieczona strzelba leży obok. Dzięki księżycowi, który po raz kolejny okazał się moim sprzymierzeńcem, widziałem dokładnie całą okolicę. Czas dłużył się niemiłosiernie, a częste spoglądanie na wskazówki „Timexa” nie było zbyt skutecznym sposobem na przyspieszenie biegu sekundnika.

Wreszcie, gdy do północy pozostał ledwie kwadrans, zacząłem się niepokoić o Rafała. Był sam, a przecież Kowalik wciąż musiał kręcić się w okolicach Czarnego Wygonu. W przypadku ich spotkania wynik konfrontacji był oczywisty, ale teraz już nic nie mogłem zrobić. Nawet gdybym ruszył z odsieczą, z pewnością było już za późno. Tylko, czy potrafiłbym się na to zdobyć?

Wokół nie wydarzyło się nic, co mogłoby wzmóc mój strach, a jednak w ciągu ledwie kilku chwil zacząłem drżeć na całym ciele. Odruchowo chwyciłem broń i wycelowałem ją na wprost, mimo to niepokój był coraz silniejszy. W powietrzu nasilał się nowy zapach, zupełnie inny niż te, które czułem dotychczas. Zacerpnałem głęboko powietrza i już nie miałem wątpliwości.

Kilka godzin wcześniej, po dłuższych poszukiwaniach w rodzinnych albumach, Rafałowi w końcu udało się znaleźć zdjęcie pradziadka. Wykonana kilkadziesiąt lat wcześniej, wypłowiwała fotografia w charakterystycznym kolorze sepii, była mało czytelna, jednak gdy tylko na nią spojrzałem, nie miałem wątpliwości, kogo przedstawia. Franciszek Gielmuda, którego znałem z nocnego koszmaru i którego później zobaczyłem wchodzącego przez furtkę na podwórze Rafała, spoglądał z niej na mnie

z ledwie zauważalnym, tajemniczym uśmiechem. Siedział na krześle wyprostowany, z rękami złożonymi na kolanach, na kiczowatym tle ustawionym przez staroświeckiego fotografa. Był na zdjęciu o wiele młodszy, jednak o pomyłce nie mogło być mowy. Długo wpatrywałem się w zdjęcie, nie potrafiąc uwierzyć, że to wszystko zdarzyło się naprawdę.

— Zbladłeś — powiedział wtedy Rafał, wyjmując mi zdjęcie z rąk. — Źle się czujesz?

Chciałem odpowiedzieć, że nie, że wszystko w porządku, lecz nie potrafiłem wydobyć z siebie ani jednego słowa.

Nocna wizyta Franciszka Gielmudy kojarzyła mi się z wyraźnym zapachem tytoniu zmieszanego z wonią miodu. Siedząc ze strzelbą na kolanach, wstrząsany gwałtownymi dreszczami, czułem ten sam zapach. Nie było wątpliwości, że nie jestem sam, i wiedziałem, kto jest tuż obok.

— Czego chcesz ode mnie? — szepnąłem. — Wracaj tam, skąd przyszedłeś.

Nie usłyszałem odpowiedzi, lecz po raz drugi tego dnia poczułem na twarzy lodowaty strumień powietrza.

— Jestem tchórzem, rozumiesz? — wysyczałem. — Nie mogę mu pomóc i całe te twoje gadki o trudnych chwilach się nie sprawdzają. Musisz sobie znaleźć kogoś inne...

Przerwałem w pół słowa w chwili, gdy do moich uszu dobiegł wyraźny dźwięk. Niedaleko, tuż obok samochodu, ktoś nadepnął na suchą gałąź, która złamała się z głośnym trzaskiem. Wyteżyłem wzrok i w mlecznym świetle dojrzałem dwie sylwetki, zmierzające w stronę białego opla. Rafał prowadził dziewczynkę za rękę i, mimo że dzieliło nas kilkanaście metrów, wyraźnie widziałem ślepe, fosforyzujące bielą oczy małej dziewczynki.

Charakterystyczny zapach był wciąż obecny, lecz teraz już nie zwracałem na niego uwagi. Wstałem bezszelestnie i wpatrywałem się w postacie, które tymczasem zbliżyły się do auta. Rafał otworzył drzwi po stronie pasażera, po czym, gdy Anielka

była już w środku, delikatnie je zamknął, a następnie ruszył do drzwi kierowcy.

Ale niedaleko samochodu był jeszcze ktoś.

Potężna sylwetka bezszelestnie zbliżała się do pleców Gielmudy. Kowalik biegł tak szybko, że nawet nie zdążyłem krzyknąć. Morderczy cios spadł na kark Rafała z ogromną siłą, sprawiając, że ten padł obok auta, jak rażony piorunem. W tej samej chwili je usłyszałem.

Olbrzym, stojący nad nieruchomym ciałem spoglądał w dół z wyraźną satysfakcją. Uklęknął na jedno kolano i podniósł pięść, szykując się do zadania kolejnego ciosu.

— Zostaw go, skurwielu! — wrzasnąłem, ruszając w stronę olbrzyma.

Podniósł głowę i nasze spojrzenia się spotkały. W świetle księżyca widziałem jego zmasakrowaną twarz i błyszczące ślepia.

— Zostaw go! — powtórzyłem, kuśtykając krok za krokiem. — Takiś cwany? Zaraz zobaczymy, debilu!

Wstał, nie spuszczając ze mnie oczu. Podniosłem broń i wycelowałem w jego szeroką pierś. Już ruszał w moją stronę, gdy nagle stanął jak wryty. Wyglądało na to, że i on usłyszał w tej chwili niosące się pośród drzew bicie dzwonów.

— No chodź! — krzyknąłem, lecz on najwyraźniej przestał się mną interesować i ruszył biegiem w stronę Słonecznej Doliny.

Odrzuciłem strzelbę pomiędzy drzewa, by kilkoma niezdarnymi susami dopaść do auta. Gwałtownie szarpnąłem drzwiczki po stronie kierowcy, wsiadłem i sięgnąłem do stacyjki. Kluczyk na szczęście tkwił na swoim miejscu. Przekręciłem go, próbując uruchomić silnik, i poczułem na nadgarstku silny uścisk.

— Rafalek — powiedziała. — Gdzie Rafalek?

Lewą dłonią oswobodziłem się z chwytu małej rączki; pewnie tylko dlatego mi się to udało, że mała była kompletnie zdezorientowana.

— Zaraz do niego wrócimy.

Motor zaskoczył za pierwszym razem. Włączyłem światła, wrzuciłem jedynkę i wcisnąłem pedał gazu do oporu. Auto skoczyło do przodu.

— Rafałek! — W głosie Anielki zabrzmiała niekontrolowana panika, lecz ja, nie zważając na jej krzyki, gnałem do przodu.

Miałem najwyżej kilka minut, by wrócić do swojego świata. Postanowiłem zaryzykować, wierząc, że to się może udać.

Zobaczyłem Kowalika po przejechaniu kilkudziesięciu metrów. Biegł szybko, pochylony jak sprinter na zawodach, lecz ja wiedziałem, że wkrótce go dopadnę. Wrzuciłem dwójkę, a zaraz potem trójkę i odległość zaczęła błyskawicznie maleć.

Wreszcie z ogromną siłą trafiłem go w okolice kolan. Poleciał do tyłu, wprost na maskę, uderzył plecami w szybę i głową o krawędź dachu, po czym przetoczył się na lewą stronę auta. Chciałem natychmiast zahamować, lecz stopa zablokowała się pomiędzy pedałami gazu i hamulca. Szamotałem się bezradnie, a opel wciąż przyspieszał. W ostatniej chwili zobaczyłem stojący przede mną krzyż. Ściąłem go i zaraz potem samochód wbił się w gruby pień, a ja walnąłem czołem w kierownicę.

— Rafałek, Rafałek! — darła się dziewczynka, tłukąc piąstkami w drzwi.

W wyniku uderzenia silnik zgasł, a spod maski zaczęły wydobywać się kłęby dymu. Wreszcie udało mi się wyswobodzić uwięzioną stopę i wyskoczyłem na zewnątrz. Obiegnąłem samochód, by otworzyć drzwi po stronie pasażera. Mała wygramoliła się z wnętrza i pobiegła w stronę, z której przed chwilą przyjechaliśmy.

Cały czas słyszałem bicie dzwonów. Nie było chwili do stracenia. Wskoczyłem za kierownicę i próbowałem uruchomić silnik. Bezskutecznie. Gdy znów znalazłem się obok samochodu, miarowe dźwięki zaczęły cichnąć. Najszybciej, jak potrafiłem,

biegłem w stronę Guciowa, lecz blask reflektorów, który wciąż miałem pod powiekami, sprawił, że nie widziałem kompletnie nic. Potknąłem się o ciało Kowalika i runąłem jak długi.

Zanim się pozbierałem z ziemi, wokół panowała absolutna cisza. Oczy nieco przyzwyczyły się do ciemności, ale lasu nie rozświetlał już blask księżyca. Kuśtykałem dalej, lecz po przebyciu kilkuset metrów wciąż nie dotarłem do Rafała ani do asfaltowej drogi. Zatrzymałem się, próbowałem głęboko zaczerpnąć powietrza, lecz duszna mgła sprawiła, że jedynie zaniosłem się intensywnym kaszlem.

Stałem jeszcze przez jakiś czas, próbując uspokoić oddech, a następnie odwróciłem się i ruszyłem w kierunku auta.

5.

Zdażyłem w ostatniej chwili. Reflektory już nie świeciły, natomiast z odległości kilku metrów czuć było swąd przepalonych kabli instalacji elektrycznej i charakterystyczny zapach wyciekającego paliwa. Wiedziałem, że w każdej chwili może nastąpić wybuch, więc czym prędzej wydobylem z bagażnika gaśnicę, zanosząc dziękczynne modły za to, że Rafał nie ukrył jej pod zakupami. Zaraz potem otworzyłem pokrywę silnika. Pierwszy strumień pianki z sykiem ugasił iskry, które niewątpliwie w przeciągu krótkiego czasu spowodowałyby eksplozję.

Dopiero gdy opróżniłem całą zawartość gaśnicy, uświadomiłem sobie, że wracając nie widziałem Kowalika. Przeraziła mnie myśl, że mógł wstać i obserwuje mnie teraz z ukrycia. Rozejrzałem się wokół, lecz w ciemnościach nie byłem w stanie dojrzeć czegokolwiek. Z ulgą przypomniałem sobie, że przed zakopaniem psa Rafał wydobyl z bagażnika latarkę. Musiałem ją znaleźć za wszelką cenę.

Przekopanie się jedną ręką przez grube warstwy zapasów spożywczych zajęło mi spory kawał czasu, tym bardziej że co rusz odruchowo oglądałem się za siebie, czy przypadkiem nie mam za plecami szykującego się do ataku napastnika. Tyle że mógłby podejść na odległość kroku, a i tak bym go nie zobaczył. Wreszcie jednak wydobyłem poszukiwany przedmiot. Strumień światła rzucany przez latarkę może nie był imponujący, ale rozpraszał ciemności na odległość kilkunastu metrów, sprawiając, że poczułem się trochę pewniej.

Woń benzyny obok auta przyprawiała o mdłości, nie było więc mowy o tym, bym wsiadł do środka. Stwierdziłem, że muszę się czymś zająć, żeby nie myśleć o swoim położeniu; wciąż byłem w szoku i na logiczne myślenie było zdecydowanie za wcześnie. Zakupy w bagażniku przesiąkały smrodem paliwa, dlatego za najlepsze wyjście uznałem wypakowanie całej zawartości na dwór i ułożenie w bezpiecznej odległości. Nie było obaw, że dobiorą się do tego wszystkiego zwierzęta; z tego, co pamiętałem, ostatnie z nich opuściły te okolice kilkadziesiąt lat temu.

Zanim wziąłem się do roboty, prócz tylnej klapy pootwieralem też drzwi w nadziei, że w końcu jednak uda się wywietrzyć wnętrze samochodu.

Gdy poświeciłem do wnętrza samochodu, na tylnym siedzeniu spostrzegłem podłużny kształt. Pochyliłem się i po chwili trzymałem w rękę strzelbę podobną do tej, którą pożyczyłem od Stanisławskiego. Poczułem się znacznie bezpieczniej i zacząłem przenosić zaopatrzenie.

Brak powietrza dawał mi się porządnie we znaki, utrudniając całą operację. Ledwie po trzech kilkunastometrowych kursach sapałem jak astmatyk, któremu właśnie skończyła się zawartość inhalatora. Oparłem się ciężko o pień i włączyłem latarkę.

— Nie pójdę tam — powiedziałem do siebie. — Nawet mnie nie wkurwiał, nie pójdę i koniec.

Jednak po kolejnym spacerze było jasne, że niepewność jest gorsza nawet od najgorszego scenariusza. Kowalik mógł być tuż obok i obserwować moje poczynania w oczekiwaniu na dogodny moment do ataku. Jeśli podniósł się o własnych siłach, musiałem to wiedzieć. Trzymając strzelbę w jednej ręce i latarkę w drugiej, rozpocząłem marsz do miejsca, gdzie widziałem go po raz ostatni.

Droga, mimo że było to ledwie kilkadziesiąt metrów, dłużyła mi się niemiłosiernie. Szedłem z nadzieją, wypatrując leżącego bezwładnie, ogromnego cielska, lecz z każdym krokiem byłem coraz bardziej przekonany, że to na nic.

— Pora wracać — powiedziałem na głos. — Byle tylko nie czekał przy samochodzie...

W tym samym momencie go zobaczyłem. Przyspieszyłem kroku. Gdy dzieliło mnie od olbrzyma nie więcej niż pięć metrów, zacząłem się skradać, aż wreszcie stanąłem nad leżącym u moich stóp ciałem.

Wpatrywał się pustymi ślepiami w niebo. Dopiero teraz miałem okazję zobaczyć, jak potwornie ma zmasakrowaną twarz. Z postrzępionej dolnej połowy ciała sączyła się brunatna krew, która wokół głowy tworzyła obrzydliwą, gęstą kałużę. Omal nie zwymiotowałem, wiedziałem jednak, że muszę zebrać się w sobie, by oddalić niebezpieczeństwo i wyeliminować wroga. Przynajmniej na tę jedną noc. Byłem więcej niż pewien, że o poranku obudzi się cały i zdrowy na Czarnym Wygonie.

Przyłożyłem lufę do szerokiego czoła i już miałem nacisnąć na spust, gdy ogarnęły mnie wątpliwości.

„A co, jeśli Oni usłyszą wystrzał?” — pomyślałem. „Na pewno tego chcesz?”

Pokusa była wielka — pamiętałem przecież, co ten sukinsyn zrobił tamtej dwójce dzieciaków z Guciowa. Mimo to pochyliłem się, by stwierdzić, czy oddycha. Uderzył mnie obrzydliwy odór rozkładającego się ciała. Zdawało się, że mam do czynienia z trupem. Zadnych oznak życia.

Wiedziałem, co powinienem zrobić, ale próba rozwalenia głowy kolbą mogła się okazać niewystarczająco skuteczna, zwłaszcza że nie miałem stuprocentowej pewności, czy Kowalik nie żyje, czy jedynie stracił przytomność. Zbyt słabe pierwsze uderzenie mogło tylko sprawić, że się ocknie, a tego przecież nie chciałem.

Było jeszcze jedno wyjście. Pamiętałem, że Rafał woził w bagażniku saperkę...

„Skoro tyle leżał, to poleży jeszcze te parę minut” — przekonywałem samego siebie.

Po ostatniej chwili wahania ruszyłem w stronę auta niezdanym truchcikiem.

*

Najszybciej, jak to możliwe, wyrzucałem na ziemię pozostałą zawartość bagażnika. Raz czy dwa usłyszałem brzęk tłuczonego szkła, lecz zupełnie mnie to nie obchodziło. Najważniejsze było zdążyć przed tym, gdy Kowalik się ocknie.

Już dobiegając do samochodu, uświadomiłem sobie, że zrobiłem wielki błąd. Miałem Kowalika jak na talerzu, a teraz znów cała rozgrywka rozpoczynała się od nowa. Nawet nie chciałem myśleć, jak bardzo będę sobie wyrzucał, że nie ukatrupiłem go, mając taką możliwość.

Saperki nie było w bagażniku.

Gorączkowymi ruchami przeszukiwałem całą jego przestrzeń w nadziei, że jednak coś przeoczyłem, gdy światło latarki padło na nieznaczące wybrzuszenie pod filcową wykładziną. Odchyliłem ją i znalazłem to, czego szukałem. Niewielka, płaska łopatka leżała w samym rogu. Teraz najważniejsze było wrócić na czas.

Kolejna chwila niepewności i kolejne rozpaczliwe penetrowanie drogi snopem światła. I po raz kolejny ogromna ulga. Kowalik leżał prawie dokładnie tak, jak go zostawiłem. Prawie...

Tym razem zastałem go leżącego na brzuchu. Nie ruszał się, lecz przez ten czas musiał przecież próbować się podnieść.

Położyłem latarkę tak, by mieć go cały czas na oku. Obok niej delikatnie ułożyłem strzelbę. Wziąłem saperkę oburącz i podniosłem ją do góry.

Odwrócił głowę i popatrzył mi w oczy.

Uderzyłem z całych sił w odsłoniętą szyję. Ostrze, rozcinając skórę, ścięгна i kręgosłup, wbiło się głęboko w ziemię, a głowa odskoczyła od tułowia na kilkadziesiąt centymetrów.

Odetchnąłem i padłem na kolana obok trupa, opierając się na krótkim trzonku i hamując wzmagające się mdłości. Wtedy stało się coś, czego nie mogłem przewidzieć.

Chwycił mnie za szyję, próbując się podnieść. Ogromna siła przygniotła mnie do ziemi, a pozbawione głowy ciało, drgając konwulsyjnie, opadło w poprzek mnie. Chciałem krzyknąć, lecz ze ściśniętego gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Straciłem przytomność.

*

Gdy się ocknąłem, Kowalik wciąż przygniatł mnie do ziemi. W świetle latarki widziałem zgilotynowaną szyję, z której sączyła się brunatna krew.

Nadludzkim wysiłkiem zepchnąłem z siebie martwe cielsko i przez dłuższy czas leżałem, z trudem łapiąc oddech. Wreszcie podniosłem się, zabrałem latarkę i broń, po czym, nie oglądając się za siebie, po raz kolejny ruszyłem w stronę samochodu.

— Zabiłeś człowieka — powiedziałem. — Jesteś pieprzonym mordercą...

— I bardzo dobrze — odpowiedział ktoś wewnątrz mnie. — Trudno byłoby znaleźć kogoś, komu by się to bardziej należało.

Na szczęście stłukły się tylko dwie litrowe butelki wódki i zostało jeszcze z piętnaście. Jedną z nich odkręciłem i upiłem sporą część zawartości.

Spodziewałem się, że nie było to moje ostatnie spotkanie z Kowalikiem, jednak gdy krew zaczęła żywiej krążyć w żyłach, krzyknąłem w jego stronę:

— Bodajbyś się w piekle smażył!

Zaraz potem usiadłem w fotelu kierowcy, pociągnąłem raz jeszcze z flaszki i rozparłem się wygodnie. Nie dbałem o opary benzyny. Musiałem odpocząć...

— ...Dobrze się spisałeś, tato.

Siedziałem z zamkniętymi oczyma. Głowę miałem ciężką tak bardzo, że nie dałem rady nawet podnieść jej z zagłówek, lecz ten głos poznałbym na końcu świata.

— Krzyś — wyszeptalem. — Synku, skąd się tu wzięłeś? Nie powinienes tutaj być...

Poczułem jego ciepłą rączkę na swojej dłoni.

— Zawsze jestem przy tobie — powiedział. — Tyle, że teraz możesz mnie wreszcie usłyszeć...

A jednak wreszcie mi się udało. Otworzyłem oczy i skierowałem wzrok na siedzenie obok. Uśmiechał się tym swoim uśmiechem, którego od lat tak bardzo mi było brak.

Patrzyłem w jego oczy przez dłuższy czas i byłem najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem.

— Pod słońcem? — uśmiechnął się. — Nie, tato, tutaj nie ma słońca. Dasz radę, zobaczysz. Jestem z ciebie bardzo dumny...

„Jestem z ciebie bardzo dumny”. Ileż razy zwracał się do mnie w ten sposób... Gdy kupiłem mu wymarzoną zabawkę, gdy strzelił mi gola swoją kolorową, gumową piłką, gdy siedziałem przy jego szpitalnym łóżku...

— Syneczku...

— Uważaj na Nich — szepnął, a później spojrzął gdzieś poza moje plecy.

Powoli dniało.

Idąc za jego wzrokiem, zarejestrowałem ciemne kształty pni drzew widoczne za szybę opia.

Mężczyzna w kapturze szedł w naszą stronę. Widziałem nienawistne oczy, świecące się pod ciemną tkaniną. W ręce trzymał sznur związany w wisielczą pętlę.

Staął obok auta i wolną ręką chwycił moją szyję.

— Zostaw go — usłyszałem z prawej strony spokojny głos Krzysia. — Nie jesteś na tyle silny, by się ze mną teraz zmierzyć.

Znów zamknąłem oczy i poczułem, że zaczynam tracić oddech, lecz nagle uścisk zelżał.

Odetchnąłem głębiej i spojrzałem w lewo. Mężczyzna zniknął.

— Krzys...? — Sięgnąłem ręką w stronę fotela po prawej stronie.

Znów byłem w samochodzie sam.

6.

Kiedy się ocknąłem, odruchowo spojrzałem na fotel pasażera. Koszmar, który mi się przyśnił, był przerażający, lecz tym razem chciałem, żeby trwał nadal. Przecież po latach spotkałem w nim ukochanego syna.

Było jasno. Nie na tyle, bym mógł powiedzieć, że dzień jest w pełni, ale pamiętałem, że dzień w Starzyźnie wygląda zupełnie inaczej, niż się do tego przyzwyczaiłem. Zegarek wskazywał szóstą trzydzieści. Sięgnąłem dłonią do szyi i poczułem ból, prawdopodobnie spowodowany rozpaczliwymi próbami uwolnienia się spod ogromnego ciała Kowalika. Ta wersja była najlepsza. Nie chciałem przecież myśleć, że ktoś kilka godzin temu rzeczywiście chwycił mnie za gardło.

W powietrzu wciąż unosił się mdlący smród paliwa, który przyprawiał o zawroty głowy. Bezskutecznie próbowałem opanować mdłości. Wysiadłem z samochodu i zwymiotowałem.

Po jakimś czasie poczułem się lepiej i stwierdziłem, że muszę wziąć się w garść. Z obrzydzeniem wsiałem do auta wstrzymując oddech i, zupełnie bez wiary w powodzenie, spróbowałem odpalić silnik. Rozrusznik nie odpowiedział.

Spojrzałem we wsteczne lusterko i pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, był sporej wielkości guz, otoczony wyraźnym, różnokolorowym zasinieniem. Po uderzeniu czołem w kierownicę byłaby to rzecz całkowicie normalna, gdyby nie fakt, że znajdowałem się przecież w Starzyźnie. Nie powinienem mieć żadnych obrażeń z poprzedniego dnia. Przynajmniej tak zapewniał Rafał w swoim brulionie...

Niedługo potem kuśtykałem drogą w nadziei, że nie tylko u mnie pozostały ślady po nocnych wydarzeniach.

Kowalik w dwóch częściach leżał dokładnie tak, jak go zostawiłem. Wokół szerokiej szyi widać było rozległą, brunatnoczarną kałużę zaschłej krwi, a wielka głowa odrzucona była o kilkadziesiąt centymetrów od ciała.

Podjeżdżałem, że to wszystko zmieni się po kolejnej nocy; być może od wydarzeń minęło zbyt mało czasu. Tak, czy inaczej, miałem w perspektywie jeden dzień bez Kowalika.

Musiałem to wykorzystać.

*

Starzyzna wyglądała dokładnie tak, jak opisał ją Rafał, bez trudu znalazłem więc dom Trześniowskich. Wyraźnie było widać, że czas zrobił swoje, co nie dziwiło, biorąc pod uwagę fakt, że gospodarz, jego córka, wnuczka i Rafał zniknęli stąd dwa lata wcześniej. Dom, w porównaniu do innych zawalonych chałup, wyglądał na tyle dobrze, że po oszacowaniu zniszczeń

uznałem, że mogę bez obaw zamieszkać w opuszczonym gospodarstwie.

Za pierwszym razem nie zabrałem ze sobą zbyt wielu rzeczy. Przede wszystkim chciałem jak najszybciej dotrzeć do wsi, a nadmiar bagażu mógłby mi to utrudnić.

Kilka foliowych reklamówek położyłem na kuchennym stole i ruszyłem w powrotną drogę do samochodu. Dopiero gdy dotarłem na miejsce, zrozumiałem, jak bardzo ciężko oddycha się w Starzyźnie. Odpoczywałem przez dłuższą chwilę, aż wreszcie, objuczony, tym razem do granic możliwości, znów poczłapałem do wsi.

„Nikogo tam nie ma” — pomyślałem, wychodząc na otwartą przestrzeń i przystając na jej skraju. „Przecież powinienem był kogoś zobaczyć...”

Ani tym razem, ani za każdym z kolejnych sześciu kursów nie dostrzegłem we wsi żywego ducha.

*

Przeniesienie prawie całego bagażu zajęło mi cały dzień. Za każdym razem marsz był trudniejszy, z każdą chwilą zdawało się, że mam coraz mniej powietrza, którym mógłbym głęboko odetchnąć.

Ostatni kurs był na tyle wyczerpujący, że musiałem długo łapać oddech przy samochodzie. Byłem skrajnie wyczerpany, lecz czasu nie było już zbyt wiele.

Wtedy też przyszło mi do głowy, by sprawdzić, czy strzelba jest naładowana. Nie była. Przeszukałem auto i, gdy nie znalazłem amunicji, wyrzuciłem broń daleko w zarośla. Stwierdziłem, że naboje pewnie zostały w kieszeni Rafała, i cieszyłem się, że dowiedziałem się o tym dopiero teraz.

Zapadał zmierzch.

Zanim wziąłem ostatnich kilka pakunków, postanowiłem jeszcze dla świętego spokoju sprawdzić, czy Kowalik leży tak, jak go zostawiłem. Gdy tylko z daleka zobaczyłem bezwładne ciało, zawróciłem uspokojony. Wyglądało na to, że przynajmniej

na razie olbrzym nie jest mi w stanie w niczym przeszkodzić.

Zabrałem ostatnie foliowe torby i saperkę. Przed wyruszeniem w drogę postanowiłem jeszcze dokładnie zlustrować samochód, czy aby nie zostało w nim coś, co mogłoby mi się przydać. Bagażnik był pusty, wewnątrz auta również nie dostrzegłem niczego. Zajrzałem pod siedzenia i do schowka umiejscowionego naprzeciw fotela pasażera. Był prawie pusty.

Jedyną rzeczą, która w nim się znajdowała, był dobrze mi znany brulion. Przysięgłbym, że gdy opuszczaliśmy dom Rafała, leżał na stole w pokoju, w którym mieszkałem. Uznałem, że widocznie nie zauważyłem, jak Gielmuda zabrał go w ostatniej chwili.

Zamknąłem schowek w przekonaniu, że zapisany zeszyt nie może mi się do niczego przydać, lecz po chwili wyjąłem go z szufladki. Pomyślałem, że zapisane kartki pozwolą mi przypomnieć sobie zasady panujące w wiosce. Mimo że treść znałem dość dobrze, zawsze mogłem o czymś przecież zapomnieć.

Pozamykałem samochód i stanąłem obok, objuczony pakunkami. Zamierzałem wrócić tu następnego dnia w nadziei, że magia Starzyzny sprawi, że auto znów będzie w pełni sprawne.

„Później tylko trzeba będzie pojechać do zagrody Trześniowskiego i jakoś przetrwać cały rok” — pomyślałem, ruszając w drogę.

Ciemność zapadała bardzo szybko, lecz wciąż było na tyle jasno, bym nie musiał używać latarki. Często, o wiele za często, myślałem, czy przypadkiem z ukrycia nie obserwują mnie pełne złości oczy ukryte pod szerokim kapturem.

*

Docierając do pierwszych zabudowań, musiałem posiłkować się latarką.

W żadnym z okien nie paliło się światło. Starzyzna wyglądała na całkowicie wymarłą. Nie chciałem nawet zastanawiać się, co takiego wydarzyło się w tym miejscu od opuszczenia go przez Rafała.

Dom Trześniowskich znałem z zapisków tak dobrze, że natychmiast znalazłem w kredensie świecę. Miałem w kieszeni kurtki zapalniczkę i po chwili wewnątrz kuchni rozjaśnił ciepły blask.

Nie zamierzałem zasnąć tej nocy; za bardzo obawiałem się tego, co może się zdarzyć. Zjadłem coś i nałamałem sobie wódki z zapasów, które wcześniej przyniosłem.

Siedząc przy stole, zastanawiałem się, jak uda mi się dotrzeć do rana. Wreszcie sięgnąłem po brulion. Było to lepsze niż bezmyślne wpatrywanie się w ścianę naprzeciwko. Otworzyłem okładkę i spojrzałem na zapisaną kartkę, spodziewając się tak dobrze przecież znanego mi tekstu.

Zeszyt był dokładnie taki sam, lecz jego zawartość zupełnie inna. Jeszcze raz spojrzałem, zastanawiając się, czy oczy mnie nie mylą. Charakter pisma znałem dobrze, lecz pierwszą stronę widziałem po raz pierwszy...

Starzyzna

I

Bardzo ważne dla Rafała było również to, że wreszcie, po tyśiąc dziewięćdziesięciu dwóch dniach, znów znalazł się w znajomym otoczeniu.

Podczas pobytu w Starzyźnie wielokrotnie wyobrażał sobie ten moment, gdy znów przekroczy próg rodzinnego domu w Krasnobrodzie, poczuje ten dobrze znany, jedyny w swoim rodzaju zapach dzieciństwa, nasiąknięty przez kolejne lata wonią gotowanych potraw, rodzinnego ciepła, a czasem też złości i niezrozumień. Cała ta gama zdarzeń składała się na niepowtarzalny klimat, w którym od dawna pragnął się zatopić.

Wtedy, dziesiątego kwietnia dwa tysiące czwartego roku, wszystko odbyło się mniej więcej tak, jak się spodziewał (może poza reakcją matki, która na widok Rafała padła jak rażona piorunem i przez dłuższą chwilę nie mogła odzyskać przytomności). Było wzruszenie, łyzy radości, kilka niezbyt nachalnych pytań skwitowanych wymijającymi odpowiedziami.

Kiedy niedługo po powitaniu siedzieli we trójkę przy kuchennym stole, Rafał patrząc na rodziców wyraźnie dostrzegł

piętno czasu, wryte na twarzach, które tak dobrze znał. Z pewnością przyczyniła się do tego długa nieobecność ich ukochanego syna i przekonanie, że nigdy już nie wróci. Było mu przykro z powodu tych zmartwień, lecz był więcej niż pewien, że nie zamieniłby ani tych zmarszczek, ani nadmiaru siwych włosów na złudne uczucie nieśmiertelności, towarzyszące mu przez ostatnie prawie trzy lata. Chciałby im to wszystko powiedzieć, chciałby w krótkich słowach przekazać tę pewność, że upływający czas wbrew pozorom jest błogosławieństwem, a nie przekleństwem, lecz było na to jeszcze zbyt wcześnie.

— Nic się nie zmieniłeś, synku — odezwała się matka Rafała po chwili milczenia. — Wyglądasz dokładnie tak, jakbym widziała cię nie dalej niż tydzień temu...

— Wiem, mamó — odparł. — Wiem, że się nie zmieniłem, ale wcale się tak bardzo z tego nie cieszę... Nie pora na to, by powiedzieć wam coś więcej, nie jestem jeszcze na to gotowy... Chcę tylko, żebyście nie mieli do mnie żalu o to, że nie dałem znać, co się ze mną dzieje. Przysięgam na wszystkie świętości, że zrobiłbym to, gdybym tylko miał taką możliwość.

— Najważniejsze, że wróciłeś — powiedział ojciec. — Reszta ma mniejsze znaczenie.

— Cieszę się, że tak myślisz, tato. Jestem zmęczony i muszę sobie to poukładać. — Rafał podniósł się z krzesła. — Zanim się położę, chciałbym wam jeszcze coś... a właściwie kogoś pokazać.

Spojrzeli na niego równocześnie. Zaskoczeni i niespokojni.

— Po prostu nie chcę, żebyście za parę godzin doznali kolejnego szoku — dodał lekko się uśmiechając. — Chodźmy na górę, tylko proszę, postarajcie się zachowywać jak najciszej.

Świtało i było już na tyle jasno, że Rafał, otwierając drzwi do swojego pokoju, nie musiał włączać światła. Paulinka spała spokojnie z lekko otwartą buzią, obejmując i mocno przytulając

się do ramienia Helenki, która prawdopodobnie śniła o czymś przyjemnym, bo ładną twarz dziewczyny rozjaśniał delikatny uśmiech.

— Boże przenajświętszy! — szepnęła Gielmudowa. Chciała powiedzieć coś więcej, lecz poczuła na łokciu dłoń męża i z najwyższym trudem udało jej się opanować.

Droga po schodach w dół wydawała się dla niej o wiele trudniejsza niż ta, którą przebyli chwilę wcześniej. Matka Rafała przystawała co chwila, jakby cierpiąc na niedobór powietrza, a ojciec cały czas trzymał ją pod rękę w obawie przed kolejnym omdleniem.

*

Niedługo potem Rafał leżał w swoim pokoju na rozkładanym materacu, obok łóżka, na którym spokojnie spały Paulinka i Helenka. Był potwornie zmęczony, lecz miał wrażenie, że prędko nie zaśnie.

Zaczął się zastanawiać, kiedy tak naprawdę człowiek zostaje dziadkiem lub babcią i skłaniał się do tezy, że ma to miejsce dopiero wtedy, gdy taka wiadomość dociera do adresata. Formalnie — rzecz jasna — wygląda to inaczej, lecz w tym wypadku chyba ważniejsza jest świadomość faktu, że ma się wnuka lub wnuczkę.

„Dużo wrażeń dla staruszków jak na jeden krótki poranek” — pomyślał.

Był przekonany, że wciąż siedzą przy stole i szeptem wymieniają wrażenia na temat tego, co się stało. Wstając z łóżka byli rodzicami, którzy doznali straty, a niedługo potem świat wykonał salto i stanął na głowie. Nie tylko przedziwnym zrządzeniem losu odzyskali dawno już opłakanego syna, ale też w jednej sekundzie stali się dziadkami i — może trochę przyszywanymi, jak na razie, ale jednak zawsze — teściami.

Rafał rozpaczliwie potrzebował snu, lecz z przyjemnością wsłuchiwał się w otaczającą go błogą ciszę. Było to uczucie jakże

inne od pełnych niepokoju nocnych godzin, które w ostatnich miesiącach spędził w Starzyźnie.

Najgorszy był czas, w którym oboje z Helenką marzyli o wydostaniu się z przeklętej wsi, a jednocześnie mieli za sobą nieudaną próbę w roku dwa tysiące trzecim. Prawdziwy koszmar rozpoczął się gdzieś w okolicach Bożego Narodzenia, gdy do planowanego wyjazdu pozostawało zaledwie kilka miesięcy.

Gielmuda chodził po domu podminowany, nie mogąc doczekać się kolejnego dnia; jego nadejście niczego nie zmieniało i znów był kłębkim nerwów. Napięcie dość mocno udzielało się pozostałym domownikom, jednak oni — oczywiście poza kilkumiesięczną Paulinką — dobrze rozumieli powagę sytuacji i ani Helenka, ani nawet stary Trześniowski nie próbowali uspokajać nieznośnego chwilami Rafała. Było jasne, że pierwszy raz w życiu zależał od niego los innych i trudno było się dziwić, że ten młody przecież jeszcze człowiek z trudem daje sobie radę z zaistniałą sytuacją.

Spadło sporo śniegu, więc o jakichkolwiek pracach przy domu czy w lesie nie było mowy. Białej pokrywy z każdym dniem przybywało i spokojny, nieruchomy i chłodny krajobraz na zewnątrz jeszcze bardziej kontrastował z emocjami, buzującymi we wnętrzu drewnianego domu.

Tak było do trzydziestego pierwszego grudnia i z nadejściem nowego roku wszystko się zmieniło.

Człowiek czasem chwyta się jakiejś płonnej nadziei, przywiązuje wagę do mało znaczącego drobiazgu, by potem to ledwie kielkujące i kruche ziarenko hodować w sobie z wielką pieczołowitością i determinacją. Jeśli ma trochę szczęścia, uda mu się po jakimś czasie uwierzyć, że ziarenko przekształciło się w ogromne, rozłożyste drzewo, które ochroni swojego dobrodzieja nawet w najtrudniejszych chwilach.

Dokładnie tak było z Gielmuda, gdy w sylwestra, leżąc na łożku z dłońmi założonymi za głowę, skrupulatnie wyliczył, że od Wielkiego Piątku dzieli go dokładnie sto dni. Już po kilku

chwilach od tego odkrycia był niemal pewien, że to nie może być przypadek. Przekonanie samego siebie, że w świecie, w którym zwykły zbieg okoliczności związany z datą może sprawić przejście do innego wymiaru, a liczby i symbole mogą mieć głęboki sens, nie było specjalnie trudne. Od tej chwili Rafał hodował w sobie ziarenko, które sprawiało, że z każdym dniem bał się coraz mniej, będąc jednocześnie coraz bardziej przekonanym, że dzięki magicznej liczbie dni nic i nikt nie zdoła pokrzyżować jego planów.

Leżąc w domu swoich rodziców, przypominał sobie ten dziwny stan niezachwianego przekonania. Być może bez tej graniczącej z zuchwałością pewności nie wybrałby się tuż przed wyjazdem na Czarny Wygon, może nie przekreśliłby jeszcze ten jeden raz kluczyka w stacyjce? Kto wie, może nie miałby w sobie tyle stanowczości, by wcisnąć do oporu pedał gazu, gdy bezwładne ciało Marcina Kowalika w kluczowej chwili upadło na maskę samochodu?

Wspomnienie nocnej podróży przypomniało mu Anielkę i to, że zostawił ją samą w okolicach Guciowa. Postanowił, że jeszcze tego samego dnia wróci, by zobaczyć, co się z nią stało, i dokładnie w tej chwili zapadł w głęboki, spokojny sen.

II

Mijał czas, a obietnica dana samemu sobie wydawała się coraz bardziej odległa i traciła na znaczeniu. Były ważniejsze sprawy. Paulinka rosła jak na drożdżach, przysparzając tym mnóstwo radości zarówno rodzicom, jak i dziadkom. Wiosna sprzyjała spacerom i spotkaniom ze znajomymi Rafała, którzy nie ukrywali radości, że zaginiony kumpel odnalazł się po kilku latach.

Przywołująca złe skojarzenia miejscowość Guciów i mała dziewczynka, klucząca wśród przepastnych, roztoczańskich lasów, zupełnie nie znajdowały się przy drodze prowadzącej z powrotem do normalnego życia. Co więcej, gdy trzeba było pojechać do Zwierzyńca, do przyjaciela ze studiów, Rafał zaczął wybierać inną trasę od tej, którą jeździł wcześniej. Wydawało mu się, że wystarczy przykryć oczy dłońmi, a koszmary znikną, że trzeba tylko zająć się czymś nowym, a złe wspomnienia już nigdy nie wrócą.

Gielmuda trwał w tym przekonaniu mniej więcej do połowy roku. Potem wypadki zaczęły toczyć się błyskawicznie, a duchy przeszłości z coraz większą siłą starały się przypomnieć o swoim istnieniu.

Na początku lipca matka Rafała zwróciła uwagę na dziwny wygląd Helenki i, starając się zrobić to jak najbardziej delikatnie, podzieliła się swoimi spostrzeżeniami z synem. Zaniepokoiły ją coraz liczniejsze zmarszczki, które były wyraźne nie tylko wokół oczu, ale też wcinały się głęboko w czoło dziewczynki, a także biegiły od kącików ust w kierunku brody.

Gielmuda solennie obiecał, że będzie bardziej przykładał się do opieki nad córką, składając niepokojący wygląd Helenki na karb zmęczenia i nadmiaru obowiązków. Słowa dotrzymał, lecz mimo to już we wrześniu włosy na jej głowie były całkiem siwe, a podczas zakupów w innych miejscowościach, sprzedawczynie były przekonane, że Paulinka wchodzi do sklepu ze swoją babcią, a nie mamą.

Rafał w tym czasie też nie czuł się najlepiej. Coraz bardziej bolał go kręgosłup i stawy, co było bardziej odczuwalne przed zmianą pogody. Ponadto ze zdumieniem także na swojej głowie zaczął dostrzegać oznaki siwizny; zmiany postępowały jednak znacznie wolniej niż u dziewczynki.

Olśnienie przyszło nagle, gdy w połowie września przyglądał się swojej córce, baraszkującej na placu zabaw z innymi dziewczynkami. Mimo że mentalnie wciąż była na poziomie mniej

więcej rocznego dziecka, nie potrafiła mówić i miała problemy z najprostszymi czynnościami, to wzrostem i koordynacją ruchową niewiele ustępowała sąsiadkom, które miały po trzy lata.

Wtedy już wiedział, że to nie może być przypadek.

Kiedy przypomniał sobie Trześniowskiego, który zmarł natchmiasz po podróży ze Starzyzny, a jego ciało niemal doszczętnie rozłożyło się dosłownie w kilkadziesiąt minut, poszczególne elementy układanki zaczęły do siebie idealnie pasować. Oczywistym wnioskiem było, że im ktoś więcej czasu spędził w przeklętej wiosce, tym szybciej starzał się w nowej rzeczywistości.

Wystarczyło teraz tylko poznać przyczynę tego stanu rzeczy i znaleźć odpowiednie antidotum.

*

Kończył się rok dwa tysiące czwarty, a efekty poszukiwań były więcej niż mierne.

Żaden z artykułów prasowych czy internetowych, do których udało się dotrzeć Gielmudzie, nie wspominał o wypadku podobnym do tego, co stało się udziałem mieszkańców Starzyzny. Przez kilka miesięcy Rafał przeczytał uważnie wiele publikacji akademickich i popularnych pozycji, traktujących o wierzeniach ludowych, klątwach, czarach i gusłach, ale nie znalazł czegokolwiek, co mogłoby naprowadzić go na jakiś wartościowy ślad.

Gdy w tym czasie patrzył na Helenkę i Paulinkę, coraz częściej przychodziło mu na myśl, że wiele by dał za to, by czas znów zatrzymał się tak jak w Starzyźnie i dał szansę na odnalezienie właściwego tropu.

Nic podobnego się jednak nie stało.

Ukochana kobieta, z którą Rafał zamierzał spędzić resztę życia, wyglądała na co najmniej siedemdziesiąt lat i poruszała się z wielkim trudem, często pomagając sobie laską. Natomiast Paulinka, która dopiero zaczynała składać sylaby w pierwsze

nieporadne wyrazy, znów bardzo urosła i coraz częściej musiała zostawać w domu z uwagi na docinki innych dzieci, które wyśmiewały jej nadnaturalny wzrost.

Gielmudzie coraz trudniej było też rozpoznać samego siebie w lustrze, a w uczelnianych bibliotekach, w których bywał, regularnie brano go za wykładowcę, lecz o siebie dbał najmniej. Najważniejsze były kobiety jego życia. Pierwsza z nich, wydała się, stała już nad grobem, a druga...? Rafał pamiętał doskonale historię dzieci urodzonych w Starzyźnie, o których opowiadał mu Jasiak Grela. Czy Paulinkę czekała ta sama przyszłość i również miała umrzeć w wieku pięciu lat? Za wszelką cenę nie mógł do tego dopuścić.

Los uśmiechnął się do niego na początku stycznia, gdy na jednym z internetowych forów znalazł pojęcie „kłątwy zatajenia”. Jak tłumaczył w swoim wpisie jeden z internautów, polegała ona na tym, że zniknięcie ze współczesnego świata i osamotnienie w świecie równoległym wywołane jest złymi uczynkami, a zdjęcie kłątwy może być spowodowane przez ujawnienie tego możliwie jak największej liczbie osób.

Rafał próbował skontaktować się z autorem wpisu, lecz wszelkie próby spęły na niczym; prawdopodobnie „Ojciec Mrok” (taki był jego pseudonim) przestał bywać na forum i najpewniej zmienił też adres mailowy, tak więc Gielmudzie musiały wystarczyć te informacje, które wyczytał w niezbyt obszernych postach. Ale to już przecież było coś.

Poszukiwania osoby, która mogłaby opisać historię Starzyzny i jej mieszkańców, rozpoczął od największych polskich gazet i czasopism. Redaktorzy większości z nich nawet nie zareagowali na rozpaczliwe prośby Rafała. Dwie otrzymane odpowiedzi tłumaczyły niezbyt przekonująco, że wobec zamieszania związanego z aferą Rywina, redakcje zmuszone są bardzo starannie dobierać tematy, którymi będą się zajmować (w jednej z nich dawano nawet do zrozumienia, że istnieją obawy przed prowokacją konkurencji). Pod koniec lutego dwa tysiące piątego

roku nadeszła odpowiedź, która dawała pewne nadzieje na zainteresowanie sprawą, lecz redakcja prosiła o kilka miesięcy cierpliwości.

Tyle że Rafał nie mógł czekać.

W jednej z ogólnopolskich gazet natrafił na adres mailowy niejakiego Witolda Uchmanna — dziennikarza zajmującego się zjawiskami paranormalnymi. Wysłał do niego błagalny mail, a redaktor odpowiedział nadspodziewanie szybko. Zapowiedział wizytę w Guciovie, a Gielmuda wiedział, że to pierwsza i ostatnia szansa.

Teraz pozostało mu tylko czekać na spotkanie z Uchmannem, który w Guciovie miał się pojawić w czwartek, dziesiątego marca.

Rozdział drugi

1.

— O, żesz ty, skurczybyku jeden — mruknąłem. — Jakoś nie mi nie wspominałeś, że wcześniej zwracałeś się też do konkurencji...

Postanowiłem, że przy najbliższej okazji nagadam Rafałowi za to, że ukrył przede mną próby opublikowania informacji o Starzyźnie w innych mediach, a ja byłem ostatnią, a co za tym idzie, najpewniej najsłabszą deską ratunku. Zaraz potem przyszło mi na myśl, że być może w ogóle nie będę miał takiej okazji, a jeśli już, to najwcześniej dopiero mniej więcej za rok.

„Nie mogłeś się bardziej postarać i wkręcić w to jakiegoś innego frajera?” — zapytałem Gielmudę w myślach.

— Pewnie nie mógł, bo w przeciwnym razie być może nie ja bym siedział na tym zadupiu — odpowiedziałem sobie na głos. — Ciekawe, co bym teraz robił w Warszawie?

Ale nie byłem w Warszawie, tylko w pustym, drewnianym domu i nawet nie mogłem powiedzieć, że znajdował się on na końcu świata. Był gdzieś o wiele dalej.

Trochę szumiało mi w głowie, co tłumilo obawy związane z moim, nie najłatwiejszym przecież, położeniem. Nawet nie

wiedziałem, czy prócz mnie ktoś jeszcze jest w Starzyźnie. Bardziej jednak interesował mnie leżący przede mną brulion.

Zapisanych kartek nie było zbyt wiele; przeczytałem może połowę tekstu. Nie miałem pojęcia, kiedy Rafał zdążył go napisać. Mogłem przypuszczać, że dowiem się tego z dalszych zapisów. Zastanawiałem się, po co w ogóle to zrobił. Po chwili namysłu uznałem, że kiedy dowiedział się o konieczności powrotu do Starzyzny, postanowił postąpić dokładnie tak, jak w poprzednim wypadku — zapisać wszystko, a po ewentualnym powrocie dać to komuś — pewnie mnie, bo niby komu innemu? — do opublikowania.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła dwudziesta trzecia.

„Co on teraz robi i co sobie myśli? Pewnie zachodzi w głowę, co stało się ze mną i z samochodem.”

Uśmiechnąłem się do własnych myśli, wyobrażając sobie, jak przyjmie mnie Rafał, gdy znów pojawię się w Krasnobrodzie. Po raz kolejny w krótkim czasie mina mi dość mocno zredła. Rok to jednak kawał czasu.

Spojrzałem na świece. Wypaliły się może w jednej trzeciej.

Mimo wszystko ciekaw byłem tego, co się z nimi stanie. Czy naprawdę jutro rano znów będą wyglądały na nienaruszone? Wstałem i podszedłem do kredensu. Wyjąłem z niego ceramiczny kubek i gwałtownym ruchem roztrzaskałem go o podłogę, po czym wróciłem do stołu.

Głowa zaczynała mi ciążyć, lecz nie zamierzałem dać za wygraną. Musiałem wytrwać w postanowieniu i doczekać brzasku. Pociągnąłem z gwinta, wziąłem jedną ze świec i ruszyłem na obchód domostwa. Przechodząc kolejno wszystkie pomieszczenia, czułem się niewyraźnie, lecz ciekawość była silniejsza od strachu. Na koniec zostawiłem pokój, w którym spał wcześniej Rafał. Jego zapiski były na tyle dokładne, że naciskając kławkę dokładnie wiedziałem, co zobaczę po wejściu do środka. Nie spodziewałem się tylko otwartego na oścież okna.

Przeciąg nieomal zdmuchnął płomień, gdy stanąłem w progu. Natychmiast osłoniłem knot dłonią, wszedłem dalej i zamknąłem za sobą drzwi. Zastanowiłem się, czy to możliwe, że wcześniej — oglądając dom od zewnątrz — nie zauważyłem otwartego okna. Postawiłbym wszystkie pieniądze na to, że taki szczegół rzuciłby mi się w oczy, lecz nie mogłem być niczego do końca pewien. Przenosząc bagaże zwracałem raczej uwagę na to, czy dostrzegę kogoś z mieszkańców, więc... Teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

Przeszedłem przez pokój i sięgnąłem do lewego skrzydła okna. Płomień znów niebezpiecznie zadrżał. Skupiłem całą uwagę na tym, by nie zgasł, i dopiero po chwili dotarło do mnie, że czyjaś chłodna dłoń z ogromną siłą zaciska się na moim lewym nadgarstku.

Głos ugrzązł mi w gardle, przez co nie mogłem wydać z siebie nawet najcichszego krzyku. Odrzuciłem świecę i wolną ręką złapałem za zaciskające się coraz mocniej palce. Próbowałem je odgiąć, lecz bezskutecznie. Świeca zgasła i szamotanina odbywała się w całkowitej ciemności. Zrozumiałem, że nie mam żadnych szans. Ktoś z zewnątrz próbował mnie wyciągnąć przez okno w chłodny mrok. Opadłem na kolana i z całych sił szarpnąłem się do tyłu. Odniosło to taki sam skutek, jakbym chciał jednym ruchem poruszyć tira z zaciągniętym hamulcem ręcznym.

— Zostaw mnie, skurwielu — wyrzęziłem. — Puszczaj!

Napastnik chwycił moje przedramię drugą ręką i łagodnie pociągnął. Było jasne, że za chwilę znajdę się po drugiej stronie.

— Rafał! — wrzasnąłem. — Chodź tu! Szybko!

To było jedyne, co przyszło mi do głowy, jednak ze zdziwieniem stwierdziłem, że uścisk nieco zelżał. Szarpnąłem się raz jeszcze i udało mi się wyswobodzić. Odkoczyłem w tył i wyłożyłem się jak długi.

— Rafał? — zabrzmiał tubalny głos z zewnątrz. — Jest z tobą Rafał? Przecież żem go nie widział dzisiaj...

Konsternacja w głosie napastnika była tak naturalna, że w innych okolicznościach zabrzmiałoby to niemal komicznie.

— A coś myślał, baranie?

Odpowiedziała mi cisza. Zebrałem się w sobie i na czworakach podpełzłem do okna, pamiętając, że jeśli będę zabarykadowany w środku, to nic nie powinno mi grozić.

— Baranie? — Głos nie dobiegał już bezpośrednio zza okna. Siłacz najwyraźniej cofnął się o kilka kroków. Wykorzystałem to i natychmiast zatrzasnąłem skrzydła, po czym po omacku zabezpieczyłem je metalowymi haczykami.

— Możesz spierdalać! — krzyknąłem i na klęczkach ruszyłem do drzwi.

Nie widziałem absolutnie nic. Wyciągniętymi przed siebie rękoma wymacałem klamkę, a potem, kierując się na blask świec sączący się z kuchni, wciąż na czworakach, przemierzyłem sieni.

Dopiero przy kuchennym stole wstałem i zacząłem głęboko oddychać, próbując ustabilizować tętno. Nie jestem lekarzem, ale na oko, moje serce waliło z prędkością jakichś dwustu uderzeń na minutę.

Gdy trochę wyhamowało, usłyszałem pukanie do okna i głos, który słyszałem wcześniej:

— Rafał? Jesteś tam?

Podszedłem bliżej.

— Jest, ale nie chce mu się z tobą gadać.

Odpowiedziała mi cisza.

Walnąłem otwartą dłoń w szybę, zza której przed chwilą dobiegał głos, i dodałem najgłośniejszy, jak było to możliwe:

— Spieprzaj, dziadu!

Znow nic.

— Spieprzaj i wróć jutro — powiedziałem już trochę ciszej, nachylając się w stronę szyby. — Rafał śpi, ale jak będziesz tu pod oknem kołował, to go obudzę i wtedy ci nogi z dupy powyrywa! W dzień przyjdź. Słyszałeś?

— Tak — mruknął ktoś zza okna. — Słyszałem.

Postałem jeszcze trochę w bezruchu i usłyszałem oddalające się kroki.

Dopiero wtedy mogłem odetchnąć z ulgą.

Odeszła mi ochota na czytanie dalszej części brulionu. Wziąłem ze sobą dwie świece i poszedłem do pokoju, w którym zamierzałem spać. Okno było zamknięte tak, jak je zostawiłem. Postawiłem świece w oknie i położyłem się na łóżku. Nie wiedziałem, czy uda mi się zasnąć. Wciąż byłem mocno zdenerwowany.

„Lepiej byłoby czuwać do rana” — pomyślałem.

I to była ostatnia myśl, jaką udało mi się zapamiętać.

2.

Obudziłem się gdzieś koło siódmej. Leniwie rozpraszająca się za oknami szarówka nie wywoływała nadmiernego zapału do wstawania, a jednocześnie dawała poczucie względnego bezpieczeństwa. Skoro noc minęła spokojnie, to w dzień tym bardziej nie powinno mi nic grozić.

Jedno było pewne — musiałem poszukać jakiegoś żywego ducha, bo jeszcze kilka samotnych nocy, parę odwiedzin takich, jak ostatnie i sfiksuję na amen. O ile w ogóle w pobliżu jest jakiś żywy duch; w obecność tych mniej żywych raczej nie wątpiłem.

Nocna wizyta nie należała do najprzyjemniejszych, lecz po zastanowieniu (przerywanym niekontrolowanymi napadami drzemki) uznałem, że nie jest tak źle, jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Miałem podstawy sądzić, że odwiedził mnie nocą Jasiek Grela. Jeśli miałbym sobie go wyobrazić na podstawie zapisków Rafała, to miałby on dokładnie tak niski głos i siłę niedźwiedzia w łapach. Nie widziałem wprawdzie jego brodatej twarzy, ale fakt, że bardziej był zainteresowany

Rafałem niż mną, potwierdzał w pewien sposób te domysły. Niepokoiło mnie tylko, że tak zwani „Oni” mogli się zmieniać, by zmylić swoją ofiarę, jak było to w przypadku tej kobiety, zdaje się Bielakowej, która przybrała postać matki Gielmudy zaraz po jego przyjeździe. Zastanawiające było też, że Jasiiek przyszedł w nocy, nie bojąc się, że przytrafi mu się coś złego. Przecież już wcześniej mógł to zrobić...

Uznałem, że więcej nic nie wymyślę, a wszystko z pewnością i tak się wkrótce wyjaśni, więc wstałem z łóżka i pokużykałem do kuchni.

Bez większych emocji włożyłem do kredensu świece, po których w ogóle nie było znać śladów używania, a także cudownie zmartwychwstały kubek. Chyba już na tyle uwierzyłem Rafałowi, że byłem w stanie zaakceptować wszystko to, o czym pisał i mówił. Przypomniałem sobie w tej chwili o guzie, który powstał od uderzenia w kierownicę. Śmiało dotknąłem czoła i głowę przeszył ostry ból. Raz jeszcze otworzyłem drzwiczki kredensu i wyjąłem ze środka lusterko. Potężna, różnokolorowa śliwa ozdabiała prawie połowę czoła.

— Cholera, niedobrze — powiedziałem do siebie i wcale nie martwiłem się w tym momencie o siniaka na głowie. O wiele bardziej od niego interesował mnie rozbity biały opel i to wcale nie dlatego, że byłem fanem motoryzacji.

Nie miałem ochoty wychodzić na zewnątrz, ale wiedziałem, że nie wytrzymam tej niepewności.

*

Byłem już przygotowany do wyjścia, gdy usłyszałem najpierw cichy, a później coraz to bardziej nasilający się szmer uderzającego o dach deszczu. Przeszedłem przez mroczną sień i otworzyłem drzwi prowadzące na zewnątrz.

Podwórze spowite było w gęstych, mlecznych oparach, dodatkowo potęgujących uczucie duszności. Niebo zasnuwały

ciężkie chmury, zdające się wręcz zahaczać o dachy budynków gospodarczych. Nie wyczuwałem na twarzy najbliższego nawet podmuchu wiatru, więc wyglądało na to, że opady potrważą dłuższy czas, co w połączeniu z przenikliwym chłodem jeszcze bardziej zniechęcało do podjęcia wędrówki.

Postałem chwilę w progu, wpatrując się w strugi wody, które rozbryzgując się na błotnistym gruncie natychmiast tworzyły brunatne kałuże. Z chęcią natychmiast wróciłbym do przytulnej kuchni, lecz po całej nocy mój pęcherz rozpaczliwie domagał się opróżnienia. Nie zamierzałem szukać teraz niewidocznej na pierwszy rzut oka, z pewnością ukrytej gdzieś za stodołą sławojki, więc rozpiąłem spodnie i załatwiłem potrzebę stojąc na progu domu. Nawet gdybym był pewien, że ktoś obserwuje mnie z ukrycia, nie zdecydowałbym się na niezdarny kłus w poszukiwaniu drewnianej świątyni dumania.

Lżejszy o — jak mi się zdawało — kilka ładnych litrów, z ulgą zamknąłem drzwi i ponownie zanurkowałem w ciemny korytarz, łapiąc się na tym, że odruchowo poszukuję dłonią włącznika światła. Nieźle bym się zdziwił, gdyby udało mi się go namacać.

Usiadłem na swoim miejscu w kuchni i wbiłem wzrok w leżący na stole brulion. Światło sączące się przez niewielkie okna było na tyle słabe, że nie dało się przeczytać czegokolwiek, więc wyjąłem z kredensu świece, które dopiero co do niego włożyłem. Po zapaleniu dały złudne poczucie ciepła i bezpieczeństwa.

Zanim wziąłem się do odszyfrowywania kolejnych zapisanych kartek, pomyślałem, że w sumie dobrze się stało. Nocny gość, którego bolesny uścisk wciąż czułem na nadgarstku, mógł przecież znów pojawić się z wizytą. Jeśli koniecznie musiał po raz kolejny mnie odwiedzić, to zdecydowanie wolałem, by stało się to w dzień. Jeśli, oczywiście, była to ta osoba, o której myślałem.

Bardzo chciałem się nie mylić.

W pomieszczeniu było o wiele cieplej niż na dworze, lecz i tak zbyt chłodno, bym komfortowo znów mógł zagłębić się w lekturze zapisków.

Przy piecu leżało sporo drewna i trochę chrustu, więc postanowiłem rozpalić pod kuchnią. Robiłem coś podobnego w życiu najwyżej kilka razy, co nie dawało zbyt wielkich nadziei na natychmiastowy sukces. Wychodząc jednak z założenia, że nie święci garnki lepią, z zapalem wziąłem się do roboty.

Nie miałem pojęcia, czy otaczające mnie ściany słyszały tyle przekleństw w ciągu tak krótkiego czasu. Rzucanie mięsem prawdopodobnie nie przybliżało mnie do sukcesu, lecz dawało przynajmniej nieco ulgi. Zmarnowałem dwa pudełka zapalek, poparzyłem palce i narobiłem porządnego bałaganu przy piecu, a marzenie o buzującym ogniu wciąż było dalekie od realizacji. Nawet najdrobniejszy chrust nie chciał się zająć od samych zapalek, co zrzucąłem na karb wilgoci od dłuższego czasu panoszącej się w budynku. Wreszcie stwierdziłem, że bez papieru za cholerę nie zdołam napalić w tym przeklętym piecu.

W zapiskach „Słoneczna Dolina” Rafał wspominał o zeszytach, w których pisała Anielka, więc zacząłem ich szukać. Prawdopodobnie wykorzystałbym nawet elementarz Falskiego, gdyby tylko udało mi się go znaleźć, jednak po dokładnym przeszukaniu kuchni musiałem się poddać. W akcie desperacji miałem już ruszyć do pokoju w poszukiwaniu książek, gdy mój wzrok znów spoczął na brulionie. Nie był zapisany nawet w połowie, więc spokojnie mogłem go wykorzystać. Wyrwałem kilka kartek ze środka i umieściłem je pomiędzy najsuchszymi gałązkami, jakimi dysponowałem. Gdy się zajęły, dotychczasowe przekleństwa jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmieniły się w dziękczynną modlitwę.

Dokładałem coraz to grubsze drewnienka, z radością patrząc, jak buzują coraz to żwawszym płomieniem. Dym na początku

był przyjemny, jednak po kilku minutach zaczął gęstnieć. W końcu stał się na tyle nieznośny, że zacząłem gwałtownie kasłać. W kuchni zrobiło się całkiem siwo, a ja klęczałem na zdrowym kolanie, wpatrując się w ogień. Łzy płynęły mi po policzkach, trochę w wyniku gryzących oparów, a jeszcze bardziej z bezsilności. Było jasne, że za chwilę będę musiał się poddać.

— Nie łatwiej byłoby otworzyć szyby? — usłyszałem donośny głos za plecami.

Trzymane przeze mnie drewno z łoskotem spadło na podłogę, a ja ze strachu straciłem równowagę i ledwie kilku centymetrów zabrakło, bym wyrznął czołem o kant pieca. Klęząc na czworakach, odwróciłem głowę, lecz zasłona dymna, jaką udało mi się stworzyć, skutecznie ograniczała pole widzenia.

— Jest tu kto? — zapytałem głupio.

— Nie, nie ma nikogo — dobiegło już z bliższej odległości.

Wreszcie, przez łyzy, najwyżej metr od mojej twarzy, udało mi się dostrzec roześmianą, brodatą gębę.

— Chmury dzisiaj ciężkie, ogień woli w piecu siedzieć — powiedziała gęba. — Ale jak dobrze rozpalić, temperatura pociągnie w górę. Ino szyby trza otworzyć.

Znów nikogo nie widziałem, lecz po chwili do moich uszu dobiegło metaliczne szczęknięcie. Najpierw z lewej strony pieca, później z przeciwnej. Ogień pod kuchnią zaczął huczeć o wiele mocniej niż dotychczas. Potem usłyszałem kroki i lekkie skrzypienie otwieranych okien.

Uznałem, że pora się podnieść z kolan.

— Pan Jasiek Grela? — zapytałem.

— Jaki tam ze mnie pan, zwyczajnie, Jasiek. Wszyscy tak na mnie woła... — Przerwał gwałtownie. — A wy skąd to wiecie? — Teraz mocny głos zabrzmiał dużo ostrzej.

— Długa historia — wysapałem.

W kuchni zrobiło się jaśniej i wreszcie wyraźniej zobaczyłem sylwetkę mojego gościa. Wyglądał dokładnie tak, jak w brulionie

opisał go Gielmuda. Niezbyt wysoki, krępy, z charakterystyczną, opadającą na piersi brodą.

— Rafał wam o mnie mówił?

— Tak, można tak powiedzieć... Mam na imię Witek. — Podszedłem w jego kierunku i wyciągnąłem rękę, która zaraz potem znalazła się w silnym uścisku. — To ty byłeś tu w nocy?

— A niby kto? — odrzekł nieufnie. — Pewno, że ja. A gdzie Rafał?

Zignorowałem pytanie.

— No wiesz, myślałem, że może to ktoś z Czarnego Wygonu... Oni mogą być tym, kim tylko zechcą... Prawda?

— Ano, prawda. Gdzie Rafał? — zapytał ponownie.

— Jestem sam. Rafał został... No wiesz, został w Guciwie.

Staliśmy naprzeciw siebie. Resztki dymu wciąż były widoczne, lecz nie przeszkadzały nam we wzajemnym mierzeniu się wzrokiem. Jasiak patrzył na mnie z niedowierzaniem.

Oswobodziłem dłoń z uścisku.

— Siadaj — powiedziałem. — Napijesz się czegoś?

Skinął głową i posłusznie usiadł za stołem.

— Ale mówiłeś w nocy, że jest tu z tobą — wymruczał.

— Blefowałem.

— Co żeś robił?

— Tylko tak mówiłem. Oszukiwałem. Ze strachu. Chciałem, żebyś dał mi spokój. Bardzo się bałem. Rozumiesz?

Zastanowił się przez chwilę.

— Chyba tak.

— To ty otworzyłeś okno? Miałeś zamiar wejść do środka?

— Sam żem był w strachu — odparł, wbijając wzrok w blat stołu. — Ale musiałem sprawdzić, kto jest w chałupie Trzeźniowskiego...

— Ty też się bałeś i nie chciałeś stukać do drzwi? Bałeś się, że to ktoś z Nich wszedł do domu?

Przytaknął bez słowa.

— Napijemy się wódki, a potem ci wszystko opowiem, dobrze?

— Dobrze — odpowiedział.

Wiedziałem, że nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Trudno się dziwić. Miałem jedynie nadzieję, że uwierzy w to, co miałem mu do przekazania.

3.

Alkohol, który wypiliśmy, sprzyjał zarówno mojej opowieści, jak i — przynajmniej tak mi się zdawało — uwiarygodniał całą historię w oczach Jaśka. Gadałem chyba ze dwie godziny, a on nie przerwał mi ani razu. Kiwał tylko od czasu do czasu swoją wielką, brodatą głową, nie podnosząc na mnie wzroku. Dokładnie w chwili, gdy doszedłem do tego, że wybierałem się dziś na wyprawę do samochodu, poczułem na karku lodowatą wilgoć.

Spojrzałem w górę i dostrzegłem, że na suficie skrapla się woda i kapie wprost na mnie.

— Dach przecieka. — Aż drgnąłem, gdy po długim czasie się odezwał. — Jeszcze parę miesięcy i pewno się zawali, tak jak tamte chałupy.

Od razu zrozumiałem, co ma na myśli. Gospodarze tego domostwa już nie żyli i czas bardzo szybko odcisnął na nim piętno.

— Masz rację — powiedziałem. — I stary Trzeźniowski, i Helenka nie żyją. Nawet to, że już ich nie ma w Starzyźnie, nie ma wpływu na bieg zdarzeń...

— Dobrze, że choć Rafał żyje. — Znów na mnie spojrzał. — I jego... jego i Helenki córka. Co możemy zrobić?

— Nie wiem, czy Rafał żyje — odparłem. — Mówiłem ci, że ostatnio widziałem go po tym, gdy został zaatakowany przez Kowalika i nie dawał znaku życia...

— Daj Boże, żeby żył. To dobry człowiek.

Zapadła cisza. Gdyby w Starzyźnie żyły jakiegokolwiek zwierzęta, pewnie usłyszelibyśmy w tym momencie kręcącą się gdzieś pod sufitem muchę.

— Dobry — zacząłem — ale i on ma na sumieniu coś złego...

— A kto nie ma? — zapytał Jasek, świdrując mnie wzrokiem.

Nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi. Być może dlatego, że pytanie było jak najbardziej retoryczne.

— Wszyscy mamy — przyznałem wreszcie. — Tylko nie wszystkich nas los karze tak okrutnie...

— Los?

Pytanie zawisło w powietrzu.

— Nie wiem, czy los, czy Bóg — powiedziałem cicho. — Jedno jest pewne. Muszę dowiedzieć się, co stało się wtedy... Co tak okropnego stało się, że spotkała was za to aż tak straszliwa kara...

— Dowiesz się — przerwał stanowczo. — Przysięgam, że się dowiesz. Ale nie mnie o tym opowiadać. Ojciec ci wszystko opowie. A teraz chodźmy...

— Chodźmy? Dokąd?

— Musim dowiedzieć się, co z Marcinem i co z samochodem... Jak wrócim, weźmiesz swoje rzeczy, zamieszkasz u nas i...

— I...?

Milczał przez chwilę, aż wreszcie znów się odezwał:

— I dowiesz się, co się stało w Starzyźnie w ostatnich dniach.

*

Deszcz wciąż padał, gdy wychodziliśmy z domu, lecz był o wiele mniej intensywny niż wcześniej, więc istniała szansa, że

przed powrotem nie zdążymy przemoknąć do nitki. Dziwiłem się, że w takiej chwili zajmują mnie mało istotne drobiazgi, ale najwyraźniej podświadomie wolałem odsuwać na bok myśli o tym, co możemy zastać u wlotu Słonecznej Doliny.

Szedłem z przodu na tyle szybko, na ile pozwalało mi moje kalectwo, starając się ignorować narastającą uczucie duszności związane z przyśpieszonym tętnem. Od czasu do czasu stopy zapadały się w błocie powyżej kostek, mimo to zawzięcie kroczyłem naprzód, jak gdyby od tego miało zależeć moje życie. Być może tak właśnie było; późne popołudnie gęstniało w ciemnościach i do zmroku nie zostało już wiele czasu.

Zatapiając się w lepkiej mazi i podobnych do niej ponurych myślach, niemal całkiem zapomniałem, że nie jestem sam. Tuż przed granicą lasu odwróciłem się i chciałem odezwać się do Jaśka, ten jednak był o dobre sto metrów za mną. Szedł powoli, z opuszczoną nisko głową, ukrytą pomiędzy przygarbionymi ramionami. Przypomniałem sobie, że całkiem niedawno widziałem kogoś, kto poruszał się w podobny sposób.

Zachwiałem się i oparłem plecami o szeroki pień drzewa, które stało za mną. Oddychałem ciężko i bezsilnie patrzyłem na zbliżającą się postać. Anielka miała dokładnie te same mechaniczne ruchy. Wyglądało na to, że dałem się podejść jak dziecko.

Ucieczka mogła co najwyżej odroczyć wyrok. Stałem więc i patrzyłem, jak zbliżający się mężczyzna skraca dystans. Na pięć metrów przede mną zatrzymał się. Czekałem tylko, aż podniesie głowę i spojrzy na mnie ślepyimi oczyma bez źrenic.

Stał bez ruchu najwyżej kilka sekund, ale mnie wydały się one całą wiecznością. Gdy wreszcie popatrzył w moim kierunku, uciekłem wzrokiem.

— Gdybym go spotkał parę dni po tamtym Wielkim Piątku, to chyba łeb bym mu urwał. Odjechał bez pożegnania, zostawił nas... A teraz... — Nie tego się spodziewałem. Głós Jaśka był zduszony i drżący.

Odważyłem się popatrzeć. Jego wielkie, brązowe oczy były pełne łez.

— Ale dureń ze mnie — mówił dalej. — Tajemnic mi się, cholera, zachciało... Jakbym wiedział, że to, co wiem, może pomóc i jemu, i jego córeczce, a może i nawet Helence, to wszystko bym powiedział. Wszystko, rozumiesz?

Nie odpowiedziałem.

— Tyle złego żem zrobił... Tyle złego, a teraz jeszcze i to... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu...

Trwał w bezruchu jeszcze może minutę, po czym pociągnął nosem i wytarł oczy dłońmi.

— Myślisz, że mogę mu... im... jeszcze jakoś pomóc? — spytał z nadzieją. — Zrobię wszystko...

— Nie wiem — przerwałem mu. — Pewnie tak. Przynajmniej tak mi się zdaje, a teraz już lepiej chodźmy.

Nagle spojrział na mnie zupełnie inaczej. Przekrzywił głowę i znów się odezwał:

— A co ty taki blady?

Odwróciłem się i podjąłem marsz. Zaraz potem odpowiedziałem:

— Wiesz, myślałem już, że jesteś jednym z... No wiesz, jednym z Nich — ostatnie słowo wyraźnie zaakcentowałem.

— Ale Oni — znów nacisk na drugie słowo — przecież nie są widziani we wsi w dzień, prawda?

Do moich uszu dobiegało tylko miarowe chlapanie dwóch par ciężkich butów. Przez plecy przebiegł mi gwałtowny dreszcz. Zatrzymałem się i obejrzałem.

Jasiek również przystanął i przyglądał mi się z powagą.

— Tak było — odrzekł wreszcie. — Tak było do niedawna. Od jakiegoś czasu granice dnia i nocy nie są już dla Nich przeszkodą...

Zaskoczony taką odpowiedzią chciałem zapytać o coś więcej, ale w tej chwili Jasiek utkwiał wzrok gdzieś poza mną i powiedział:

— Już go chyba widzę. To samachód Rafała, prawda?

*

„Samachód Rafała” był w takim samym oplakanyim stanie, w jakim go zostawiłem. Przez całą drogę ludziłem się, że, podobnie jak roztrzaskany kubek, w cudowny sposób ulegnie samoistnej regeneracji. Teraz już wiedziałem, że moje nadzieje były płonne. Tak samo, jak te, że kiedyś uda mi się wydostać ze Starzyzny.

— I co teraz? — Pytanie Jaśka wyrwało mnie z zamyślenia.

— Wracamy?

— Chyba tak... Chociaż... czekaj, muszę zobaczyć, co stało się z Kowalikiem.

— A po co?

— To zajmie kilka minut, a i w tamtej sprawie będziemy mieli jasność.

— Zaraz wieczór — powiedział niepewnie.

— To tylko kilka minut — powtórzyłem i ruszyłem drogą. Po kilku krokach wróciłem po saperkę.

Kowalik leżał tak, jak go zostawiłem poprzedniego dnia. Rozejrzałem się i znalazłem odpowiednie miejsce. Ziemia oddalona od drzew wyglądała na miękką. Gdy wbiłem w nią saperkę, okazało się, że miałem rację.

— Zakopujemy go tutaj. Nie musi być głęboko, byle tylko przykryć truchło ziemią — mówiłem, raz po raz wbijając łopatkę.

— Daj, mnie łatwiej — mruknął.

Pracował jak w ukropie. Od czasu do czasu proponowałem, że go zmienię, lecz za każdym razem odmawiał. Wreszcie, gdy dół był już wystarczająco głęboki, odłożył saperkę, podszedł do zwłok i pociągnął je w kierunku prowizorycznego grobu. Zadudniły, uderzając o dno. Oczami wyobraźni zobaczyłem pochówek, jaki przygotował Rafał Trześniowskiemu. Podejrzewałem, że wtedy wszystko wyglądało podobnie.

— Jeszcze głowa — powiedział dysząc ciężko. — Ja się jej nie tknę.

Postąpiłem parę kroków i popatrzyłem w beznamiętne źrenice. Widok rozszarpanej dolnej części twarzy wywołał mdłości, jednak wziąłem się w garść i pochyliłem. Z obrzydzeniem chwyciłem za włosy i podniosłem.

— Nie wiedziałem, że będzie taka lekka.

— Pusty łeb, to i lekki — mruknął.

Wrzuciłem ją na klatkę piersiową Kowalika, patrząc, jak przetacza się w bok i zamiera twarzą w dół obok lewej dłoni wielkoluda.

— Mamy już naprawdę mało czasu. — Głos Jaśka wyrwał mnie z letargu. Złapałem się na tym, że odruchowo wycieram mokrą od włosów dłoń o nogawkę spodni. Zanim się zorientowałem, na martwym ciele już znalazło się kilkanaście łopatek ziemi.

Jasiek używał saperki, ja pomagałem w miarę swoich możliwości, nagarniając butem glebę, zmieszaną ze zbutwiałymi liśćmi.

Poszło nam nadspodziewanie szybko.

W drodze powrotnej nawet nie zatrzymaliśmy się przy samochodzie. Tym razem to Jasiek szedł przodem, ściskając w dłoni saperkę. Miałem nadzieję, że nie będzie jej musiał użyć w naszej obronie.

Kiedy znów znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni, odechnąłem z ulgą. Po kilkudziesięciu krokach powiedziałem:

— Wiesz, co myślę?

Nie odpowiedział.

— Myślę, że starzyźniane czary nie działają na tych, którzy przybywają tu z własnej woli, i dlatego ja wciąż mam siniaka na czole, a Kowalik ciągle jest nieżywy...

— W dupie to mam teraz — odparł z rozbrajającą szczerością. — Najważniejsze to jak najprędzej wrócić do domu.

Zmierchało i trudno było się dziwić, że tak sceptycznie odniósł się do mojego odkrycia. Ja jednak nie potrafiłem odegnać od siebie myśli, że zostanę tu już na zawsze i o ile ktoś wcześniej nie skróci mojego żywota, właśnie w Starzyźnie przyjdzie

mi doczekać ostatnich dni. Miałem jedynie nadzieję, że, w przeciwieństwie do tego, co spotykało innych mieszkańców wioski, czas będzie dla mnie bardziej łaskawy.

Po raz pierwszy w życiu chciałem się jak najszybciej zesta-
rzyć.

4.

Dom, do którego zaprowadził mnie Grela, był o wiele skromniejszy. Mimo otaczających nas ciemności, udało mi się zobaczyć na dachu strzechę. Wielkość chaty również nie była imponująca, ale i tak cieszyłem się, że najbliższej nocy nie będę już sam.

Nieśliśmy z sobą dużą część prowiantu, który przywiozłem, ale sporo jeszcze zostało w domu Trześniowskich.

Do rozświetlonego blaskiem świec pomieszczenia, które później okazało się kuchnią, Jasiak wszedł jako pierwszy.

— No i gdzie żeś się tyle podziewał?! — usłyszałem czyjś podniesiony głos. — Już żeśmy myśleli, że po tobie!

— Cichaj, tato, bo gościa nam prowadzę. Chodź, Witek, nie bój się.

Byłem pewien, że leciwy mężczyzna, który stał obok stołu, to Wojciech Grela. Na drewnianej ławie siedziały jeszcze dwie osoby — mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta i trochę od niej młodszy blondyn. Brak prawej ręki pozwalał przypuszczać, że to Albin Socha — kolega dziadka Rafała ze szkolnych lat.

— To jest Witek, znajomy Rafała.

Stary Grela podszedł bliżej i uścisnął mi dłoń. Zaraz potem przedstawił pozostałych; co do młodego mężczyzny się nie myliłem. Kobieta nazywała się Katarzyna Cieplak. Po wymianie uprzejmości starszy z Grelów zapytał:

— A Józek Trześniowski? Też z panem przyjechał?

— Przykro mi, ale on zmarł jakiś rok temu. Jego córka też już nie żyje...

Wyglądało na to, że będę raz jeszcze musiał opowiedzieć całą historię, ale na szczęście Jasiak z hukiem postawił na stole część przyniesionych rzeczy i rzekł:

— Jesteśmy głodni. Przyjdzie czas, że wszystkiego się dowiecie, ale teraz pora na wieczerzę. Katarzyno, przygotujecie nam co do zjedzenia?

Kolacja składała się głównie z przyniesionego przez nas, przyrządzonego na ciepło prowiantu. Już wcześniej podejrzewałem, że i na wódkę znajdą się u Grelów amatorzy, więc zapobiegliwie zabrałem ze sobą dwie butelki. Kiedy zaspokoiliśmy pierwszy głód, a wszyscy obecni z niecierpliwością spoglądali na mnie i kręcili się niespokojnie na swoich miejscach, po raz drugi tego dnia rozpocząłem swoją opowieść.

Byłem gwiazdą wieczoru. Nikt, nawet Jasiak, który wszystkiego dowiedział się już wcześniej, nie przerwał mi ani razu. Trudno było się dziwić, że przyglądali mi się z ciekawością i niepokojem. W końcu byłem dopiero drugą osobą, która zawitała do ich wsi w przeciągu ostatnich kilku dziesięcioleci.

*

Dobiegające od podłogi chrapanie obudziło mnie, gdy było już całkiem jasno.

Spaliśmy w jednej izbie we czterech — ja i stary Greła na łózkach ustawionych obok przeciwległych ścian pokoju, a Jasiak i Socha na ułożonych na podłodze siennikach. Wiedziałem, że nie uda mi się znów zasnąć, więc ubrałem się po cichu i poszedłem do kuchni.

Dopiero jak zamknąłem za sobą drzwi, uświadomiłem sobie, że chyba powinienem był poczekać, aż wstaną też inni. Kuchnia na noc zamieniła się w sypialnię śpiącej z nami pod jednym

dachem kobiety. Na szczęście okazało się, że Cieplakowa wstała jeszcze wcześniej ode mnie.

— Dzień dobry. — Uznałem, że takie zagajenie będzie całkiem na miejscu.

— A dzień dobry. Wyspał się pan?

Poprzedniego wieczora nie zamieniliśmy z sobą ani jednego zdania. Teraz trzeba było jakoś spróbować nawiązać rozmowę.

— Tak, dziękuję.

Zapadła niezręczna cisza. Spodziewałem się, że nastąpi wymiana jakichś nic nieznaczących uwag. Usiadłem przy stole i spojrzałem w okno. Pomyślałem, że dobrym tematem będzie pogoda. Przestało padać i już miałem tym cennym spostrzeżeniem podzielić się z moją rozmówczynią, gdy ta całkowicie mnie zaskoczyła.

— Wie pan... Bo ja się tak boję sama teraz mieszkać. — W jej głosie nie wyczułem nuty sugerującej, że mówi to, by się przede mną usprawiedliwić. Wyczułem w nim raczej rezygnację i obawę przed tym, co będzie dalej.

Nie zdążyłem się jeszcze dowiedzieć niczego o ostatnich wydarzeniach w Starzyźnie. Wojciech Grela widział, że jestem zmęczony, i zaproponował, że wrócimy do tego tematu rano. Miał rację mówiąc, że nie ma się co z tym spieszyć.

— Mój mąż zginął na wojnie, a córka wyprowadziła się do Zamościa jeszcze przed trzydziestym dziewiątym — ciągnęła. — Z początku było mi ciężko samej, były dni, że nie szło wytrzymać, ale w końcu jakoś żem przywykła. A może pan ją poznał? Ma na imię Krysia, po mężu Burda...

Pokręciłem głową.

— Niestety. Znam trochę osób z Zamościa, ale to nie jest takie małe miasto...

— Tak żem tylko spytała. Pan pewno głodny?

— Nie, dziękuję. Jeśli można, to chętnie napiłbym się herbaty.

— Płyta gorąca, zaraz zrobię — odpowiedziała wstając.

Tak naprawdę nie chciało mi się pić, ale jakoś nie miałem ochoty kontynuować tej rozmowy. Zdawało mi się, że kobieta oczekuje ode mnie jakiegoś pocieszenia, może choćby kilku słów wsparcia, a ja byłem ostatnią osobą, która w całej tej sytuacji mogła kogoś podnieść na duchu.

Wykorzystałem chwilę na zastanowienie się nad tym dziwnym spotkaniem. Katarzyna Cieplak, jeśli dobrze oceniałem jej wiek, urodziła się mniej więcej na przełomie wieków dziewiętnastego i dwudziestego. Wcześniej wiele myślałem o przedziwnej historii czasu, który zatrzymał się dla mieszkańców Starzyny. Ciężko było to wszystko jakoś ogarnąć, ale gdy wydawało mi się, że jest to możliwe, miałem okazję porozmawiać z osobą, która wyglądała na moją równolatkę, a przecież jednak była o jakieś pół wieku starsza.

Miałem może trzydzieści, może trzydzieści pięć lat, gdy uświadomiłem sobie banalną prawdę, która była dla mnie niczym odkrycie zupełnie nowego lądu. Niewiele rzeczy na świecie jest oczywistych i niepodlegających jakiegokolwiek dyskusji, jednak fakt, że każda starsza ode mnie osoba, którą spotykam, w dniu moich urodzin żyła już swoim życiem, był bezsprzeczny i niemożliwy do zanegowania. Od tej chwili inaczej patrzyłem, nie tylko na starszych ode mnie znajomych, ale też na starszych, obcych ludzi mijających mnie na ulicy, siedzących obok mnie w autobusie czy w pociągu. Zastanawiałem się, co robili tamtego dnia, w tamtej chwili, gdy w pięćdziesiątym drugim roku matka wydała mnie na świat. Dzień moich urodzin był dla nich dniem jak setki innych. Może byli w szkole, może po raz pierwszy szli do pracy, może akurat mieli gigantycznego kaca, którego próbowali uleczyć za pomocą szklanki wódki, albo opłakiwali śmierć bliskiej osoby. Nie było wyjątków od tej prostej reguły. Tak zwyczajnie i po prostu.

A Cieplakowa? Gdybym mijał ją na ulicy kilka dni temu, w „moim” świecie, nie byłbym pewien, czy urodziła się wcześniej ode mnie, a tu okazuje się, że w dniu moich urodzin miała już

doroślą córkę. Czas wyczytniał w tym miejscu rzeczy trudne do ogarnięcia i tak naprawdę zrozumiałem to dopiero, siedząc przy stole w skromnej kuchni Grelów. Żadne zapiski i opowieści nie pomogłyby mi tego pojąć bardziej namacalnie.

Ocknąłem się z zamyślenia, gdy kubek z parującą herbatą miętową stał już przede mną.

— Bardzo dziękuję — powiedziałem i podniosłem go do ust.

Upiłem kilka łyków, a Cieplakowa znów usadowiła się naprzeciw mnie. Nie miałem ochoty na dalszą rozmowę, wolałem pobyć sam, więc wziąłem herbatę i oznajmiłem, że wypiję ją na zewnątrz.

— Tylko niech pan na Nich uważa. Teraz można Ich tu spotkać nawet w dzień.

— Tak, wiem, będę uważał — zapewniłem w progę.

Wyszedłem z kuchni, lecz po chwili wróciłem i zapytałem:

— To się zmieniło niedawno, prawda?

— Będzie jakieś dwa tygodnie.

„Jakieś dwa tygodnie temu Rafał podzielił się ze mną pierwszymi informacjami o Starzyźnie” — pomyślałem. Nie wyglądało mi to na zwyczajny zbieg okoliczności.

*

Od poprzedniego dnia temperatura powietrza podskoczyła dość wyraźnie, a uczucie ciepła potęgował jeszcze brak wiatru. Było ponad dwadzieścia stopni i dobrze zrobiłem, zostawiając kurtkę w domu.

W normalnych warunkach, w „moim świecie”, cieszyłbym się z takiego właśnie dnia. Tutaj było zupełnie inaczej.

Podnosząca się pod wpływem nagłego ciepła mgła zdawała się wypęłać niewidocznymi szczelinami z nasiąkniętej wodą ziemi i obrzydliwym mokrym jęzorem lizała moje ręce, twarz i wszystko, co było wokół. Osadzała się na ścianach i oknach

domu Grelów, przy którym stałem, po czym natychmiast skraplała, dając początek małym strumyczkom, płynącym niespiesznie w dół. Dotknąłem tej wilgoci, roztarłem ją na palcach i powąchałem. Konsystencją przypominała śluz z lekka cuchnący zbutwiałymi liśćmi i rozkładającym się mięsem.

O tym, by zobaczyć słońce, mogłem co najwyżej pomarzyć. Na pewno oddzielała mnie od niego cieńsza warstwa chmur i mgły niż poprzednio, ale jej grubość (a może gęstość?) i tak powodowała, że patrząc w niebo nie musiałem nawet mrużyć oczu. Stałem jakiś czas z twarzą skierowaną do góry i wyraźnie wyczuwałem na niej ciepło z trudem przebijające się przez szarą, prawie nieprzepuszczalną zasłonę. Wilgoć na chwilę zniknęła z moich policzków, brwi i rzęs; na moment udało mi się nawet zapomnieć o trudnościach z oddychaniem.

Cisza była wręcz nieznośna. Z mgły nie dobiegał żaden dźwięk. By przekonać się, że nie ogłuchłem, zrobiłem kilka kroków w kierunku drogi i poczułem ulgę, gdy usłyszałem chlupotanie wody pod podeszwami. W poprzednich dniach wrażenie ciszy nie było aż tak dojmujące, zarówno ze względu na wiatr, który szeleścił pomiędzy gałęziami drzew, a i trochę też przez odgłosy padającego deszczu. Teraz wszystko ucichło, zdławione przez obrzydliwą, duszną zawiesinę spowijającą dolinę.

Prócz zabudowań należących do Grelów widziałem jeszcze tylko jeden dom leżący po przeciwnej stronie drogi i fragment usytuowanej przy nim stodoły. Oba budynki przykryte były gontem i wyglądały na dość zadbane, było zatem prawdopodobne, że ich właściciel lub właściciele nie zasilili jak dotąd szeregów upiornych postaci, przybywających tu z Czarnego Wygonu.

Wzdrygnąłem się na myśl o zmorach pozbawionych źrenic i zapragnąłem znów znaleźć się w ciepłej kuchni, choćby i w towarzystwie Cieplakowej. Otoczenie nagle wydało się groźne, a

ja zacząłem rozglądać się wokół, czy z mgły nie wylania się ktoś lub coś, co mogłoby mi zagrozić. Odwróciłem się i z ulgą stwierdziłem, że moja droga do domu jest pusta, lecz zanim jeszcze zdążyłem zrobić pierwszy krok, usłyszałem za plecami jakiś dźwięk, przypominający odgłos zatraskiwanych drzwi. Na szczęście, dobiegł on z pewnej odległości, więc ciekawość wzięła górę i ponownie spojrzałem w stronę sąsiednich zabudowań.

Dom, podobnie jak chyba wszystkie w Starzyźnie, miał wejście niewidoczne od przecinającego wieś gościńca. Jeśli dobrze rozpoznałem ten odgłos, przypuszczałem, że wkrótce zobaczę kogoś, kto wyłoni się zza węgła budynku. I miałem rację.

Początkowo sylwetka ledwie majaczyła we mgle, lecz ponieważ skierowała się w moją stronę, z każdą sekundą widziałem ją coraz wyraźniej. Był to ktoś bardzo niewysokiego wzrostu. Wyteżałem wzrok, gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki, gdybym uznał, że grozi mi niebezpieczeństwo.

Wreszcie ją poznałem.

Zatrzymała się tuż przy drodze i stała bez ruchu, odwzajemniając moje spojrzenie. Nasiąknięta wilgocią czerwona sukienka w białe grochy zwisała, klejąc się do jej szczupłego ciała. Blond włosy dziewczynki również były mokre. Wyglądała prawie dokładnie tak, jak ją zapamiętałem, jednak zauważyłem jedną, jakże istotną zmianę. Patrzyła na mnie wielkimi oczyma, których intensywnie niebieski kolor był wyraźnie widoczny nawet z odległości kilkunastu metrów.

Postąpiła jeszcze kilka kroków do przodu i znalazła się na środku piaszczystej drogi. Poruszyła ustami. W tym przerażającym miejscu nawet dźwięk biegł o wiele wolniej, z trudem przedzierając się przez mglistą barierę.

— Dzień dobry, panie Witku.

Mówiła niemal szeptem. W normalnych warunkach nie powinienem nawet jej usłyszeć, nie wspominając o rozróżnieniu poszczególnych słów.

Zanim wybrzmiało moje imię, promiennie się do mnie uśmiechnęła. Uśmiech był tak rozbijający, słodki i niewinny, że ponure otoczenie przestało się całkowicie liczyć. Odwzajemniłem go i zrobiłem krok naprzód.

— Witaj, Anielko. Nie boisz się tak sama wychodzić na dwór?

— A niby kogo miałabym się bać? Przecież tak tu spokojnie... — Ona także ruszyła w moją stronę. — Przecież jestem jedną z Nich, wiesz o tym, prawda?

— Ale... Twoje oczy...

— Witek!

Gwałtowny, twardy okrzyk wdarł się w naszą rozmowę bezpardonowym dysonansem. Nie chciałem, by ktokolwiek nam przeszkadzał. Chciałem teraz rozmawiać tylko z nią.

— Witek, gdzie jesteś?!

Znów to samo. Nie zwracałem uwagi na wołanie. Miałem nadzieję, że ucichnie równie nagle, jak się pojawiło.

— Nie przejmuj się nim — mówiłem, idąc w jej stronę. — On zaraz przestanie mnie wołać i znów będziemy mogli spokojnie rozmawiać.

Dziewczynka jednak nie patrzyła już na mnie. Jej wzrok wbity był gdzieś poza mną, a śliczną twarzyczkę wykrzywił nieawistny grymas. Gwałtownie skrzyła w prawo i zaczęła biec.

— Anielko! — krzyknąłem. — Poczekaj...

— Kto to był? — Jasiiek stał tuż za mną. — Czy mi się zdawało, czy to była...

— Dlaczego ją wystraszyłeś?! — warknąłem. — Co ona ci takiego zrobiła?

— Witek, chłopie, opanuj się! To była Anielka, prawda?

— Prawda, ale... Ona już nie jest jedną z Nich... Naprawdę! Widziałem jej oczy! Wróciła i znów jest sobą, a teraz przez

ciebie może grozić jej niebezpieczeństwo! — Byłem wściekły. Miałem ochotę zdzielić Jaśka w tę jego brodatą gębę. — Teraz biegnij za nią, bo jeśli coś jej się stanie...

— Jak chcesz, to sam sobie biegnij. Nie czytałeś tego, co pisał Rafał? Przecież mówiłeś, że wiesz, jak było...

— Czytałem, ale jakie to ma znaczenie?

— Rafał, jak zobaczył swoją matkę, to wyglądała normalnie. Rozumiesz już teraz?

Dusznosc wróciła ze zdwojoną mocą. Zacząłem gwałtownie kasłać. Jasiiek chwycił mnie za ramię.

— Chodź. Może jeszcze nie jest za późno.

— Za późno? Na co za późno?

Z niedźwiedzią siłą ciągnął mnie za sobą.

— Wiesz, kto tam mieszka? — zapytał.

— Skąd niby mam wiedzieć?

— To dom Komisarczuków. Boże święty, żeby tylko nie stało się to, o czym myślę...

*

Dopiero, gdy stanęliśmy przed solidnymi, drewnianymi drzwiami, udało mi się wreszcie poskładać myśli i zrozumiałem, w jak wielkim byłem niebezpieczeństwie. Chciałem coś powiedzieć, podziękować, ale Jasiiek dokładnie w tej chwili przeżegnał się i wszedł do środka. Bez słowa podążyłem za nim.

W kuchni panowało przyjemne ciepło. Wydawało mi się, że w piecu buzuje ogień. Na stole stały dwa kubki do połowy wypełnione lekko parującą herbatą.

— Antek? — powiedział Jasiiek podnosząc głos. — Wszystko u was w porządku?

Nie usłyszeliśmy żadnej odpowiedzi.

— Może gdzieś wyszli? — szepnąłem.

Grela pokręcił głową.

— A gdzie niby mieli wychodzić? Poczekaj tu.

Wszedł do pomieszczenia obok i zamknął za sobą drzwi. Nie było go dłuższą chwilę. Zacząłem się już niecierpliwić, gdy zobaczyłem go znów. Był blady jak ściana.

— Za późno... Lepiej tam nie idź.

Nie posłuchałem, czego potem przyszło mi żałować przez wiele dni i bezsennych nocy.

Zobaczyłem ich, jak wiszą w półmroku, odwróceny plecami do siebie, na jednym sznurze zaczepionym u powały. Widziałem tylko fragment pleców mężczyzny, lecz kobieta przypatrywała mi się ślepymi, wytrzeszczonymi, lekko fosforyzującymi oczyma. Była zupełnie nieruchoma, ale mógłbym przysiąc, że nieznacznie uśmiechnęła się, gdy przekroczyłem próg pokoju.

— Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie — usłyszałem za plecami głos Greli — a światłość wiekuista...

— Jasiu! — krzyknąłem. — Może oni jeszcze żyją?! Może trzeba im pomóc?

— Im już nic nie pomoże — odparł spokojnie, po czym dookończył:

— ...a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Chodź. Nic tu już teraz po nas.

— Zostawimy ich tak?

— Zostawimy. Jeszcze ich zobaczysz i to pewno nie raz. Chodź, Witek. Nic tu już teraz po nas...

5.

— Należy im się pochówek — upierałem się, gdy siedzieliśmy w piątkę u Grelów. — Przecież każdy ma do tego prawo, niezależnie od sposobu, w jaki pożegnał się z życiem.

Ojciec Jaśka pokręcił głową.

— Niejednego już chowalim i to wszystko na nic. Nawet ostatnio, a potem i tak wygrzebywali się z grobów...

— Mają tak wisieć?

— O nich się już nie martw. — Jasiiek wstał i stanął przy oknie, plecami do nas. — Teraz nam już tylko o nas trza się martwić. Nie licząc Władka Dudy, Józka Kowalika i jego matki, sami tu zostalim.

— To może pójdziemy do nich? Będzie nas więcej...

— Nie pomogą nam — znów odezwał się stary. — Trzymają Ich stronę i tylko cieszą się, jak nas jest coraz mniej.

— Mają obiecane, że jak nikogo prócz nich nie będzie we wiosce, znów wrócą do tamtego świata. Tak mi kiedyś Józek powiedział. — Cieplakowa mówiła cicho, wpatrując się w przeciwną ścianę. — Może lepiej zrobić to, co i inni zrobili...?

— Nie dam się, Katarzyno! — warknął Jasiiek. — Jak chcecie, droga wolna! Nawet wam pętlę ukręcę, ale sam się nie dam i ojciec też, tak samo! Dobrze gadam, tato?

— Tak, synu. Nie mogę Im ulec, bo przekłeci będziem na wieki... Ale zdarzyć się może wszystko, dlatego pora już... — Odchrząknął i gwałtownie się wyprostował. — Pora wreszcie wyznać nasz grzech, przez który tyle złego się stało — dodał stanowczo.

Spojrzał w stronę syna.

— Chodź, Jasiiek, siadaj — rozkazał. — Pomożesz, bo może coś żem zapomniał. Wiosna pięćdziesiątego drugiego roku dawno była, a u mnie pamięć już nie ta, co kiedyś.

Młodszy Grela spełnił polecenie, a ja tymczasem uświadomiłem sobie coś, na co powinienem był wpaść o wiele wcześniej.

— Wiosna pięćdziesiątego drugiego? — upewniłem się.

Stary przytaknął.

— Ten rok przewijał się zarówno w notatkach Rafała, jak w jego opowieści — ciągnąłem — ale dopiero teraz, jak o tym mówicie, skojarzyłem, że jest to czas mojego przyścia na świat. Mało tego, urodziłem się na wiosnę, czyli mniej więcej wtedy, gdy to wszystko się zaczęło.

Spojrzeni po sobie.

— Może tak to miało być? — Pierwszy raz tego dnia usłyszałem głos Sochy. — A którego dokładnie żeś się urodził?

— W pierwszej połowie kwietnia.

Jasiek drgnął, jakby go ktoś ukłuł.

— Dokładnie jedenastego kwietnia — powaga sytuacji nie sprzyjała żartom, ale nie mogłem się powstrzymać i z mimowolnym, głupawym uśmiechem sparafrazowałem kwestię kawowca z „Rejsu”.

Zaraz potem już nie było mi wcale do śmiechu. Wyraz twarzy wszystkich, którzy siedzieli ze mną przy stole, bynajmniej nie współgrał z moim rozbawieniem.

— Co ty, żarty sobie stroisz? — Jasiek wyglądał na mocno zdenerwowanego. — Rafał ci pewno powiedział, kiedy to było, a ty teraz podśmichujki z nas sobie urządzasz, tak?

— Nie — odparłem. — Naprawdę wtedy się urodziłem. Przepraszam, coś mi się przypomniało, dlatego się uśmiechnąłem.

Nerwowe milczenie trwało chyba z minutę. Wreszcie głos zabrał stary:

— W tamtym roku Wielki Piątek wypadł właśnie jedenastego kwietnia. Ale cała historia zaczęła się wcześniej...

Starzyzna

V

Zaraz po wojnie nastał u nas młody ksiądz, Wincenty Dobrowolski się nazywał. Starzyzna to była jego pierwsza parafia. Z początku nie mogliśmy się z nim za bardzo dogadać. Taki był trochę — jak by tu powiedzieć — miastowy. Mówił tak, że ciężko było go zrozumieć, no ale uczony był, szkoły pokończył, to i nie dziwota, że z prostymi chłopami wspólnego języka nie mógł znaleźć. Ale po kilku miesiącach było już dużo lepiej. I on do nas przywykł, i my do niego. Najbardziej żeśmy go szanowali za to, że robotny był. Jak było trza, to i do pługą się brał, choć szło mu to byle jak, i do lasu szedł razem z nami. Jak minęły ze dwa lata, to bywało i tak, że kielicha z nami wychylił w święta i to niejednego.

Szkoły u nas nie było, dzieciaki musiały chodzić parę kilometrów, to jak były śniegi albo ostre mrozy, to brał je do siebie na plebanię i komplety dawał, żeby potem za dużo nie było trza nadrabiać. I za to nawet grosza nie chciał, bo mówił, że sam się będzie utrzymywał z tego, co parafialna ziemia urodzi. Jak pieniądze nie chciał, to my mu się starali przy siebie i w żniwa pomagać. Kobiety, jak co ugotowały, to mu zawsze zносиły,

żeby głodny nie siedział. Dobrze nam było z nim, a zdaje się, że i jemu z nami też nie najgorzej.

Któregoś razu, na początku roku pięćdziesiątego, przyszedł do nas Jakub Trześniowski i powiedział:

— Zdałby się naszemu proboszczowi kto do pomocy na plebanii. Chociaż słowa nie powie, każdy we wsi wie, że samemu ciężko to wszystko oporządzić. Jak mu kto nie zanieś ciepłego, to na suchym prowiancie żyje. Trza byłoby mu poszukać jakiej gospodyni.

Sam już wcześniej o tym żem myślał, to i przyznałem solty-sowi rację. Umówiłm się z ludźmi, że będziem rozpytywać w okolicy. Nie trwało to nawet miesiąca, jak Władek Duda przyniósł wiadomość, że jest akurat w Jacni dziewczyna, co całą rodzinę w czasie wojny straciła, tuła się od wsi do wsi i za łyżkę strawy i dach nad głową gospodarzom przy obejściu pomaga. Jeszcze tego samego dnia żeśmy we trzech — ja, Władek i Trześniowski — wsiedli na wóz i pojechali dowiedzieć się więcej.

Gospodarz, u którego podobno miała mieszkać, rozłożył tylko ręce. Wcześniej, tego samego dnia odesłał dziewczynę i nie potrafił powiedzieć, dokąd poszła. Szukaliżeśmy jej po całej wsi, ale kobiecina jakby się pod ziemię zapadła.

Jak żeśmy wracali, była już prawie noc, ale zaraz przed skrzętem do Starzyny Władek wypatrzył, że ktoś przy rowie siedzi. To była ona. To było jak zrządzenie losu, żeśmy się akurat w tym miejscu na nią natknęli. Jakuba po rękach chciała całować, gdy zapytał, czy posadę gosposi u księdza przyjmie.

*

Pierwszą noc przespała u Trześniowskich. Wcześniej nic z proboszczem nie było uzgadniane, to i nie wypadało tak bez uprzedzenia mu dziewczyninę w nocy pod dach przywieźć. Ani pokój nie był dla niej wrychtowany, ani nic. Poza tym przecież nie było wiadomo, czy Dobrowolski zechce kogo do siebie przyjmąć.

Rano żeśmy z Jakubem poszli na plebanię. Z początku ksiądz opierał się, mówił, że lepiej mu samemu, że tak się przyzwyczaił i po co mu kto obcy. Dopiero jak Trześniowski powiedział, że dziewczyna nie ma się gdzie podziać, że sierota, to proboszcz zaczął się zastanawiać.

— Na próbę niech ją dobrodziej przyjmie — przekonywał Trześniowski. — Jak się nie sprawdzi, to albo poszukamy kogo innego, albo zostanie po staremu, tak jak było.

No i na tym stanęło.

Jak żeśmy po ciemku do wsi jechali, to jej twarzy nie udało mi się zobaczyć dokładnie. Dopiero u Jakuba, w biały dzień, mógłłem się jej przyjrzeć. Paulina Podolak, bo tak się nazywała, miała może osiemnaście lat, a może nawet i tyle nie. Nie była ani brzydka, ani ładna, ale miała w sobie coś takiego, że nawet taki stary dziad, jak ja, zapominał przy niej języka w gębie. Nie mam głowy, co to było... Może coś w tych jej czarnych jak węgle oczach, może w uśmiechu, takim trochę wstydliwym, a trochę łobuzerskim. Jak się odezwała, człowiekowi aż lżej się na duszy robiło. Głos miała niski, trochę chropawy, ale mimo to dźwięczny i łagodny. Zęby białe jak mleko i na policzkach jej się takie dołki robiły jak... No i masz! Nawet teraz się człowiek zapomina, jak ją tylko wspomni.

Córka Trześniowskiego dała jej trochę swoich rzeczy do ubrania, bo Paulina prawie nic ze sobą nie miała, ot, jakieś małe zawiniątko i to był do tej pory cały jej majątek.

Wieczorem dziewczyna miała już urządzony własny pokoik na plebanii. Niby nic takiego — łóżko, jakaś szafa i miednica do umycia. Trza to było po domach poznajdywać, ale każdy chętnie dawał, jak się dowiedział, że to dla gosposi księdza. Jak żeśmy skończyli pomagać się jej urządzać, wyglądała naprawdę na szczęśliwą. Na odchodne powiedziała, że nigdy jeszcze nie miała całego pokoju tylko dla siebie.

Po drodze do domu Jakub jeszcze do mnie zaszedł i usiadł na tym samym miejscu, co ty teraz na nim siedzisz. Markotny jakiś taki był.

— A ty coś taki skwaszony? Dobry uczynek żeśmy zrobili, a ty siedzisz, jakby kto umarł.

Pokręcił głową.

— Może on i dobry, Wojciechu. A może wcale nie...

— Jak to nie? Dziewczyna ma gdzie mieszkać, proboszcz sam już nie będzie, ugotować i wyprać będzie już mu kto miał...

Spojrzał na mnie poważnie i rzekł:

— On młody i ona młoda. Krew gorąca, to i o kłopoty nie-trudno.

— E, tam! Kraczesz jak wrona. Zobaczysz, jeszcze będziesz sam się śmiać z tego biadolenia.

— Daj Panie Boże, żebyś się nie mylił, Wojciechu... Daj Boże...

VI

Minał rok i czas pokazywał, że to ja żem miał rację. Dobrowolski pracował tak, jak dawniej, ale zaokrąglił się trochę, czasu na modlitwy i odpoczynek miał więcej. Jak kto ze wsi we własnej sprawie na plebanię zachodził, to tam wszystko aż błyszczało od czystości, a i w kuchni zawsze było coś dobrego do zjedzenia. Paulina nie dość, że domem się zajmowała, to jeszcze i w parafialnym polu robiła, a sąsiadom też nigdy pomocy nie odmówiła. Robotna była aż miło. Nie wiem, jak inni, ale ja żem na każdej mszy świętej Bogu dziękował, że takie szczęście spotkało i nas, i naszego księdza dobrodzieja.

Późną wiosną były u nas wielkie ulewy, takie jakich jeszcze nikt z nas nie widział, jak żyje. Ze wzgórz nad Starzyzną schodziła wielka woda, aż któregoś dnia całą wieś zalało na amen. Wszystkie chałupy stały w wodzie, spichrze ze zbożem i piwnice całe pozalewane. Niektórzy, co mieli jeszcze zboże z

poprzedniego roku, wszystko potracili. Zajrzała nam w oczy bieda i nikt nie chciał nawet myśleć, co będzie dalej.

Dobrowolski wyjechał wtedy i jak nie było go więcej niż trzy tygodnie, myśleliśmy, że nas na pastwę losu zostawił. Ale jak nastał czerwiec przyjechał i przyciągnął ze sobą z dziesięć chyba wozów z kaszą, pszenicą, kartoflami i sam już nie pamiętam, z czym jeszcze. Pieniądzy też przywiózł ogrom. Okazało się, że przez cały ten czas jeździł po parafiach i prosił innych o pomoc dla nas. Nawet w Lublinie był w naszej sprawie i tam też mu pomocy nie odmówili. Przysięgam na Boga Przenajświętszego, że każdy ze Starzyny dałby się za niego na kawałeczki pokroić.

Lato było dla nas dobre. Po stratach z wiosny nie pozostał nawet ślad, bo pieniędzy wystarczyło na wszystkie naprawy, a i jeszcze sporo zostało. Żniwa udały się najlepiej od wojny i na jesieni zapasów mieliśmy pod dostatkiem. Tylko że wtedy z naszym księdzem coś niedobrego zaczęło się dziać. Rzadko z plebanii wychodził, w powszedni dzień to tylko, jak naprawdę musiał, a w niedzielę, to tylko na mszy żeśmy go widywali. Schudł, taki jakiś zamyślony był, na mszach wszystko mu się myliło, a raz, zdaje się zaraz po Wszystkich Świętych, to nawet komunię rozdać zapomniał.

Nie tylko z nim coś dziwnego się działo. Paulinę w tamtych tygodniach też żeśmy coraz rzadziej widywali. Wcześniej lubiła, czy to do nas przyjść, czy do innych tak samo, a już prawie codziennie bywała u Trześniowskich, u Helenki. Od października rzadko kto ją widywał, a z nastaniem listopada to nawet na mszach niedzielnych przestała się pojawiać.

*

Mojemu ojcu Andrzej było. Jak każdego roku, niedługo przed początkiem adwentu zaszedłem na plebanie, żeby mszę za spójność jego duszy zamówić. Zwykle otwierała dziewczyna, ale tym razem i to się zmieniło.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powiedziałem, jak po długim stukaniu otworzył mi proboszcz.

— Na wieki wieków. Coś się stało, panie Grela?

Żle wyglądał. Chudy był jak patyk, sińce miał pod oczami. Niepodobne było do niego, że na powitanie nawet się nie uśmiechnął.

— Nic się nie stało, tylko mszę za ojca chciałem zamówić.

— Na kiedy?

— Jak co roku, na Świętego Andrzeja.

— Dobrze. Odprawię. — Nie dość, że nie zaprosił do środka, to nawet nie zauważył pieniędzy, które zem trzymał w ręku. Zaczął już zamykać drzwi, to przypomniałem:

— Ofiara, proszę proboszcza.

Spojrzał się na mnie tak, jakby całkiem nie wiedział, o czym mówię.

— Co?

— Pieniądze... Za mszę...

Bez słowa schował je do kieszeni swetra i znów chciał drzwi zamknąć.

— Proszę księdza...?

Tym razem popatrzył na mnie ze złością.

— Czego jeszcze?!

— Martwim się o księdza — powiedziałem spokojnie, choć nigdy zem nie słyszał, żeby tak się do kogo odezwał. — Wszyscy we wsi mówią, że może ksiądz chory... Żle wygląda, jakby mu co dolegało...

— Wy nie macie innych zajęć? Jak nie macie, to za modlitwę się lepiej weźcie, a nie księdzem się interesujcie!

Stary już jestem i wtedy zem był prawie taki sam stary, ale nie pamiętam, kiedy w długim życiu tak mi się przykro zrobiło. Tak przykro, że aż łzy mi w oczach z żalu stanęły. Długo po tym, jak Dobrowolski zostawił mnie samego na ganku bez ani jednego słowa więcej, stałem tam jak kołek, bo ciężko było to wszystko pojąć.

*

Z nastaniem adwentu ksiądz zaczął msze odprawiać takie krótkie, jakby się gdzie śpieszył. W Boże Narodzenie to nawet kazania nie powiedział, a w ostatnią niedzielę roku, w sylwestra i na Nowy Rok, czyli przez trzy dni za kolejną, to w ogóle żadna msza w naszym kościele się nie odprawiła. Plebania była zamknięta na głucho, ale jak żeśmy chodzili zapytać, co się dzieje, to nawet drzwi nie otwierali, chociaż w środku świece się paliły. Stukaliżemy każdego z tych dni, Jakub nawet raz czy dwa do okien plebanii krzyczał, żeby proboszcz choć na chwilę do nas wyjrzał, ale na nic się to wszystko zdało.

Szósty stycznia wypadł w niedzielę. Ludzie we wsi już dzień wcześniej się zmówili, że na mszy w Trzech Króli muszą być choćby i trzeba było jechać do innej wsi. Nikt nie spodziewał się, że nagle coś się zmieni, więc wieczorem żeśmy przygotowali sanie i ciepłe ubrania. Wyjazd do najbliższego kościoła byłby też okazją, żeby z innym księdzem się naradzić, co dalej robić w sprawie naszego proboszcza.

Rano było chyba ze trzydzieści stopni mrozu. Śniegu przez noc dosypało z pół metra i żeśmy się zastanawiali, czy konie uradzą pociągnąć sanie taki kawał drogi. Niektórzy zaczęli już narzekać, że po co nam taki ksiądz, co mszy nie odprawia nawet w największe święta, kiedy nad Starzyzną rozległ się dźwięk Świętego Józefa — naszego najpotężniejszego dzwonu. Władek Duda, który dopiero co na proboszcza narzekał najgłośniej, pierwszy rzucił się do biegu. Najpierw każdy myślał, że pewno się pali, ale dymu nie było widać, żeby się unosił nad plebanią albo kościołem.

— Musiało się stać jakie nieszczęście — powiedział Trzeźniowski. — Może co z Paulina?

Razem z Jakubem przybylim do dzwonnicy na samym końcu. Inni już stali wokół, ale nikt nie odważył się odezwać nawet słowem. Ludzie rozstąpili się przed sołtysem, a ten podszedł do Dobrowolskiego, który ciągnął za sznur z taką mocą, że dzwon

aż prawie dobijał zadaszania to z jednej, to z drugiej strony

— Księżę Wincenty, stało się co? — zapytał Jakub.

Ubrany tylko w samą sutannę proboszcz w zapamiętaniu nawet nie spostrzegł się, że ktoś prócz niego jest na placu kościelnym. Nie słyszał też, jak Trześniowski do niego mówi, tylko wpatrywał się w rozkołysany dzwon, jakby chciał go sznurkiem ściągnąć na ziemię. Wreszcie, dopiero jak ja zem podszedł bliżej i stanął zaraz obok, Dobrowolski popatrzył w moją stronę i przestał szarpać linkę, która poleciała wysoko i aż zawinęła się o krawędź dzwonnicy.

— Co się stało, proboszczu? — zapytałem.

— Co się stało? — Przyglądał mi się zdziwiony, jakbym powiedział co głupiego. — Jak to, co się stało? Niedziela dzisiaj, a w dodatku Trzech Króli, to i na mszę dzwonię. Kościół już otworzyłem, wejdźcie wszyscy do środka. Czas zaczynać nabożeństwo.

*

We wnętrzu świątyni był prawie taki sam mróz, jak na dworze. Nikt nie usiadł w ławkach; ciepłej było stać koło siebie.

Czekaliżemy chyba z pół godziny i już ktoś szepnął, że może tej mszy jednak nie będzie, jak Dobrowolski, ubrany w swój najlepszy ornat pojawił się za ołtarzem.

— Zanim jeszcze zacznę sprawować mszę świętą, chciałem was najpierw, drodzy, przeprosić za ostatnie dni. Wiem, że wielu z was zawiodłem, że chcieliście tu za moim pośrednictwem obcować z Najwyższym... Stało się jednak inaczej. Niezbadane są wyroki boskie i z jednym z takich właśnie wyroków przyszło mi się ostatnio zetknąć. — Przerwał i patrzył na nas z uśmiechem. Wyglądał już dużo lepiej niż ostatnio. Był rumiany, pewno trochę od mrozu, ale sińce pod oczami zniknęły i oczy świeciły jasnym blaskiem.

— Choć przyczyną zaniedbania przeze mnie obowiązków duszpasterskich — mówił dalej cichym, ale mocnym głosem —

było cudowne spotkanie z tym, co wielu niedostępne, w co pewnie nikt z was by mi nie uwierzył... to obiecuję, że postaram się, by więcej się nie powtórzyło. Pan Bóg obiecał mi, że więcej nie będę musiał przez niego zaniedbywać moich kochanych parafian.

Dziwne to były słowa. Spojrzeliżemy po sobie, ale nikt nawet nie szepnął. Skoro ksiądz dobrodziej tak mówił, to nie mogło być przecież inaczej.

Rozpoczęła się msza. Zwyczajna, jakich było w naszym kościele setki. Dopiero przed kazaniem nastąpiła długa cisza. Dobrowolski stał po czytaniu Słowa Bożego na ambonie. Wreszcie zamknął ewangelię, spojrzął w górę i rozpoczął:

— Mamy dziś Święto Trzech Króli, moi drodzy. Prawie dwa tysiące lat temu wielcy tego świata przemierzali daleką i niebezpieczną drogę, by oddać hołd Najwyższemu, który stał się jednym z nas. Ale oni wiedzieli, że idą pokłonić się w skromnej szopie temu, który jest potężniejszy od każdej ziemskiej władzy. Byli to wielcy, uczeni mężowie, którzy nie wątpili, że znaki na niebie mogą wskazać drogę do Boga. Szli więc, nie bacząc na trudy podróży, bo wiedzieli, jaka nagroda ich spotka za okazanie czci jedynemu prawdziwemu królowi naszego świata, a gdy dotarli na miejsce, złożyli mu to, co mieli najcenniejszego. Mirrę, kadzidło i złoto. Złota nie mamy, prowadzimy ubogie życie, ale nie chodzi przecież o to, by dary były drogocenne. Bóg przyjmie to, co dajemy ze szczerego serca i nasze starania także doceni, gdy przyjdzie Sąd Ostateczny. Pamiętajmy o tym.

Przerwał na chwilę i jakby sprawdzał, czy jego słowa dotarły do nas tak, jak tego oczekiwał.

— Znacie mnie, moi kochani, i wiecie, że nigdy nie ośmieliłbym się was oszukać. Tak więc, zaprawdę powiadam wam, że rozmawiałem w ostatnich dniach z Najwyższym. Widziałem naszego Pana tak, jak teraz widzę was, stojących w tym świętym miejscu. I on mówił do mnie, a za moim pośrednictwem mówił też do was, drodzy. Wiem, brzmi to jak bluźnierstwo,

ale jeśli nie mówię prawdy, niech będę potępiony na wieki. Przed tym ołtarzem, przed świętym obrazem i w obecności najświętszego ciała Chrystusa przysięgam, że taka właśnie jest prawda. Uwierzcie, bo od tego zależy wasze zbawienie... Wierzcicie? W kościele zapanowała cisza.

— Uwierzcie, bo od wiary w moje słowa zależy wasze życie wieczne! Niech będzie przeklęty ten, który nie wierzy w słowa Najwyższego!

Krzycząc to wznosił ręce do góry.

— Boże, dziękuję ci za tę wielką łaskę w imieniu swoim i moich parafian! Ślubujemy ci całkowite oddanie naszych czynów i myśli! Bądź pochwalony teraz i na wieki! Padnijcie na kolana i dziękujcie Bogu w Trójcy jedynemu!

Nikt nie śmiał sprzeciwić się słowom księdza. Kątem oka, klękając, zauważyłem, że Trześniowski kręci głową ze zdziwieniem, ale i on ukląkł, a zaraz potem Dobrowolski mówił dalej, już trochę spokojniej:

— Tak jak przed dziesiątkami setek lat wielkim mędrcom i władcom pokazał się na niebie znak, tak i nam wkrótce będzie dane ujrzeć na niebie znaki, tyle że tym razem będą to znaki zapowiadające koniec naszych czasów. Radujmy się, bo Pan nas za moim pośrednictwem ostrzeże i wskaże drogę postępowania. Baczcie uważnie w niebo, bo to nastąpi już wkrótce. Będę się z całego serca modlił, by dane nam było rozpoznać zbliżającą się godzinę prawdy. Idźcie za mną, a poznacie szatana, który robi wszystko, by pokrzyżować plany Stwórcy. To tu, w naszej małej wiosce antychryst będzie próbował podnieść głowę i tylko od nas zależy, czy jego przeklęty plan się powiedzie. Nie pozwólmY na to, kochani! Jestem z wami, bądźcie i wy ze mną! Bóg Przenajświętszy jest naszym królem i władcą! Z jego pomocą pokonamy szatana! Niech każdy, kto ujrzy znaki na niebie, natychmiast mi o tym powie. A jak ja je zobaczę, także będziecie o tym wiedzieć. Módlmy się teraz o to, byśmy

nie byli ślepi na znaki, które będą nam dane od Najwyższego... Amen.

Nawet najstarsi w naszej wiosce nie pamiętali takiego kazania. Dały się słyszeć tu i ówdzie ciche modlitwy i szlochy przestraszonych kobiet. Przy konfesjonale zaczęła ustawiać się kolejka. Każdy, kto w niej stanął, chciał pojednać się z Bogiem, by nie mieć na sumieniu grzechów. Sam żem w niej stanął. Dla mnie ksiądz Dobrowolski do tej pory był prawie świętym, a po kazaniu dziękowałem Bogu za to, że był łaskaw ostrzec mnie i wszystkich mieszkańców Starzyzny.

Spowiedź po mszy trwała długo, ale jak żem wyszedł z kościoła, czekał na mnie Trześniowski, zziębnięty na kość.

— I co ty na to, Wojciechu? — zapytał.

— Nie wierzysz w to, co mówił ksiądz?

— Sam nie wiem... Dziwne to...

— Dobrze ci radzę — powiedziałem. — Idź, pojednaj się z Bogiem.

— Jeszcze zdążę. A Paulina? Nie dziwi cię, że na mszy jej nie było?

— Martw się o swoją duszę, Jakubie. Paulina na pewno już wiedziała to wszystko wcześniej i zawierzyła temu, w co tobie trudno uwierzyć...

— Chodźmy, ja jeszcze zdążę — powtórzył. — Może Bóg nie pogniewa się, jak trochę się przy święcie gorzałki napijem.

VII

Od Trzech Króli msze w kościele odbywały się tak, jak dawniej, każdego dnia. Ludzie byli niespokojni, często spoglądali w niebo, ale życie toczyło się w Starzyźnie normalnie. Aż do dwudziestego czwartego lutego. Wtedy właśnie, zaraz po ostatniej niedzielnej mszy przed Wielkim Postem, ksiądz opzajmił, że nadchodzi czas próby. Rozkazał, by następnego dnia ci

mężczyźni, którzy mogą pomóc, stawili się do pracy przy wyřębie.

— Drodzy — powiedział — to znów się stało. Znów rozmawiałem z Najwyższym. Trzeba drewna na plebanii... I tak się składa, że jeśli pomożecie, jutro zobaczycie, że wszystko, co mówiłem, było prawdą... Zbliża się Wielki Post i czas ostateczny też się zbliża. Bądźcie gotowi. Jeśli są wśród was tacy, którzy wątpią, przekonają się jutro. Czekam na was, kochani. Nie zawiedźcie mnie i nie zawiedźcie tego, który jest drogą, prawdą i życiem...

— A mnie się wydaje, że naszemu księdzu dobrodziejowi to się trochę w głowie poprzewracało — powiedział Trześniowski, gdyśmy z innymi wracali po mszy do domów. — Gada jak nawiedzony, jak szarlatan jaki... Gdzież to możliwe, że w naszej wiosce...

— Myślisz, Jakubie, że to nieprawda, że z Bogiem rozmawiał? — zapytałem. — Po co miałby nas oszukiwać?

— Przed ołtarzem przysięgał, w czasie mszy świętej — powiedział Jasiek. — Gdyby to nie była prawda, to... Krzywo-przysięstwo w takim miejscu to chyba najgorszy grzech. Ja mu tam wierzę i wy, Jakubie, lepiej też zawierzcie.

— Zobaczym, co jutro będzie. — Sołtys nie wyglądał na przekonanego. — W każdym razie coś mi tu śmierdzi i to bardzo. Moja rada jest taka, żebyście częściej niż w niebo wokół siebie bacznie patrzyli. Czasem i ksiądz może zbłądzić...

— Przestań już! — powiedziałem. — Nigdy nas nie oszukał, tyle dobrego zrobił, a ty jeszcze o jakieś niegodziwości go posądzasz?

— O nic go na razie nie posądzam, tylko gadam, żeby ostrożnym być. A jakżeś taki mądry, Wojciechu, to może powiesz, co stało się z Paulina? Od Bożego Narodzenia nikt jej we wsi nie widział, a to będzie już dwa miesiące.

— A co ma jedno z drugim wspólnego?! — Już mnie nerwy zaczynały brać na to jego głupie gadanie. — Może chora, a może wyjechała bez słowa...

— ...a może co złego jej się stało? — dokończył.

— Trza się będzie jutro księdza o to spytać.

— A zapytam się — powiedział. — Na pewno się zapytam...

— Jeszcze wstyd ci będzie, żeś proboszcza o nieczne czyny i słowa nieczyste podejrzewał!

— Daj Boże, Wojciechu. Obyś miał rację, bo ja naszemu księdzu nie wróg. Martwię się tylko. I o niego się martwię, i o dziewczynę. Pusto tak jakoś się bez niej we wsi zrobiło. No, bywajcie, bo już żeśmy przy waszej chałupie. Do zobaczenia jutro przy wyrębie.

*

Z początku dzień był chłodny i zachmurzony. Żeby nie skostnieć, żwawo żeśmy się wzięli do roboty. Było nas sześciu czy siedmiu chłopów, to i praca szła jak po maśle.

Ksiądz normalnie ubrany był, tak jak my, po roboczemu, ale jakiś taki nieswój. Ciągłe rozglądał się to na boki, to do góry patrzył niespokojnie, to na zegarek. Kręcił się między nami, pod siekierę podłaził i tak po prawdzie, to więcej zawadzał, niż pożytku z niego było. Wreszcie, jak padający buk o mało nie zawadził Dobrowolskiego, Trześniowski nie wytrzymał:

— Może by sobie proboszcz tak trochę z boku stanął? Złe nie śpi i o nieszczęście nietrudno.

— Nie, nie, panie Trześniowski. Już się biorę do pracy i będę uważał.

— Niech ksiądz siądzie z boku trochę, o tu na ten przykład, na pieńku, i poopowiada. I krzywdy ksiądz sobie nie robi, a i nam robota lepiej będzie szła.

— No dobrze, niech będzie. — Usiadł na pniu i znów spojrzął w niebo, a zaraz potem na Jakuba.

— Ale co niby mam opowiadać, sołtysie? Cały czas na plebanii siedzę...

— No to opowiedzcie, co tam na plebanii, proboszczu. Co tam u Pauliny Podolakowej, bo dawno żeśmy jej nie widzieli i

niepokoić się zaczynamy, czy z nią aby co złego się nie stało?

Akurat żem stał niedaleko księdza i dokładnie było widać, jak słowa Jakuba go wzburzyły. Czerwony cały na gębie się zrobił, wstał jak oparzony i wpatrywał się ze złością w Trześniowskiego. Pozostali przerwali pracę, by dokładnie usłyszeć, co odpowie proboszcz. Ten po chwili usiadł na swoim miejscu i spokojnie rzekł:

— Co też pan wymyśla, panie sołtysie? Co niby jej się złego na plebanii mogło stać?

— Nie wiem, co... Dziwne to po prostu, że tyle czasu znaku życia nie daje, to i żem się zapytał.

— Niepotrzebnie się martwicie. Wszystko z nią w porządku, tylko... w święta, jak szła z wodą od studni, to poślizgnęła się na lodzie i nogę skręciła. Do dziś trochę trudno jej chodzić, ale już wraca do zdrowia.

— A może trza było w takim razie po doktora posłać? Może noga złamana i jak się źle zrośnie, to dziewczyna kaleką może na całe życie zostać... — nie ustępował Jakub.

— Sam Paulinę na to namawiałem, ale cały czas twierdziła, że to nic takiego, a siłą jej nie zmuszę, prawda?

— To jeszcze prawie dziecko, proszę księdza. Sama nie wie, co dla niej lepsze.

— Mój ojciec był felczerem, więc na zwichnięcia się napa-trzyłem i potrafię je rozpoznać — mówił coraz bardziej poirytowany Dobrowolski. — Wracajcie do roboty. Chyba nie sądzi-cie, że nie dbam należycie o biedną sierotę?

— Tego nikt przecie nie powiedział — odparł Jakub. — Ale wieczorem i tak przyjdę zobaczyć, co z nią.

Wyglądało na to, że przynajmniej na razie temat jest zakończony. Robota znów ruszyła, a ksiądz wstał i odszedł na kilkadziesiąt kroków. Zaraz potem zawołał do siebie Trześniowskiego.

Widać było, że żywo o czymś rozprawiają. Po kilku minutach rozmowy Jakub zaczął ze złością wymachiwać rękami.

Dało się tylko słyszeć jego podniesiony głos, ale zrozumieć czegokolwiek się nie dało. Wreszcie sołtys zdarł z głowy futrzaną czapkę i cisnął nią pod nogi księdza. Ten był bardzo spokojny. Pogroził tylko palcem sołtysowi. Wtedy wydawało mi się, że usłyszałem, jak Trześniowski krzyknął:

— Szlag by cię trafił! Bodaj byś...

Nie byłem pewien, czy tak właśnie zwrócił się do księdza. Tak po prawdzie, to wolałem myśleć, że tylko mi się tak zdało.

Po kłótni ksiądz poszedł głębiej w las, a Jakub wrócił do nas błądy jak ściana. Widać było, że bardzo jest poruszony. Usiadł na pniu, wyjął papierosa i zapalił.

— Stało się co? — zapytałem, a Trześniowski tylko pokręcił głową.

Wiedziałem, że teraz, przy ludziach, i tak więcej się od niego nie dowiem.

*

Po ponurym i chłodnym poranku pogoda zaczęła się nagle zmieniać. Wiatr przeganiał po niebie chmury, których było coraz mniej, aż wreszcie zza nich wyjrzało słońce.

Ksiądz wrócił na wyrąb i teraz już nawet nie udawał, że próbuje pomagać. Stał tylko na pobliskiej polanie, spoglądając to w niebo, to na zegarek. Trześniowski patrzył od czasu do czasu w jego stronę i pracował z zaciśniętymi ustami. Dobrowolski jakby zapomniał już o wszystkim. Wcześniej był niespokojny, teraz zajmowało go tylko sprawdzanie godziny. Kiedy prawie zapomnieliśmy o jego istnieniu, krzyknął:

— Bywajcie do mnie! Oto nadeszła chwila, gdy Pan Bóg Przenajświętszy daje nam znak, tak jak obiecał!

Rzuciliżemy piły i siekiery, by pobiec w kierunku proboszcza.

— Na kolana, grzesznicy! — krzyczał, wpatrując się w niebo, gdy zdyszani staliśmy otaczając go ciasnym kołem.

Jak jeden mąż spełnilizemy jego rozkaz, kłękając na mokrej ściółce.

— Pan też, panie Trzeźniowski!

Dopiero teraz zobaczyłem, że Jakub wciąż pracuje, nie zważając na wołanie księdza. Z ociąganiem odłożył siekierę i wolnym krokiem ruszył w naszą stronę.

— Powiedział Pan, że słońce będzie zasłonięte, a to zwiastować będzie ogrom nieszczęść i przybycie antychrysta! Błogosławieni, którzy poprzez kapłana poznają te znaki i przygotowują się na Sąd Ostateczny! — to mówiąc zza pazuchy wyciągnął coś płaskiego i podał Jaśkowi. — Patrzcie i uwierzcie, że prawdę wam powiadam!

Akurat w tym momencie słońce zasłonił ołowiany obłok. Jakub stanął obok mnie i z kpiącym uśmiechem wpatrywał się w księdza.

— Na kolana, niedowiarku! — warknął ten gardłowo.

— Na kolana, bo inaczej... inaczej spadnie na ciebie nieszczęście... Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Trzeźniowski spojrział na niego z pogardą, splunął i przyklęknął na jedno kolano.

— Widzę, proszę księdza! Na słońce coś nachodzi! — Jasiek wpatrywał się w górę, trzymając w ręku okopconą szybkę. — Co się dzieje? Co to się dzieje, proboszczu?

— To pierwszy znak. Pierwszy z wielu. Daj i innym popatrzeć.

Szybka przechodziła z rąk do rąk. Każdy z nas mógł zobaczyć, jak słońca na niebie jest coraz mniej, aż wreszcie zasłonięte było prawie w połowie. Jakub też popatrzył przez chwilę i oddał mi szkiełko.

— Słuchajcie mnie teraz! — krzyczał znów Dobrowolski. — Wkrótce nadejdzie chwila prawdy, chwila, gdy trzeba będzie udowodnić swoją wiarę...

Trzeźniowski wstał i ruszył w stronę wsi.

— Wracaj! Wracaj tu w tej chwili! Wracaj, bo będziesz przeklęty!

Nawet się nie odwrócił. Machnął tylko ręką i szedł dalej.

— On to zrozumie, zobaczycie, że jeszcze to zrozumie. A teraz módlmy się, bo tego teraz najbardziej nam potrzeba. Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

— Co się stało Jakubowi? — zapytał mnie Jasiek.

Wzruszyłem tylko ramionami i modlił się jak pozostali.

Gdy słońce znów było widać w całości, wstaliśmy, nie wiedząc, co dalej robić.

— Dość już pracy na dzisiaj — powiedział Dobrowolski.

— Zabierzcie narzędzia i idźcie do wsi opowiedzieć innym, coście tu widzieli. Módlcie się wszyscy z nimi z całego serca, a wieczorem przyjdźcie na mszę. Pomódlcie się też za mnie, żebym potrafił dobrze odczytać słowa naszego Pana, bo od tego zależą nasze losy.

Podniósł rękę i nas pobłogosławił.

Po powrocie do wioski od razu żem poszedł do Jakuba.

— Co tobie? — zapytałem. — Życie wieczne ci niemiłe? Przecieżżeś widział to, co i my...

— Daj mi spokój, Wojciechu. Daj spokój i idź swoją drogą.

— Msza dziś wieczorem będzie. Ksiądz kazał, żeby wszyscy...

— Ja nie pójdę i Helenka też w domu zostanie.

— Czyś ty oszalał? Znaki na niebie, a ty nawet pojednać się nie chcesz z Bogiem?

— Jak będzie trza, to będę sam się z nim jednał. A te znaki to... — Machnął ręką. — I tak bardziej niż mnie wierzysz księdzu. Nie wiem, co on wymyślił i po co mu to wszystko, ale bacz uważnie. Czasem od ludzi większe nieszczęścia mogą przyjść niż od Boga. Jeszcze wspomnisz moje słowa, Wojciechu.

*

Wiść o niezwykłych znakach na niebie gruchnęła po wsi z taką mocą, że wszyscy w kościele zjawili się na długo przed

godziną rozpoczęcia mszy. Przyszedł też ksiądz, podszedł do mnie i zapytał:

— A Trześniowski? Nie ma go?

— Nie ma, proboszczu. Powiedział, że ani on nie przyjdzie, ani jego córka.

— Bez niego nie zaczniemy, panie Greła. Musimy wszyscy się modlić, bo inaczej nieszczęście gotowe. Niech pan idzie i ich przyprowadzi do kościoła.

— Ale przecież na siłę go nie przyciągnę...

— Powiedziałem chyba jasno? Musi przyjść Trześniowski, bo inaczej nie będzie mszy. Albo jest z nami, albo wszyscy przez niego będziemy potępieni. Niech pan mu to przekáže. Niech pan też powie, że nasza umowa z rana jest aktualna. Jeżeli będzie mi się sprzeciwiał... On dobrze pamięta moje słowa. Niech pan mu przekáže, że jeśli mi się będzie sprzeciwiał, to przeciw całej wsi się to obróci, dobrze?

Nie miałem innego wyjścia. Poszedłem do Jakuba, przekazałem mu słowa księdza, a wtedy on bez słowa zaczął się ubierać i Helence też kazał iść razem z nami. Ksiądz wiedział, że przyjdziem wszyscy, bo z rozpoczęciem mszy czekał. Kiedy nas zobaczył w wejściu, uśmiechnął się i dopiero wtedy rozpoczął liturgię.

VIII

Na koniec poniedziałkowej mszy ksiądz przykazał, aby wypadające następnego dnia ostatki były we wsi huczne. Mówił, że niezbadane są wyroki niebios i nie wiadomo, czy jeszcze kiedy taki dzień nam się przydarzy.

Nie były to słowa, które żeśmy mogli odczytać jako zapowiedź czego dobrego, to tym bardziej trza było święto uczcić. Sam proboszcz też świętował razem z nami. Obszedł każdą chałupę we wsi i w każdej pokosztował i jadła, i napitków,

przestrzegając przed wielkim postem, który miał się zacząć następnego dnia.

Nasz dom odwiedził na samym końcu. Miał już nieźle w czubie, język mu się plątał, ale nie odmówił i u nas poczęstunku. Niedługo przed północą wstał, mówiąc, że pora na spoczynek. Chwiał się na nogach, to dałem znak Jaškowi, że trza Dobrowolskiego na plebanię zaprowadzić. Wzięliśmy go pod pachy i powiedli w kierunku kościoła.

W kuchni plebanii widać było światło.

— Widać, Paulina jeszcze nie śpi — odezwał się Jasiak.

— Widać, czeka na księdza...

— Tak jej przykazałem, żeby mi drzwi otworzyła, jak wrócę — wybelkotał proboszcz. — Wszystko robi tak, jak jej każe...

— Dobra z niej dziewczyna, prawda? — zapytałem. — Chyba proboszcz z niej zadowolony?

Wyrwał się gwałtownie, szybko wszedł po schodach na ganek i załomotał pięścią w drzwi, po czym odwrócił się w naszą stronę.

— Szatan na każdego z nas czyha, a najbardziej na tych, których myśli i czyny zawsze były prawe — wymamrotał.

Był całkiem pijany i ledwośmy go rozumieli.

— Czasem w nich wstępuje, tak...

Zza jego pleców dobiegł szcęk otwieranego zamka i drzwi się uchyliły.

— Wracaj do kuchni! — krzyknął. — Wracaj, powiedziałem!

Usłyszeliśmy oddalające się kroki, a ksiądz zszedł do nas i chwycił mnie za kłapy kożucha.

— Wojciechu! — Jego oddech czuć było alkoholem. — Ja dla was wszystko... A wy? Przysięgnijcie mi, że staniecie u mojego boku do ostatecznej walki z antychrystem! Ty też, Jasiak! Przysięgnijcie mi obaj, bo sam nie dam sobie rady...

— Staniem, proszę księdza — odezwałem się niepewnie.

— Przysięgajcie na krzyż! — Wyjął zza pazuchy sutanny krucyfiks. — Połóżcie na nim ręce i przysięgajcie!

Zrobiliśmy to, co nam kazał. Potem dał go nam jeszcze do ucałowania.

— I nie słuchajcie sołtysa — wyszeptał gorączkowo, chowając krzyż. — To zły człowiek. Pewnie jątrzyć będzie i zaprzeczać moim słowom, Judasz przeklęty... Gdybyście wiedzieli, co on... Co on w czasie wojny... — Przerwał i tylko oddychał ciężko. — Ale nieważne. Obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi... Idźcie z Bogiem i módlcie się za mnie.

— Czas próby nadchodzi — dodał, odwracając się i z trudem wdrapując się na schody. — Módlcie się, żebyście wtedy byli po właściwej stronie.

Ciężko nam było to wszystko zrozumieć. Długo jeszcze żeśmy stali przed plebanią, zastanawiając się nad słowami księdza. Jedno było jasne — nie zapowiadały one niczego dobrego.

*

Już w Środę Popielcową znać było, że ten Wielki Post będzie inny od wszystkich, które żeśmy przeżywali do tej pory. Kazania proboszcza i znaki na niebie sprawiły, że na ludzi we wsi padł strach. Słowa „z prochu powstałeś i w proch się obrócisz” nabierały strasznego znaczenia, a posypanie głów popiołem kazało nam myśleć o bliskiej śmierci.

Na mszy zabrakło tylko Trześniowskiego i jego córki.

— Myślisz, ojcze, że ksiądz prawdę gadał o Jakubie? — pytał mnie w kościele Jasiak. — To możliwe, że on się Bogu sprzeniewierzył?

— Nie wiem, synu, ale jeśli taka jest prawda, to tym bardziej powinniśmy się modlić za jego duszę i za duszę Helenki. Póki czas ostateczny nie nastał, jeszcze nie jest dla nich za późno.

*

Do Starzyzny powróciły kopne śniegi i trzaskające mrozy. Nikt z nas nie wychodził poza wieś, a i nikt z zewnątrz do nas nie docierał. Dzieciaki nie chodziły tygodniami do szkoły. Zresztą, i tak nauka nie miała żadnego znaczenia, skoro wkrótce miał nadejść czas ostateczny. Zdawało się, że poza Trześniowskimi nikt w to nie wątpił.

Od Środy Popielcowej nikt nie spotykał się z Jakubem i Helenką. Czasem byli widywani przy swoim domu, ale poza zwykłym „dzień dobry”, ludzie nie wdawali się z nimi w rozmowy. Znać było wyraźnie, że ksiądz nie tylko nam w ostatki nagadał o nich złych rzeczy.

Słowa proboszcza zdawała się potwierdzać nieobecność Trześniowskich na mszach świętych. Nie tylko w niedziele, ale i w dni powszednie kościół był wypełniony, a sołtys i Helenka dalej nie przychodzili. Wreszcie ludzie zaczęli nawet szemrać, że to pewnie w ich domu zadomowił się antychryst.

Gdzieś tak w połowie marca doszły do nas słuchy, że Kowaliki, Duda i jeszcze dwaj inni mężczyźni wybrali się na plebanię, żeby poradzić się Dobrowolskiego, co robić w tej sytuacji. Gadało się nawet, że sami proponowali — jak to określano — ostateczne rozwiązanie problemu odszczepieńców. Nie wiadomo, ile w tym prawdy, ale ponoć ksiądz, który nawet nie wpuścił ich za próg, stanął w obronie Jakuba i Helenki. Mówił, że tylko zbłądzili, i przekonywał, że antychryst objawi się w innym miejscu. Przyrzekł, że sam pierwszy da znak, gdy tylko nadejdzie odpowiedni czas.

I tak właśnie się stało.

IX

Na początku kwietnia, niedługo przed Wielkanocą, nadeszły pierwsze cieplejsze dni. Śnieg topił się szybko, powodując

podtopienia gospodarstw, ciężkie, wilgotne czapy łamały drzewa w okolicznych lasach, a droga do Guciowa przypominała trudne do przebycia trzęsawisko. Mimo to w Niedzielę Palmową, szóstego kwietnia, ksiądz na mszy wyraźnie dał do zrozumienia, że pora wysłać dzieci do szkoły.

— Zaczynają się rekolekcje — mówił. — Bóg był jak dotąd dla nas łaskawy i pora znów wrócić do tego, co było dawniej.

Nie było mowy, żeby ktoś sprzeciwił się nakazowi, więc wszyscy bez wyjątku posłali swoje pociechy na nauki. Każdego dnia rano jeden z gospodarzy wyruszał wozem przez błotnistą drogę, by dowieźć tak i najmniejsze, jak i starsze dzieci na miejsce. Koła grzęzły, łamały się osie wozów, konie odmawiały posłuszeństwa, ale polecenie księdza i tak było zawsze spełniane. Za każdym razem ten sam gospodarz, co je rano zawiózł, miał przywieźć dzieciaki z powrotem do wsi.

W Wielki Czwartek zajęć nie było, za to następnego dnia miały się odbyć specjalne zajęcia. Wiadomo — mszy w Wielki Piątek się nie odprawia, ale nakaz był wyraźny: dziatwa i młodzież miała obowiązek dotrzeć rano na miejsce.

Tym razem jażem miał jechać. Załadowany wóz ledwie przedzierał się przez błota. Tuż przed guciowską drogą ktoś z wozu krzyknął:

— Panie Grela! Anielka z wozu wyskoczyła!

Ściągnąłem lejce, ale pomiędzy drzewami jeno zamajaczyła mi jej sukienka. Anielka nie zwracała uwagi na moje krzyki, tylko biegła z powrotem w stronę Starzyny.

Nie było rady. Dowiózłem pozostałych i zapowiedział, że zaraz po południu będę po nich z powrotem. Zachodziłem, w głowę, co tej małej strzeliło do łba. Miałem nadzieję, że jak wrócę, spotkam ją całą i zdrową we wsi.

Tak też się stało. Jej ojciec, Antek Komisarczuk, już na mnie czekał przed chałupą.

— Wojciechu, mała jest w domu — powiedział. — Nie wiem, dlaczego uciekła. Powiedziała tylko, że nie chce być dzisiaj z innymi dziećmi.

Wzruszyłem tylko ramionami.

— Całe szczęście, że dotarła cało.

I tak żem miał swoje kłopoty na głowie. W drodze powrotnej trzasnął mi dyszel i nie było dużo czasu na jego narychtowanie. Niedługo trza było jechać z powrotem i kłążem siebie w duchu, bo trza mi było na dzieciaki poczekać.

Jak się potem okazało, dobrze bym zrobił.

*

Akurat żem miał jechać z powrotem, jak nad Starzyznę nadciągnęły ciemne, burzowe chmury. Za wzgórzami słyhać było grzmoty, które zdawały się coraz to głośniejsze i bliższe. Wszystko wokół zamarło nagle, jakby kto odgłosy nożem uciął. Wiatr ucichł, podobnie jak śpiew ptaków, które jeszcze przed chwilą dawały przedwiosenny koncert. Nie wróżyło to niczego dobrego, ale nie było wyjścia. Zarzuciłem na plecy pelerynę od deszczu i wsiadł na wóz.

Udało mi się dojechać do skraju doliny i zaraz potem rozpełtało się prawdziwe piekło. Najsampierw zaczęło wiać tak mocno, że co cieńsze drzewa pochylały się prawie do ziemi, a mocniejsze tylko skrzypiały i jęczały w gęstniejących porywach wyjącego wichru. Skuliłem się tylko na koźle, odmawiając modlitwy, żeby które z nich nie spadło mi prosto na plecy.

Zaraz potem wkoło zaczęły walić pioruny. Jeden za drugim, jeden za drugim tak często, że ich uderzenia złały się w jeden ogłuszający huk. Nad las naszło niebo tak czarne, że zrobiło się ciemno jak w środku nocy. Gniady przypięty do dyszla ploszył się co chwila, ale ciągle szedł do przodu. Jak nadeszła ulewa, wichur zaczął wiać jeszcze mocniej, a od gęstwiny dały się słyszeć odgłosy łamiących się i padających drzew.

Nagle droga rozjaśniła się oślepiającym blaskiem, a rażony błyskawicą stary dąb, co najwyżej dziesięć metrów po prawej stronie przede mną, stanął cały w ogniu, po czym przepołowił się jak liche polano uderzone siekierą. Jedna jego część

zatarasowała drogę, stawiając przed wozem płonąca barykadę, której nijak nie mógłbym ominąć. Koń szarpnął się do tyłu, zerwał uprząż i jak oszalały popędził gdzieś w głąb lasu.

Cały żem się trząśł, ale udało mi się jakoś zleźć z wozu i wczłogać pod spód w nadziei, że tam uda mi się przetrzymać nawałnicę.

Już drugi raz zacząłem odmawiać różaniec, a wichura nie ustawała ani na jotę. Wtedy to właśnie zdało mi się, że słyszę głos Jaśka. Najpierw słaby; ginął co chwila w huku piorunów i przewalających się drzew, lecz później zabrzmiał głośniejsze.

— Tato! — Teraz żem był już pewien, że to syn za mną woła.
— Tato!

Najwyraźniej zobaczył płonące drzewo, bo zaraz potem dopadł do wozu.

— Tutaj, Jasiu. Pod spodem.

Schylił się i złapał mnie za ramię, próbując wyciągnąć spod fury.

— Chowaj się! Tu przeczekamy! — krzyknąłem. — Zdurniałeś, czy ci może życie niemile?

— Do wsi, ojciec! — Wysapał. — Szybko, bo nieszczęście wiśi w powietrzu!

— Ale co się stało? Chałupa od pioruna się zapaliła?

— Ksiądz, Paulina... Sam zobaczysz. Może jeszcze nie jest za późno...

*

Jasiu gnał tak, jakby gonił go sam diabeł. Co rusz musiałem na niego pokrzykiwać, żeby poczekał, ale zaraz potem znów odbiegał w przód, mamrocząc tylko „Ksiądz, Paulina, ksiądz, Paulina” i tak w kółko. Zdawało się, że odchodzi od zmysłów.

Burza nie ustawała. Wichur dął ciągle z taką samą siłą i dalej panował mrok. Jak żeśmy wybiegli z lasu, z każdym uderzeniem

pioruna zdawało się, że to właśnie w nas tym razem uderzy, ale przynajmniej błyski rozświetlały trakt przed nami na tyle, że nie sposób było zabłądzić.

Gdy kościół był już blisko, Jasiak przestał na mnie zważać i popędził co sił w nogach. Ja już słaby, to resztę drogi przebyłem na tyle szybkim krokiem, na ile pozwalały na to stare kości.

Świątynię rozjaśniały dziesiątki świec, których najwięcej było przy samym ołtarzu, ale oczy, jeszcze trochę ślepe od białego światła błyskawic, z początku i tak nie chciały się przyzwyczaić do o wiele słabszego blasku. Jasiak stał w drzwiach, ciężko sapiąc. Minąłem go i postąpił kilka kroków naprzód.

Na ołtarzu w jasnym, lnianym ubraniu leżała Paulina, a Dobrowolski stał tuż za nią z rękami wzniesionymi ku górze. Odprawiał mszę. Odprawiał mszę w Wielki Piątek, co było dla mnie zupełnie niepojęte.

Rozejrzałem się wokół. Zdawało się, że wszyscy ze wsi przybyli na nabożeństwo. Patrzyłem w ich blade twarze, a oni powtarzali za księdzem słowa modlitwy, jakby nieobecni i ciałem, i duchem.

Dziewczyna była ciasno skrępowana grubym powrozem. Na nagich kostkach nóg, na udach, w talii, na piersiach, skrzyżowanych nadgarstkach i szyi sznur wyraźnie odcinał się od bieli ciała i szat, w które była ubrana. Zobaczyła mnie i przypatrywała mi się z nadzieją, wyraźnie bijącą z jej załzawionych oczu. Próbowwała się poruszyć, próbowała coś powiedzieć, ale słyhać było tylko jej zdławiony, gardłowy jęk. W ustach też miała powróż, biegnący pomiędzy wyszczerzonymi zębami i wcinający się głęboko w jej blade policzki.

Ksiądz przerwał modlitwę i spojrzał na mnie wzrokiem, jakiego nigdy dotąd zem nie widział ani u niego, ani u nikogo innego. Kiwał się lekko to w przód, to w tył, a jego zimne, prawie martwe oczy przepelnione były obłędem.

— Szczęść Boże, panie Grela — wycharczał, a głos miał cichy, przypominający dźwięczenie ostrzonego noża. — Dobrze, że pan do nas dołączył. Wszyscy, jak tu jesteśmy, przysięgaliśmy na krucyfiks wierność Najwyższemu... Oto nadeszła chwila prawdy...

— On tu był!!! — wrzasnął tak głośno, że wysoki głos potoczył się po ścianach i odbił echem od wysokiego sklepienia. — Antychryst był między wami, a tylko ja potrafiłem rozpoznać jego dzieło!!! — krzyczał jeszcze bardziej donośnie. — Gdzie wtedy byliście?! Dlaczego byliście ślepi?! Dlaczego?! Czy was nie ostrzegałem?!

Kościół chwiał się w posadach, wstrząsany podmuchami wichru, odgłosy grzmotów i wciąż ulewnie padającego deszczu nie ustawały, a mimo to wydawało się, że po słowach księdza nastąpiła zupełna cisza.

— Oto jego dzieło — powiedział już ciszej, po czym gwałtownym ruchem przekręcił dziewczynę na plecy z taką siłą, że aż jej głowa głucho uderzyła o ołtarz.

Wcześniej tego żeśmy nie widzieli, bo leżała przodem do nas. Teraz, gdy była odwrócona bokiem, poniżej piersi, pomimo krępujących więzów, uwidoczniło się wyraźne zaokrąglenie brzucha. Jej ciałem wstrząsnął nagły szloch.

— Teraz dopiero płaczesz? — Dobrowolski pochylił się nad nią z szyderczym uśmiechem. — Teraz?! Trzeba było wcześniej... Teraz jest już za późno!

Postąpiłem kilka kroków w tył, a on to dostrzegł i powiedział:

— A pan się gdzie wybiera? Chyba nie zamierza pan złamać świętej przysięgi?

Nie wiedziałem, co robić. To wszystko w głowie mi się nie chciało pomieścić. Wiedziałem, że dzieje się coś złego, coś bardzo złego, ale bałem się też kary za krzywoprzysięstwo.

— Trzymajcie go — rozkazał. — On musi tu z nami być. Do samego końca.

Silne ręce chwyciły mnie z obu stron. Marcin Kowalik i Władek Duda trzymali mnie tak mocno, że nie mogłem nic zrobić.

— Jasiu! — krzyknąłem. — Jasiu, biegnij po Trześniowskiego!

— Łapcie młodego Grełę! — wrzasnął ksiądz. — Nie pozwólcie mu uciec!

Stukot butów w tylnych rzędach świadczył o tym, że inni natychmiast próbowali wykonać polecenie, lecz zaraz potem ktoś odpowiedział:

— Uciek, proszę proboszcza. Gnać go?

Ten zastanowił się przez moment i odparł:

— Nie trzeba. Zaraz i tak wrócą. Może to i nawet lepiej, że dołączy do nas też sołtys. Zbłądził, ale przecież moją rolą jest też sprowadzanie wątpliwych ze złej drogi, która wiedzie wprost w otchłań piekielną...

*

Wydawało mi się, że od chwili, gdy Jasiu pobiegł po Trześniowskiego, mijają godziny, choć wiedziałem, że mogło minąć najwyżej kilka minut. Msza trwała nadal, jak gdyby nic się nie zdarzyło, tylko mężczyźni z obu stron wciąż ściskali moje ramiona. Ich twarze były jak z wosku.

Dalej, za Kowalikiem, siedziała rodzina Komisarczuków, a Anielka była jedynym dzieckiem w kościele. Przeraził mnie widok jej buzi. Wpatrywała się w leżącą na ołtarzu Paulinę z radosnym podnieceniem w oczach, na policzkach miała rumieńce. Trudno było mi powiedzieć, czy rozumie, co właściwie się dzieje.

Tak naprawdę, trudno było mi ocenić, czy ktokolwiek ze zgromadzonych, poza mną i skrzepowaną powrozem dziewczyną, rozumiał.

Podczas podniesienia modliłem się z całego serca, żeby ten cały koszmar jak najszybciej się skończył, żeby przyszli Jasiu z Jakubem, żeby zrobili coś, co przerwie to całe okropieństwo.

Najbardziej żem chciał, by to wszystko okazało się strasznym snem, którego po przebudzeniu nie będę nawet pamiętał.

Dobrowolski odprawiał mszę spokojnie, całkiem nie widać było po nim zdenerwowania. Miałem nadzieję na to, że to jakiś dobry znak.

W pewnej chwili zdawało się, że mówi wolniej. Co chwila spoglądał też w stronę drzwi, jakby czekał na przyście nieobecnych.

„Zaraz rozda komunię” — pomyślałem. — „A potem niech to wszystko się skończy”...

Nagle się odezwał, pochylając się nad dziewczyną:

— Już pora, dziecko...

Ta wpatrywała się w jego puste oczy przerażona, a po jej policzkach wciąż płynęły łzy.

Przy drzwiach dało się słyszeć poruszenie i stłumione głosy. Ksiądz spojrział w tamtym kierunku, po czym rzekł cicho i spokojnie:

— Oto Baranek Boży...

To, co nastąpiło potem, nie trwało chyba nawet sekundy. Coś błysnęło w ręce kapłana, którą wznosił gwałtownym ruchem do góry. Wywrócił oczy tak, że było widać tylko białka, po czym ramię opadło, uderzając w pierś dziewczyny. Zaczęła się rzucać jak w padaczkę, jej bosa stopy i głowa bębniły o ołtarz. Dobrowolski znów patrzył przed siebie, jakby zupełnie zapomniał o istnieniu Pauliny.

Pod jego ręką pojawiła się purpurowa struga, która spłynęła na ołtarz po białym odzieniu. Dziewczyna poruszyła się po raz ostatni.

— Zostaw ją! — Poznałem głos Jakuba. — Coś ty jej zrobił, skurwysynu?!

— Jego też trzymajcie, tak jak Grełę — rzucił ostro ksiądz. — Niech się tu nie zbliża!

Znów słychać było szamotaninę od tyłu, do której dołączyły krzyki i przekleństwa sołtysa. Zaraz potem przestałem je słyszeć. Patrzyłem tylko na śliczną, dziewczęcą twarz, która teraz

nie wyrażała już żadnych emocji. Spoglądała tylko w górę szklistymi oczami. A krew nie przestawała płynąć. Potem nie widziałem już nic.

Następne, co pamiętam, to siebie leżącego na podłodze i Dobrowolskiego, który czerwoną od krwi ręką podaje komunię podchodzącym ludziom. Małe, purpurowe krążki znikają jeden po drugim w kolejnych ustach.

Burza przeszła, chmury się rozsunęły, na dworze zrobiło się jaśniej. Wiatr też ucichł. Było cicho i spokojnie.

„Już po wszystkim” — tyle żem tylko dał radę pomyśleć.
„Wszystko się już skończyło...”

Rozdział trzeci

1.

Od pisania całkiem zdrętwiała mi ręka.

Jeszcze zanim stary Greła zaczął opowiadać, szybko sięgnąłem po brulion Rafała i na czystych stronach zacząłem notować całą historię.

Nie zdążyłem wcześniej przeczytać wszystkich notatek, ale uznałem, że przecież mogę to zrobić później. Ze względu na Gielmudę i jego małą córeczkę nie chciałem uronić z opowieści nawet jednego słowa.

Teraz przebiegłem wzrokiem po ostatniej zapisanej kartce i odrzuciłem ołówek, jakby parzył mnie w palce. Cisnąłem nim z taką złością, jak gdyby to właśnie on był winien temu, co zostało przed chwilą zapisane.

Jako dziennikarz miałem sporą wprawę w szybkim notowaniu wypowiedzi moich rozmówców. Robiłem to machinalnie, a znaczenie zapisanych słów właściwie do mnie nie docierało; najważniejsze było dokładne odwzorowanie każdego słowa, każdej myśli opowiadającego.

Wystarczyło, że rzuciłem okiem na ostatnie zdania, a już dokładnie wiedziałem, że nigdy więcej nie wrócę do tego tekstu. Bóg mi świadkiem, że wolałbym to wszystko w jakiś magiczny sposób wykasować z pamięci, lecz sądziłem, że nie będzie

to możliwe. Nie miałem wątpliwości — historia Pauliny Podolak i jej nienarodzonego dziecka będzie latami do mnie wracać w sennych koszmarach.

O ile te lata rzeczywiście jeszcze są przede mną.

Podniosłem wzrok. Stary Grela patrzył na mnie z niepokojem, jakby obawiał się reakcji. Po twarzy Jaśka płynęły łzy, a pozostała dwójka patrzyła gdzieś po kątach pomieszczenia kuchennego.

Nie miałem pojęcia, co mogę powiedzieć. Raz jeszcze rzuciłem okiem na brulion i zamknąłem go z trzaskiem. Największą ochotę miałem na to, aby wyjść na zewnątrz i się uspokoić. To nie był najlepszy pomysł, więc zamiast tego wstałem, podszedłem do kredensu i wyjąłem z niego butelkę wódki.

Pociągnąłem z gwinta kilka solidnych łyków, a potem wyszedłem do pokoju.

Chciałem po prostu zostać sam.

*

I byłem sam.

W obcym domu, wśród wraków ludzi, którzy pozwolili na zbrodnię tak straszną, że ciężko było ją ogarnąć umysłem. Socha i Cieplakowa — przecież byli wtedy w kościele i nie zrobili nic, co mogło pomóc tej nieszczęsnej dziewczynie, zamordowanej z zimną krwią przez oszalałego proboszcza. Grelowie też nie byli bez winy. Wprawdzie w ostatniej chwili przejrzeni na oczy i próbowali pomóc, tyle że akurat wtedy było już za późno. Gdzie byli wcześniej, do jasnej cholery? Dlaczego nie posłuchali sołtysa, który chyba jako jedyny zachował resztki zdrowego rozsądku?

Łatwo mi było ich oceniać, leżąc beczynn timer na łóżku i wpatrując się w sufit. Mnie, człowiekowi po studiach, który przyszedł na świat dokładnie w dniu, gdy cała ta potworność się wydarzyła.

Pod koniec dwudziestego wieku i na początku trzeciego tysiąclecia powszechnie znane były występki księży, którzy — co

powoli docierało do wiernych — byli takimi samymi ludźmi, jak pozostali członkowie Kościoła. Błądzili tak, jak inni. Grzeszyli, sprzeniewierzali się ślubom kapłańskim, rozkręcali własne, czasem mało przejrzyste interesy. Gazety i telewizja trąbiły przecież o tym z lubością. Ale tuż po wojnie, zwłaszcza na wsiach, postrzeganie kapłanów było całkiem odmienne. Czy można było prostych ludzi winić za to, że dali się zmanipulować? Zwłaszcza że Dobrowolski, który był dla nich wielkim autorytetem i dobrodziejem, przysięgał przy ołtarzu, pokazywał znaki na niebie (pomyślałem, że jeśli uda mi się wrócić do „mojego świata”, to w pierwszym rzędzie sprawdzę, czy dwudziestego piątego lutego tamtego roku było w Polsce widoczne zaciemnienie słońca), mając książkową wiedzę o ich spodziewanym nadejściu. Oszukał mieszkańców Starzyzny tylko po to, żeby zachować dobre imię, żeby nie wyszło na jaw, że ufna dziewczyna zaszła z nim w ciążę. Ją też pewnie w jakiś sposób omaił...

Obrzydzenie i złość ustępowały miejsca zwyczajnemu współczuciu. I rodzącemu się przekonaniu, że wtedy na ich miejscu zachowałbym się tak samo.

„Ale co z Trześniowskim?” — zapytałem sam siebie w myślach. „On czuł, że coś się święci i nie zareagował. Dlaczego?! Czym zagroził mu ksiądz?”

Pytania kłębiły się w głowie, a świadomość, że zapewne nigdy nie będzie mi dane poznać na nie odpowiedzi, była trudna do zniesienia.

Niemal tak samo nieznośna, jak ta, że zostanę tu do końca życia.

Albo i jeszcze dłużej...

Nie zauważyłem nawet, kiedy zrobiło się całkiem ciemno.

Do kuchni prowadziły drzwi z szybkami w górnej części, zza których do pokoju wlewało się słabe światło świec. Nie słyszałem żadnych głosów, ale wiedziałem, że oni tam są. Musiałem

pójść i rozmawiać z tymi ludźmi tak, jak przedtem. Miałem wyrzuty sumienia, że tak nagle wyszedłem.

Wstałem i ruszyłem po omacku, potykając się o leżący na podłodze siennik. Udało mi się wymacać klamkę i wszedłem do kuchni.

Siedzieli tak, jak ich zostawiłem, tyle że mieli głowy nisko opuszczone nad stołem, na którym stały trzy palące się świece. Wszyscy czworo opierali się łokciami o krawędź, w tej samej, bliźniaczej pozycji.

Podszedłem bliżej, zastanawiając się, czy ich obudzić.

Nie było to konieczne.

Jak na komendę gwałtownie poderwali głowy i spojrzeli mi w twarz lekko fosforyzującymi, ślepyimi białkami oczu. Cięplakowa podniosła się ciężko i wyciągnęła rękę w moją stronę, nieomal chwytając za moje ramię.

Odskoczyłem, chciałem uciekać, ale nie potrafiłem wykonać kolejnego ruchu. Dopiero kiedy zrobiła krok i otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, rzuciłem się do drzwi wyjściowych.

Wybiegłem przed dom i kuśtykałem co sił, raz po raz odwracając się za siebie. Przed oczyma wciąż miałem to, co trzymała na języku, i nie chciałem tego zobaczyć po raz kolejny. Wszystko, nawet spotkanie z upiorem Dobrowolskiego i jego świętą, było lepsze niż widok szkarłatnej, rozmokłej hostii, z której po brodzie kobiety spływała świeża krew...

Minąłem dom Komisarczuków, potem ich zabudowania gospodarcze, aż wreszcie znalazłem się na otwartej, wznoszącej się przestrzeni. Brakowało mi tchu, więc zwolniłem trochę i szedłem po coraz to bardziej pochylej stromiźnie, oglądając się od czasu do czasu za siebie.

Byłem sam.

Przystanąłem i rozejrzałem się wokół. Ciemność nocy rozpraszało blade światło, pozwalające dostrzec szczyt wzniesienia, zabudowania w dole, a nawet przeciwległe zbocze doliny. Chwilowo byłem bezpieczny. Nikt nie zbliżyłby się do mnie niepostrzeżenie na odległość mniejszą niż jakieś sto, może sto

pięćdziesiąt metrów. W takiej właśnie odległości, po prawej stronie, widziałem krawędź lasu. Właśnie chciałem się od niej oddalić, gdy lekki podmuch wiatru przyniósł do moich uszu ledwie słyszalny dźwięk. Dobiegał od samotnego drzewa, stojącego w połowie drogi do szczytu wzniesienia, i brzmiał jak ciche zawodzenie, układające się w melodię dobrze mi znanej kołysanki. Potem usłyszałem słowa:

*Na Wojtusia z popielnika iskiereczka mruga,
Chodź opowiem ci bajeczkę...*

Nie chciałem iść, nie chciałem słuchać tej bajki, lecz nogi same mnie niosły w stronę rozłożystego drzewa owocowego. Byłem pewien, że to czereśnia, o której wspominał Rafał w zapiskach. Ta sama, na której powiesili się Szczepańscy.

Na ziemi, tuż przy pniu, siedziała drobna postać, tuląc w ramionach małe zawiniątko.

— Czekałam na ciebie — szepnęła. — Wiedziałam... wiedzieliśmy, że przyjdiesz.

Podniosła głowę, spojrzała mi w oczy i uśmiechnęła się.

— Niech cię Bóg błogosławi... Tutaj nas znajdziesz. Mnie i moje dziecko.

Zza wzgórza wyłoniła się krwistoczerwona tarcza księżycy, przedzielona wzdłuż i w poprzek dwoma cienkimi paskami chmur. Znów skierowałem wzrok w stronę drzewa, ale dziewczyny już przy nim nie było.

Usiadłem na jej miejscu. Od strony wsi w moim kierunku zbliżało się kilka postaci. Jako pierwszy szedł zakapturzony mężczyzna ze sznurem w dłoni.

Było mi wszystko jedno, co ze mną zrobią. Poczulem się bardzo zmęczony. Położyłem się na boku i nagle...

...wszystko znikło.

Od strony kuchennych drzwi znów zobaczyłem nikły blask świateł.

Odetchnąłem kilka razy, próbując ustabilizować oddech, starłem pot z czoła i wstałem z łóżka. Zrobiłem kilka kroków, potykając się o siennik, po czym wszedłem do kuchni.

2.

Wyglądali dokładnie tak, jak ich zostawiłem. Gdyby nie świece, które podczas mojej nieobecności zdążyły się przeobrazić w krótkie ogarki, mógłbym przysiąc, że nie było mnie najwyżej kilkanaście sekund. Było jasne, że nikt z nich nie odezwie się jako pierwszy.

— Co się stało, to się nie odstanie. Nie da się cofnąć czasu i wrócić do tamtej sytuacji.

Trudno było wymyślić coś bardziej banalnego, lecz te słowa przyniosły im widoczną ulgę.

— Ano, nie da się — rzekł starszy z Grelów. — Choć Bóg mi świadkiem, że oddałbym wszystko za to, żeby wrócić do tamtej chwili i spróbować wszystko zmienić.

— Wiem.

Niewidzialna bariera, która wyrosła nagle między nami, zaczynała się powoli kruszyć. Usiadłem za stołem.

— A potem? Pochowaliście ją na cmentarzu przy kościele?

Stary pokręcił głową.

— Ksiądz zabronił. Po mszy rozkazał nam wszystkim, żeby przysiąc, że nikt spoza wsi się o niczym nie dowie. Wszyscy żeśmy przysięgali, nawet Helenka, która przyszła zaraz po ojcu do kościoła. Potem proboszcz kazał zostać tylko Kowalikom i kiedy już było całkiem ciemno, gdzieś ją wynieśli. Wiadomo tylko, że zakopali ją w niepoświęconej ziemi, ale gdzie, tego nikt poza nimi nie wie. Proboszcz zabronił im gadać...

— Nie ciążyło wam to, że leży gdzieś zakopana i nawet nie ma własnej mogiły? Nie ma nawet krzyża, na którym można byłoby zapalić świeczkę i położyć kwiaty?

— Ciążyło i to jak. — Wyglądało na to, że tego wieczoru będę już rozmawiał tylko ze starym. — No ale cóż mieliśmy począć? Zagroził Kowalikom, że ich wyklnie, jeśli zdradzą miejsce... Nie chcieli powiedzieć za nic.

— Naprawdę ciągle się bali księdza i uważali go za kogoś, kto może się wypowiadać w imieniu Boga? — zachnąłem się. — Przecież to zwykły morderca!

— A kto go tam wiedział? — Ku mojemu zaskoczeniu Cieplakowa nagle wtrącała się do rozmowy. — Na ich miejscu każdy by się bał. No, może poza Jakubem Trześniowskim.

— No tak. — Przypomniałem sobie to, o czym myślałem wcześniej. Pięćdziesiąty drugi rok, kapłan będący alfą i omegą. — Ale teraz to nie macie już chyba wątpliwości?

Odpowiedziała mi cisza, więc odezwałem się ponownie:

— Dobrowolski zbałamucił niewinną dziewczynę, zapominając, że ta może zająć z nim w ciężę. Moim zdaniem od chwili, gdy ją zabił, mimo że w sutannie, był bardziej wysłannikiem szatana niż Boga. Sutanna to tylko ubranie, a proboszcz to tylko urzędnik.

— Ksiądz to ksiądz — znów odezwała się kobieta. — A wystąpić przeciw niemu nikt poza Jakubem by się nie odważył.

— Sprowadził na was same nieszczęścia...

— Możemy na nie zasłużyli.

Stwierdziłem, że dalsze przekomarzanie z Cieplakowa nie ma sensu.

— Co było dalej?

— Dalej to już tylko było bicie dzwonów o północy — rzekł stary. — I sami żeśmy na świecie zostali.

— A Trześniowski?

— Sam żem go przekonywał, że nie ma sensu mścić się na księdzu za dziewczynę...

— A nie powiedział, czym mu Dobrowolski wcześniej zagroził?

— Nie powiedział. Po tym wszystkim to jakby życie uszło z Jakuba. Siedział w domu, nigdzie się nie ruszał, do kościoła dalej nie chodził...

— Do kościoła? To normalnie chodziliście wszyscy prócz niego do kościoła?

— A jakże inaczej? Trza się było przecież modlić, żeby znów wszystko było tak jak dawniej. Ksiądz mówił...

— Dosyć! — przerwałem mu gwałtownie. — Nie chcę i nie mam siły już tego dłużej słuchać. Powiem wam tylko jedno. Jeśli naprawdę chcecie przynajmniej częściowo zmasać wasze winy, musicie mnie od dzisiaj słuchać. Też byłem przez jakiś czas w seminarium, przyjąłem wstępne święcenia, i mogę wam pomóc. Pamiętajcie też datę moich urodzin. Dobrowolski zbłądził i przez to, że wszystkim wam zabronił mówić o tym, co się tu stało, dotknęła Starzyznę i jej mieszkańców straszliwa klątwa, określana w świętych księgach mianem klątwy zatajenia.

Uznałem, że kłamstwo na temat moich przygotowań do kapłaństwa było jedynym sposobem, żeby zaczęli mnie słuchać. Nie mogły do nich trafić żadne argumenty rodem z „moich czasów”.

— I wiecie, co zrobimy najpierw? Znajdziemy miejsce, w którym została pochowana Paulina Podolak, i przeniesiemy ją na godne miejsce spoczynku. Mogę na was liczyć?

Wszyscy równocześnie skinęli głowami. Magia prawieksiędza zaczynała działać.

— Ale jak znajdziem to miejsce? — zapytał Jasiiek.

— To będzie dla mnie test i sami możecie ocenić, czy mówię prawdę. Jeśli was jutro do niego zaprowadzę, to będziecie mi od tej pory ufać i zrobicie wszystko, co wam każę, zgoda?

— No ale skąd tobie to wiedzieć, skoro nikt z nas tu obecnych...

— Jeśli Bóg poprze nasze działanie, to wskaże mi to miejsce we śnie. Zaufajcie mi na razie w tej jednej kwestii. Mam nadzieję, że jak jutro znajdziemy miejsce pochówku, to przestaniecie mieć wątpliwości co do moich intencji i wiedzy.

Rzuciłem wszystko na jedną kartę. Słabą i niepewną, ale tylko taką miałem w rękawie. Nie chciałem nawet myśleć, co stanie się, jeśli się mylę.

Czekała mnie cholernie niespokojna noc.

3.

— Zobaczymy, czy ciągle tam są?

Dzień był ponury i wietrzny; przysłała mi do głowy koszmarna myśl, że doskonale nadaje się on do poszukiwania zakopanych przed dziesięcioleciai zwłok. Nie zdziwiłem się, gdy nie poprawiło mi to humoru.

Miniona noc ciągnęła się w nieskończoność, a mną targały trudne do opanowania emocje. Leżąc na łóżku i, wsłuchując się w miarowe oddechy śpiących mężczyzn, modliłem się, aby świt nastąpił jak najprędzej. Chwilę potem uświadamiałem sobie, że najlepiej byłoby, gdyby stało się to możliwie późno.

W pewnym momencie o dach zaczął bębnić słaby deszcz. Wsłuchiwałem się w jego szmer z nadzieją, że nad Starzyzną rozpęta się ulewa, która spowoduje odsunięcie realizacji naszego planu przynajmniej o kilka godzin. Deszcz przestał jednak padać równie nagle, jak zaczął.

Myślałem już, że uda mi się w końcu zasnąć, gdy z zewnątrz zaczęły dobiegać dziwne odgłosy. Najpierw do moich uszu dotarły szmery, jak gdyby ktoś kręcił się tuż przy oknie i przesuwiał dłonią po zewnętrznej stronie ściany. Później usłyszałem stłumione chichoty i ciche rozmowy. Nie zrozumiałem ani jednego słowa, jednak na pewno obok domu

było przynajmniej kilka osób; udało mi się rozróżnić kilka głosów męskich i przynajmniej jeden kobiecy.

Byłem pewien, że przed udaniem się na spoczynek kilkakrotnie sprawdzaliśmy, czy drzwi są dokładnie zamknięte, a jednak wstałem i, uważając, by nie nadepnąć na śpiących na podłodze, przeszedłem do kuchni. Już tam usłyszałem, jak ktoś bezskutecznie próbuje otworzyć drzwi wejściowe. Nie musiałem więc sprawdzać, czy są zamknięte, ale na wszelki wypadek zostałem w kuchni. Cieplakowa spała w niej sama i pomyślałem, że lepiej będzie, jak na wszelki wypadek zostanę z nią w pomieszczeniu. Nie wiedziałem przecież, na co tak naprawdę Ich stać.

Usiadłem przy stole i położyłem głowę na skrzyżowanych na blacie dłoniach. W takiej pozycji zastał mnie ranek.

Zabraliśmy ze sobą trzy szpadle, kawałek grubego brezentu i kilka metrów mocnego powrozu. Cieplakowa wzięła też coś do jedzenia, by nie trzeba było wracać, jak zgłodniejemy. Liczyła się każda minuta, a czekał nas — nawet ja nie miałem co do tego wątpliwości — ogrom ciężkiej pracy.

Najkrótsza droga na wzgórze, na którego zboczu stała stara czereśnia, prowadziła przez podwórze Komisarczuków. Zatrzymałem się na nim, nieopodal drzwi, które ze skrzypieniem poruszały się pod wpływem podmuchów wiatru. Stojący za mną ludzie przypatrywali się im, jakby nie rozumiejąc mojego pytania.

— Może warto zobaczyć, czy wiszą tak, jak ich zostawiliśmy?
— uściśliłem.

Spojrzeli po sobie.

— A po co? — spytał Jasiek. — Wiszą, czy nie wiszą... to przecież bez różnicy.

— W naszej sytuacji wszystko może mieć znaczenie — upierałem się. — Pójdiesz zobaczyć?

Wahał się przez chwilę.

— Razem pójdziem — rzekł wreszcie i ruszył w kierunku wejścia.

Wszystko było tak, jak poprzednio, gdy tam byliśmy, z jedną różnicą — drzwi do pokoju, które zostawiliśmy otwarte, teraz były przymknięte na tyle, że nie widać było wnętrza izby. Pchnąłem je, mimo wszystko spodziewając się widoku wiszących ciał.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nikogo nie ma w pokoju. Odetchnąłem z ulgą, lecz Jasiek wskazał na stojące w półcieniu szerokie łóżko. Mężczyzna i kobieta leżeli obok siebie na wznak z otwartymi oczyma, a ich ślepe źrenice wpatrzone były w sufit.

*

Od momentu, gdy wyszliśmy na zewnątrz i Jasiek opowiedział pozostałym, co zobaczyliśmy w domu, nikt nie odezwał się ani słowem, aż do chwili, kiedy stanęliśmy obok pnia starej czereśni.

— Tutaj ją zakopali — powiedziałem.

— Tutaj? Ale gdzie dokładnie? — zapytał młody Grela rozglądając się wokół.

— Tutaj, przy czereśni.

— Ale w jakiej odległości, z której strony?

— Musimy szukać... Wiem, że będzie to trudne, bo minęło dużo czasu, ale nie mamy wyjścia. Być może od tego zależy nasz los, więc nie ma co gadać, tylko trzeba brać się do roboty.

Tak naprawdę, to nie miałem pojęcia, czy rzeczywiście od sposobu pochowania Pauliny choćby odrobinę zależy nasz los, ale dobrze pamiętałem słowa Rafała, któremu tak zależało, aby Trześniowski miał w pobliżu Krasnobrodu przynajmniej prowizoryczną mogiłę. Dla pomyślnego obrotu sprawy wszystko mogło mieć znaczenie i nie chciałem dopuścić do żadnego przeoczenia. Zresztą — jakkolwiek by to brzmiało — i tak nie mieliśmy nic lepszego do roboty.

Teren wokół drzewa był w miarę płaski i porośnięty tylko zeszlými, zeszlórocznymi trawami. Obeszliśmy go dokładnie,

próbując dostrzec jakiś ślad prowizorycznej mogiły, jednak podłoże wszędzie wyglądało dokładnie tak samo. Po tylu latach nie było w tym nic dziwnego.

— Możemy wykluczyć obszar w promieniu do dwóch metrów od drzewa — powiedziałem. — Była noc, a oni na pewno bardzo się śpieszyli i nie mocowali się z grubymi korzeniami. Raczej nie zakopali jej też głęboko — najwyżej na głębokości kilkudziesięciu centymetrów. Odmierzamy dwa metry i kopie-my, zataczając coraz szersze kręgi. Do wieczora powinniśmy się wyrobić.

— Nie lepiej byłoby zapytać Józka? — Albin odezwał się po raz pierwszy tego dnia. — Przecież on na pewno pamięta...

— Myślisz, że on nam będzie chciał pomóc? — zapytał stary Grela. — A niby po co miałby to robić? Przecież jemu nie zależy na tym, żeby się u nas co zmieniło, co nie?

— Najwyżej, jak się nie uda, to wtedy będziem myśleć — dodał po chwili. — Na razie nie ma co gadać, tylko trza się brać do pracy.

Kopaliśmy we trzech: ja i Grelowie, a Cieplakowa z Sochą przeszukiwali ziemię na wypadek, gdyby drobnych kości nie udało się wyczuć szpadlem.

Do południa udało nam się dwa razy okrążyć drzewo i przekopać pas o szerokości około półtora metra. Bez skutku. Ziemia była miękka, ale nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek przed nami poruszył ją łopata.

Zjedliśmy posiłek i kontynuowaliśmy pracę. Mnie, mieszcuchowi nieprzywykłemu do łopaty, szło najwolniej, ale starałem się nie dać po sobie poznać zmęczenia. Bolały mnie mięśnie, pot zalewał oczy, a od trzonka zrobiły się pęcherze, które zaczęły już pękać. Nie było to jednak moim największym zmartwieniem; najgorsza była myśl, co będzie, gdy nie uda się nam znaleźć ciała dziewczyny.

Wokół panowała absolutna cisza, przerywana tylko dźwiękiem wbijanych raz po raz szpadli.

Około czwartej przekopany pas miał szerokość od jakichś dwóch i pół do trzech metrów. Oddaliliśmy się dość znacznie od drzewa, a Jasiak coraz częściej łypał okiem w moją stronę ze zniecierpliwieniem.

Gdy zaczął zapadać zmierzch, wciąż udawałem, że tego nie widzę, i darłem ziemię z zapamiętaniem, starając się wykrzesać ze zbolanych mięśni ramion resztki energii.

— Nic tu nie ma — odezwał się nagle stary Grela, zarzucając szpadel na ramię. — Pora wracać, żeby nas zmrok poza domem nie zastał.

— Jeszcze chwila — poprosiłem. — Ona musi tu gdzieś być...

Całkowicie zignorował moją prośbę.

— My idziem. Jak chcesz, możesz zostać i kopać dalej. Szkoda było tylko naszego trudu. — Ruszył w kierunku wioski. — Chodź, Jasiak.

Albin i Cieplakowa ruszyli za starym. Jasiak stał niezdecydowany.

— Jak chcesz, to idź — powiedziałem. — Ja zostaję. Ona na pewno gdzieś tu musi być.

Zdawałem sobie sprawę ze swojego idiotycznego zachowania, ale postanowiłem, że nie odpuszczę. Zmuszając do ostatniego wysiłku zdrętwiałe ramiona, rozpaczliwie wbijałem łopatę raz za razem, wciąż wypatrując ciała. Pęcherze popękały, z piekących ran wypływała ropa wymieszana z krwią. Nie wiedziałem, czy Jasiak poszedł w ślad za pozostałymi, ale właściwie było mi już wszystko jedno. Poprzedniego wieczoru zaryzykowałem zbyt wiele i wszystko przegrałem. Zostałem sam ze swoimi rojeniami, durnymi snami i nadzieją na to, że mogę odmienić losy tej zafajdanej wsi i jej mieszkańców.

„Pieprzony Don Kichot z łopatą” — pomyślałem.

— Wiesz, Witek, ojciec ma chyba rację — usłyszałem zza pleców. — Zaraz będzie ciemno i lepiej wracać.

W myślach przyznałem mu słuszność, ale mimo to nie przerywałem kopania.

— Ja ci wierzę — odezwał się znów. — Dzisiaj się nam nie udało, ale przecież jutro mogę tu jeszcze raz przyjść i zacząć od nowa.

Przez chwilę się wahałem. Wreszcie podparłem się na trzonku i wylazłem z wykopu.

— Masz rację. Dziękuję, że zostałeś.

*

Noc zapadała bardzo szybko i nie mieliśmy zbyt wiele czasu na dotarcie do zabudowań. Gdy mijaliśmy dom Komisarczuków i od obojścia Grelów dzieliła nas tylko biegnąca przez wieś droga, przystanąłem.

— Jasiu, macie u siebie jakieś pomieszczenie, takie, które można byłoby zamknąć od zewnątrz? — zapytałem. — Najlepiej bez okien i z solidnymi drzwiami.

— Jest spizarnia — odparł po krótkim zastanowieniu. — Ale po co ci to potrzebne?

— Duża?

— Dostyc spora, ale dlaczego pytasz?

— Możemy sprawić, że będzie Ich trochę mniej. Wiesz, co mam na myśli?

Stał w gęstniejącej ciemności i uważnie mi się przypatrywał ze zmarszczonymi brwiami. Nagle w jego oczach odmalowało się przerażenie.

— Czyś ty oszalał?

— Nie oszalałem. Pomożesz mi?

Strach ustąpił miejsca determinacji.

— Pomogę — odparł.

Zaraz potem postawiliśmy szpadle przy drzwiach do chałupy Komisarczuków i niemal po omacku weszliśmy do środka.

Nie było za późno. Oboje leżeli tak, jak zostawiliśmy ich rano. Z trudem zarzuciłem ciało kobiety na plecy. Nie ważyła wiele, ale moje zmęczone mięśnie miały zdecydowanie dość jak na jeden dzień i zatoczyłem się pod ciężarem, w ostatniej chwili wyhamowując na ścianie.

Grela był znacznie silniejszy i podniesienie mężczyzny nie stanowiło dla niego problemu.

— Teraz szybko do domu — wysapałem. — Dopóki jeszcze się nie obudzili.

Pomimo ciemności bez większych problemów udało nam się wydostać na zewnątrz. Jasiak szedł przodem, ja tuż za nim.

— Nie wiem, co na to ojciec — powiedział, gdy wyszliśmy na drogę. — Chyba nie będzie zadowolony.

Dokładnie w tej samej chwili kobieta na moich plecach się poruszyła. Chciałem krzyknąć, ale głos uwiązł mi w krtani. Przycisnąłem ją więc tylko do siebie najmocniej, jak potrafiłem, i parłem naprzód. Z jej gardła wydobył się niski charkot. Ręka, która jeszcze przed chwilą bezwładnie uderzała o moje biodro, powędrowała w górę i ostrymi pazurami rozorała mi prawy policzek.

— Zostaw mnie! — syknęła.

— Cholera jasna, ona się zaczyna ruszać! — wrzasnął Jasiak i zaczął biec. — Szybciej! — dobiegło już zza węgła domu Greków.

Chciałem przyspieszyć, ale nogą zahaczyłem o nierówność terenu. Padając puściłem Komisarczukową, by wyciągniętymi do przodu rękoma zamortyzować upadek. Coś chrupnęło mi w lewym nadgarstku, poczułem przeszywający ból i gruchnąłem ciężko na ziemię. Kobieta przetoczyła się w przód, by zaraz potem silnym chwytem zacisnąć dłoń na moim gardle. W ciemnościach widziałem tylko ślepe, nienawistne oczy.

Wiedziałem, że nie mam najmniejszych szans. Próbowałem wprawdzie stawiać opór, ale osłabione mięśnie i zwichnięty nadgarstek skutecznie mi to utrudniały. Ostatkiem sił wyswobodziłem się z uchwytu, lecz zaraz potem już nie jedna, ale dwie ręce zacisnęły się na mojej szyi. Szamotałem się przez moment, a potem przestałem czuć cokolwiek.

4.

— W kogo żeś ty się wdał, do cholery ciężkiej? Matka, jak widzi twoją głupotę, to pewno się w grobie przewraca. Mało my mamy zmartwień na głowie? A ty nam tu do chałupy jeszcze jakieś trupy zwlekasz...

Natarczywy głos starego Greli był stanowczo za głośny, jak na wytrzymałość mojej pękającej głowy. Nie wiedziałem, skąd wziął się ten ból; najprawdopodobniej nie zauważyłem nawet, jak upadając wyrznąłem o jakiś kamień. Najbardziej chciałbym znowu stracić przytomność.

— Ale tato...

— Co tato?! To pewnie był jego pomysł, a ty jak durny żeś na niego przystał? Taki sam to miało sens, co całe nasze dzisiejsze kopanie! Tyle że teraz to jeszcze jakieś nieszczęście na dom mógłżeś sprowadzić! Zaraz idę i ich powpuszczam.

Usłyszałem odgłos kroków i skrzypnięcie otwieranych drzwi. Chciałem się gwałtownie podnieść, by zaprotestować, lecz udało mi się tylko poruszyć głową i wydać z siebie kilka nieartykułowanych dźwięków.

— Poczekaj tato jeszcze chwilę. On się już prawie obudził.

Z trudem otworzyłem oczy, co zaowocowało dodatkowym, tępym bólem. Widziałem bardzo niewyraźnie, obraz tańczył jak oszalały, ale mimo to zorientowałem się, że położyli mnie w kuchni, na posłaniu, które zajmowała wcześniej Cieplakowa. Miałem na czole jakąś mokrą i zimną ścierkę. Woda spływała mi po policzkach.

— Zamknęliście ich oboje? — po kilku próbach udało mi się wydać z gardła coś, co z grubsza przypominało ludzką mowę.

Stary posłuchał syna i znów był w kuchni, przypatrując mi się ze złością.

— Coś ty człowieku nawymyślał? — zapytał. — Życie ci nie-miłe?

— No, mało brakowało, a by cię zatłukła na śmierć. — Jasiak podszedł bliżej i przyglądał mi się z troską. — Jak żem wrócił, to waliła twoją głową o ziemię, aż dudniło. Ledwie dał radę ją od ciebie odciągnąć i zawlec do spizarni. Zresztą i mnie też się trochę dostało...

— A Komisarczuk? — Staralem się skoncentrować wzrok na brodatej twarzy. Zauważyłem potężną śliwę nad lewym okiem i prawdopodobnie dość głęboko rozcięty łuk brwiowy.

— Na szczęście nie był taki żwawy, jak ona. Ledwie się ruszał i żem zdążył ich oboje zamknąć, zanim się całkiem ocknął.

Zdjąłem z czoła ścierkę i spróbowałem usiąść. Świat zawirował i ponownie opadłem na posłanie.

— I co teraz? — stary najwyraźniej skierował pytanie w moją stronę. — Przecież nie będziem ich tam trzymać...

— Pomóż mi Jasiak — poprosiłem.

Za chwilę silne ramię pozwoliło mi się podnieść i oprzeć plecami o ścianę.

— A niby dlaczego nie? — zwróciłem się do starego. — Tych tam na zewnątrz i tak jest za dużo. Każde z nich to zagrożenie, a tak mamy o dwa problemy mniej. Jeśli nie uda im się wydostać. Nie uda się, Jasiak?

— Nie ma szans — zapewnił. — Ściany grube, drzwi solidne, okien nie ma. Nie wyleżą.

Drgnąłem, jak z dalszej części domu dobiegło głośne uderzenie i dziki kobiecy wrzask. Po chwili dołączył do niego głos mężczyzny, żądający natychmiastowego wypuszczenia. Miarowy łomot wypełnił cały budynek

— Znowu się zaczyna — odezwała się Cieplakowa. — Było chwilę spokoju, ale tak łatwo chyba nie przestaną...

— Jedno mnie tylko dziwi — wtrącił Socha. — Ostatnio żeśmy Ich widywali też za dnia. Czemu musieli z przebudzeniem do nocy czekać?

— Cieszymy się, że tak się stało — odparłem. — Może to dlatego, że dopiero co powieszni? Samo to, że byli w domu, jest

dziwne, ale czasem nieboszczycy zaraz po śmierci ponoć sami nie wiedzą, że pożegnali się z życiem. Hałas i wrzaski jeszcze się nasiliły.

— Jasiiek, a nie mają tam jakichś narzędzi, które pomogłyby im się uwolnić? — zapytałem.

— Tam same gołe ściany. Od dawna spizarnia stoi pusta.

— To dobrze. Ale na wszelki wypadek trzeba dziś czuwać całą noc. Będziemy się zmieniać... Jutro się zobaczy, co dalej. Jest nadzieja, że za dnia będą wyglądać tak jak dzisiaj i wtedy bez większych problemów ich zwiążemy i zakneblujemy, dzięki czemu następne noce będą już spokojne.

— A ten znowu zaczyna rozkazywać — zaprotestował stary, ale w jego głosie nie było już tyle złości, co poprzednio. — Następne noce? To oni tu mają zostać?

— Myślę, że tak będzie lepiej. Jasiiek, zbudź mnie, jak już będziesz chciał się położyć. Najwyżej będziemy się tylko we dwóch zmieniać. Damy jakoś radę, no nie?

Podniosłem się, pomimo gwałtownych protestów wszystkich piekących, zakwaszonych mięśni. Udało mi się postać przez kilka sekund, łapiąc równowagę, i z werwą stulatka ruszyłem w stronę swojego łóżka. Zostawiłem ich wszystkich w kuchni z własnymi wątpliwościami i rozterkami, ale nie obchodziło mnie, czy wezmą sobie do serca to, co mówiłem. Chciałem się jak najszybciej położyć. Tylko to się dla mnie liczyło.

Doczłapałem jakoś do pokoju i zaległem ciężko na łóżku, nie myśląc nawet o zdjęciu ubrania. Potępieńcze wrzaski, przemieszane z nieludzkim wyciem i waleniem w ściany i drzwi, ani na moment nie ustawały, sprawiając, że cały dom aż trząsał się w posadach.

„Nie dam rady zasnąć w takim hałasie” — pomyślałem i to była ostatnia myśl, jaką udało mi się zapamiętać.

*

Obudziło mnie nieznośne pulsowanie w nadgarstku. Wydo-
stające się przez szybki w kuchennych drzwiach światło pozwoliło

mi się zorientować, że nie jestem w pokoju sam. Stary Grela spał na swoim łóżku, a na sienniku cicho pochrapywał Socha. Jaśka nie było, co dawało nadzieję, że jednak mnie posłuchali. Zamierzałem położyć jeszcze chwilę, a potem pójść i zmienić go na posterunku.

Hałasy ustały, a cały dom zatopiony był w złowroziej ciszy.

Spróbowałem poruszyć lewą ręką i skutek był taki, że tylko syknąłem z bólu. Prawą dłonią sięgnąłem do rękawa koszuli i już wiedziałem, co mi tak przeszkadzało. Gwałtownie pęczniejąca opuchlizna prawie nie mieściła się w mankiecie koszuli; wyglądało na to, że kontuzja nadgarstka jest całkiem poważna. Rozpiąłem guzik i od razu poczułem znaczną ulgę.

Jedno było pewne i uświadamiałem to sobie po raz kolejny — gdybym tylko wiedział, w co się wpakuję, podejmując decyzję o wyjeździe na Roztocze, za nic w świecie nie opuściłbym Warszawy. Dodatkowo, nie dość, że wszystkie wydarzenia, które mnie spotkały, przywoływały na myśl najgorsze, deliryczne rojenia alkoholika, jakich w swoim czasie udało mi się doświadczyć całkiem sporo, to z każdą chwilą popadałem w coraz to gorsze tarapaty. Jakby tego było mało, moje działania zaczynały zagrażać też ludziom, którzy przez wiele lat zdążyli się już przyzwyczaić do koszarnej wprawdzie, ale dającej się przynajmniej w pewnym stopniu ujarzmić rzeczywistości. W dodatku nie miałem żadnego sensownego planu działania poza tym, co w danej chwili należało zrobić. Teraz na przykład musiałem się jakoś podnieść i doczłapać do kuchni, żeby Jasiek mógł się trochę przespać.

Odwlekałem ten moment przez jakiś czas, ale w końcu musiałem się przemóc, chociażby po to, by znów nie zapaść w sen.

Szamotałem się przez kilkadziesiąt sekund z obolałymi członkami, aż w końcu udało mi się usiąść.

— Tato — usłyszałem zza pleców. — Tato, jesteś tam?

Gwałtowne napięcie mięśni poraziło mnie bólem jak prądem o wysokim napięciu, ale to było niczym w porównaniu z cierpieniem wywołanym przez te kilka słów, wypowiedzianych cichym głosem z zewnątrz budynku.

Nie wiem, kiedy łzy zaczęły płynąć mi po policzkach. Tego głosu nie pomyliłbym z żadnym innym.

— Tato, nie pozwól im tam zostać. Musisz ich wypuścić, bo inaczej nigdy nie wrócisz tam, skąd tu przybyłeś. Wiesz o tym, prawda?

Stałem przy łóżku. Głos Krzysia mówił do mnie łagodnie, dokładnie tak, jakbym to ja był małym zagubionym dzieckiem.

— Tatusiu, słyszysz mnie? Jak ich nie wypuścisz, to oni mnie też nie puszcza... Będę musiał zostać z nimi na zawsze...

Myślałem, że oszaleję. Serce podpowiadało, by natychmiast otworzyć okno i chwycić syna w ramiona bez względu na wszystko. Utulić jego drobne ciało, którego tak bardzo mi brakowało przez te wszystkie lata.

Spojrzałem w stronę okna i zdawało mi się, że rozpoznaję za nim uśmiechniętą buzię Krzysia. Nabrałem głęboko powietrza.

— Niedoczekanie wasze, wy skurwiele — usłyszałem swój cichy szept. — Wygląda na to, że pomysł z zamknięciem Komisarczuków w komorze był najlepszym, jaki miałem od przybycia tutaj, skoro tak bardzo wam to przeszkadza...

— Dlaczego tak mówisz, tatusiu? To ja, przecież mnie poznajesz...

— Poznaję — odpowiedziałem cicho. — Pewnie, że poznaję. Poznaję jak jasna cholera.

*

Jasiek drzemał z głową wspartą na dłoniach. Nie usłyszał, jak wchodzi, a drgnął dopiero wtedy, gdy położyłem mu rękę na ramieniu. Półprzytomny odwrócił się w moją stronę i

zobaczyłem na jego twarzy paniczny strach. Zerwał się na równe nogi, po czym wziął zamach, żeby mnie rąbnąć w szczękę.

— Co ty? — zapytałem zdezorientowany, odsuwając się o kilka kroków. — Uspokój się, bo obudzisz Cieplakową.

— Witek?

— A niby kto? Przyszedłem cię zmienić, żebyś się trochę przespał. Siedzisz pewnie całą noc...

— Aleś mnie wystraszył. — Podeszedł do kredensu i wyjął z niego niewielkie lustro. — Sam zobacz.

Teraz przestałem się dziwić jego reakcji. On sam nie wyglądał najlepiej z napuchniętym okiem, ale to, co zobaczyłem, było o wiele gorsze. Moja twarz zdawała się jednym strupem zaszniętej krwi, pod którym tu i ówdzie można było zobaczyć fragmenty posiniaczonej skóry. Potargane włosy dopełniały obrazu nędzy i rozpacz.

— Dobrze, żeś przyszedł — powiedział. — Siedzę parę godzin, wcześniej żeśmy się zmieniali z ojcem i Albinem. Zdaje się, że cię jednak posłuchali.

— A tamci? Już spokojni?

— Nawet. Od czasu do czasu słyhać ich trochę, ale mało. Niedługo ranek, to może już w ogóle nie będą się odzywać.

— Która godzina?

— Będzie gdzieś piąta...

— O cholera! Całą noc prawie przespałem. Przepraszam, trzeba było zbudzić.

— Najbardziej żeś dostał w kość. Trza ci odpoczątku.

Zostałem w kuchni sam, nie licząc kobiety, która w czasie naszej rozmowy nawet się nie poruszyła. Dwie ze stojących na stole świec już powoli zaczęły się dopalać, więc znalazłem w kredensie nowe. Z nadejściem kolejnego dnia te zużyte znów powinny być całe, więc z braku lepszego zajęcia postanowiłem nie spuszczać ich z oka, by zobaczyć, w jaki sposób wszystko wraca do poprzedniej postaci.

Jedna myśl prześladowała mnie uparcie.

A co, jeśli to naprawdę był Krzyś? Czy nie za prędko przyjąłem jako pewnik, że przeklęty klecha lub któryś z jego kompanów zastosował swoją sztuczkę, by wywieść mnie w pole? Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym niepokój był większy. Może rzeczywiście mój syn potrzebował pomocy, a ja go całkowicie zignorowałem? Co wtedy sobie pomyślał o ojcu? Widziałem go przecież w okolicach Starzyzny zaraz po przyjeździe... Do tej pory myślałem, że to był tylko sen, ale... czy mogłem być tego w stu procentach pewien? Przecież tu wszystko zdawało się odbywać na granicy jawy i snu, żywi mieszały się z umarłymi, i z pewnością rzeczywistość podobnie mogła mieszać się ze złudzeniami. Wiele rzeczy okazywało się nie takimi, jakimi zdawały się wcześniej...

Niezdolne myśli były na tyle absorbujące, że nawet nie zauważyłem, kiedy za oknami zaczęło się robić szaro. Wstałem i podszedłem do okna. Było jeszcze zbyt ciemno, by zobaczyć cokolwiek, więc wróciłem do stołu i usiadłem na swoim miejscu. Świece, które jeszcze przed momentem były ledwie ogarkami, nie nosiły śladów użycia.

— Jeszcze was kiedyś przyłapię — mruknąłem i zaniósłem je do kredensu.

W kuchni było coraz jaśniej.

Nagle wydało mi się, że od strony spiżarni słyszę jakieś odgłosy. Po chwili do cichego szurania dołączył kobiecy jęk. Podszedłem do drzwi i uchyliłem je na tyle, by przekonać się, czy w sieni wszystko jest w porządku. Niepokojące dźwięki ustały.

Znów stanąłem przy oknie.

Na płaskiej przestrzeni, która zapewne kiedyś była pastwiskiem, dostrzegłem kilkanaście, może kilkadziesiąt okazałych brzoź. Były na tyle grube, że mogły już posłużyć za opał. Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, jak prędko rosną, więc zdziwiłem się, że przez najwyżej pięćdziesiąt lat zdołały osiągnąć aż takie rozmiary...

— Ty stary durniu — szepnąłem i pacnąłem się otwartą dłonią w czoło.

Skrzywiłem się, bo udało mi się trafić dokładnie w jeden z pozyskanych poprzedniego wieczoru guzów. Uderzyłem się jeszcze raz w to samo miejsce.

— Ty jęlopie! Jak mogłeś o tym nie pomyśleć wcześniej?!

5.

Zanim dom Grelów obudził się ze snu, zdołałem się jako tako doprowadzić do porządku. Usuwanie z twarzy brunatnej warstwy zakrzepłej krwi zajęło mi dobrych kilkanaście minut. Po całym zabiegu nie wyglądałem zbyt imponująco z głębokimi szramami na policzku, siniakami i podbitymi oczyma, ale i tak byłem zadowolony z tego, co udało mi się osiągnąć. Choć wyglądu mógłby mi pozazdrościć niejeden zawodowy bokser po ciężkim, dwunastorundowym boju, to przynajmniej trochę przypominałem dawnego siebie.

Cieplakowa wstała przed ósmą i bez słowa zabrała się do przygotowywania posiłku. Pobrząkiwanie garnków najwyraźniej dało znak pozostałym, bo z pokoju zaczęły dobiegać głosy mężczyzn.

Kiedy Jasiak stanął w drzwiach kuchni, zadowolenie z własnego wyglądu prysło jak bańka mydlana. Z zazdrością patrzyłem na jego czoło, na którym nie pozostał nawet ślad po odbytej wieczorem walce. Łuk brwiowy, jeszcze kilka godzin wcześniej porządnie rozcięty, wyglądał na nienaruszony.

— Nigdy bym nie uwierzył, gdybym nie zobaczył tego na własne oczy — powiedziałem zamiast zwyczajowego „dzień dobry”. — Jak mi jeszcze powiesz, że nie czujesz w kościach wczorajszego kopania, to...

— Ano, nie czuję nic a nic — uśmiechnął się. — Przez te wszystkie lata już żem nawet zapomniał, że może być inaczej. Zobaczym, co z nimi?

— Zobaczym - odparłem i odwzajemniłem uśmiech.

Nie zważając na przerażenie malujące się w oczach Ciepłakowej, zapaliliśmy świece i ruszyliśmy przez korytarz w kierunku drzwi spiżarni. Zanim Grela zabrał się do ich odryglowywania, jakiś czas staliśmy przed drzwiami, nasłuchując, czy ze środka nie dochodzą jakieś niepokojące dźwięki.

Siedzieli w kącie. Komisarczukowa wspierała się na ramieniu męża, patrząc na nas beznamiętnymi białkami źrenic, natomiast mężczyzna miał głowę skierowaną w stronę przeciwległej ściany. Zastanawiałem się, czy to aby nie jest z ich strony jakiś fortel, ale zanim zdążyłem podzielić się z Jaśkiem swoimi obawami, ten podszedł do nich i delikatnie zamknął im powieki

— Nie ma na co czekać — rzekł. — Trzeba ich porządnie związać. Poczekaj tu, a ja przyniosę powróż.

Stałem wpatrzony w siedzące na podłodze sylwetki. Świece, które trzymałem w dłoniach, drżały tak mocno, że musiałem starać się, aby nie wypuścić ich z palców. Nieobecność Greli trwała najwyżej kilka minut, ale mnie dłużyła się w nieskończoność. Wreszcie wrócił i przystąpiliśmy do działania.

Zakneblowaliśmy Komisarczuków kawałkami lnianego płótna, które Jasiak również przyniósł ze sobą, i skrupowaliśmy od stóp do głów w pozycji siedzącej tak ciasno, jak tylko było to możliwe. Ich wiotkie ciała przypominały ogromne kukły, zadziwiająco łatwo poddające się naszym ruchom. Gdy skończyliśmy, posadziliśmy ich obok siebie na wprost wejścia. Bez pomocy z zewnątrz nie mieli najmniejszych szans na wyswobodzenie się z więzów. Wiedziałem, że stanowią dla nas, a zwłaszcza dla mnie, śmiertelne zagrożenie, lecz mimo to zrobiło mi się ich żal.

Jasiek najwyraźniej musiał zauważyć to w moich oczach.

— Nie ma wyjścia. Daj Boże, żeby nie musieli tu tak siedzieć za długo.

— Jak przez kilka dni nic się nie zmieni, to będziemy ich musieli rozwiązać — odparłem. — Nie będę mógł żyć ze świadomością, że tak ich tu trzymamy...

Odpowiedział mi skinieniem głowy.

*

Przy śniadaniu nie wdawałem się w dyskusję ze starym, który wciąż wspominał poprzedni dzień i narzekał na to, co się wydarzyło. Jasiek próbował oponować i zdecydowanie brał moją stronę, lecz nie przynosiło to żadnych rezultatów. Pamiętałem wprawdzie, że obiecał mi pomoc w dalszych poszukiwaniach ciała dziewczyny, lecz zdawałem sobie sprawę, że przy tak gwałtownym oporze ze strony jego ojca być może będę musiał dokończyć je sam. Moja jedyna nadzieja związana była z myślą, która przysłała mi do głowy o poranku. Nie pozostawało nic innego, jak wierzyć, że tym razem szybko odnajdę właściwe miejsce.

— Nigdzie nie pójdziesz — warknął do syna stary po skończonym posiłku, przyglądając się, jak zakładam kurtkę. — Jak chce, niech idzie sam.

— Tato, ale on nie da rady. Zobacz jego ręce. Muszę mu pomóc...

— Nic nie musisz. To i tak na nic, a po tym wszystkim to jeszcze większy strach wychodzić na dwór. Teraz to Oni na pewno nie dadzą nam spokoju, a ja ani myślę pozwolić na to, że i ciebie stracę.

— Twój ociec ma rację — zwróciłem się do Jaśka. — Pójdę sam. Ty lepiej zostań i pilnuj tych w komorze.

Zrozumiał, o co mi chodzi. Tak samo dobrze, jak ja wiedział, że stary może pod naszą nieobecność oswobodzić Komisarzcuków.

— Ja pójdę.

Przyglądałem się Albinowi zaskoczony. Akurat po nim zupełnie się tego nie spodziewałem.

— Nie pomogę za dużo z moją ręką, ale we dwóch to zawsze będzie różnie — ciągnął. — W jednym on ma rację, Paulinie należy się godziwy pochówek. Nie może tak leżeć zagrzebana w ziemi jak byle pies.

— Albin dobrze gada. — Cieplakowa wstała zza stołu i podeszła do wiszącego przy drzwiach płaszcz. — Przynajmniej tyle dla niej możemy zrobić, jak wtedy nie zrobiliżemy nic.

Jasiek spojrział z wyrzutem na ojca, lecz widać było, że stary nie zmieni zdania. Ten z zaciśniętymi ustami odwrócił wzrok w kierunku okna i mruknął:

— Całkiem żeście powariowali. To wszystko i tak na nic, ale róbcie sobie, co chcecie. Jeszcze będziecie żałować, żeście mnie nie posłuchali.

— Szpadle stoją przy domu Komisarczuków — powiedziałem, nie zważając na narzekania starego. — Weźmiemy tylko brezent i jak mamy iść, to chodźmy. Zobaczycie, że dziś ją znajdziemy.

*

I znaleźliśmy.

Szpadle stały tak, jak je poprzedniego dnia zostawiliśmy z Jaśkiem. Wziąłem obydwu na ramię i natychmiast ruszyliśmy ku widocznej na zboczu czereśni.

Szedłem z ogromnym trudem, jednak starałem się nie zważać na ból mięśni. Wpatrywałem się w przybliżające się drzewo, jakby od niego właśnie zależało powodzenie mojego pobytu w Starzyźnie. Zdałem sobie sprawę, że kurczowo zaciskam dłonie na trzonkach, zupełnie nie czując pieczenia popękanej skóry i urażonych na nowo obtarć. Dopiero gdy byliśmy na miejscu, zauważyłem, jak bardzo krwawią, lecz nie miało to żadnego znaczenia.

Zatrzymałem się najwyżej metr od pnia, mniej więcej w miejscu, w którym we śnie widziałem dziewczynę z dzieckiem.

Jeden ze szpadli wbilem w ziemię obok, a drugi natychmiast zagłębiłem w podłożu najdalej, jak się dało.

— Tak blisko drzewa? — zdziwił się Socha.

— Minęło wiele lat — odrzekłem, odrzucając na bok bryłę ziemi. — Wtedy czereśnia była przecież mniejsza, korzenie nie rozrastały się tak bardzo, jak teraz, i były cieńsze. Nie pomyślałem o tym wczoraj i dlatego cała robota poszła na marne.

Bardzo chciałem się nie mylić.

Kątem oka zobaczyłem, jak Cieplakowa bierze łopatę do ręki.

— To chyba nie będzie konieczne, pani Katarzyno. Poczekaście chwilę.

Nie zdążyłem się nawet porządnie zasapać, gdy ostrze zażrzytało o coś twardszego. Delikatnie uniosłem bryłę ziemi, położyłem ją obok świeżo wykopanego dolka, po czym ukląknę i zakrwawionymi dłońmi rozsunałem ją na boki. Socha z Cieplakowa podeszli bliżej. Pomiędzy grudkami gleby bieląco coś, co mogło być fragmentem szkieletu.

— Boże święty — szepnęła kobieta. — Jednak to prawda...

— To chyba jeden z kręgów — powiedziałem. — Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak wykopać resztę.

Niedługo potem na brezencie pojawiły się kolejne kości.

*

Dopiero gdy byliśmy pewni, że znaleźliśmy wszystko, co pozostało po Paulinie i jej nienarodzonym dziecku, zawiązaliśmy płótno i ruszyliśmy z powrotem do wsi.

Chciałem jak najszybciej zapomnieć o tym, co robiłem przez ostatnich kilka godzin. Porywając się na odkopanie zwłok, nie miałem pojęcia, jak bardzo wstrząsająca będzie to czynność. Najgorsze było odnajdywanie małych kostek, które musiały należeć do dziecka. Po tylu latach z ledwie zaczynające się

kształtować szkieletu nie zostało wiele, ale parę jego drobnych fragmentów i kawałek uformowanej już czaszki złożyłem na brezencie obok kości Pauliny. Gdy to robiłem, miałem ochotę zabijać.

Do tej pory całą tę historię postrzegałem głównie jako dramat Rafała i najważniejsze dla mnie było, aby pomóc jemu i jego córce. Teraz, kiedy własnymi dłońmi wydobyłem z ziemi szczątki dwóch bezbronnych ciał, unicestwionych w sposób tak okrutny i bezsensowny, Dobrowolski zyskał we mnie dozgonnego, zdeterminowanego wroga, który nie zawaha się przed zemstą, jak tylko nadarzy się do niej okazja.

Prócz kości udało mi się znaleźć coś jeszcze. Gdy zobaczyłem w ziemi różaniec, oplatający nadgarstki dziewczyny, schowałem go do kieszeni kurtki tak, aby ani Cieplakowa, ani Socha tego nie zauważyli. Czułem się trochę jak rabuś okradający grób, ale byłem pewien, że ten niepozorny, wykonany z twardego drewna przedmiot może mi się jeszcze przydać. Był sposób, aby się o tym przekonać, i zamierzałem to zrobić jak najszybciej. Kilka miesięcy wcześniej przygotowywałem materiał w odcinkach na temat ochrony, jaką rzekomo mogą zapewnić przedmioty znalezione przy zmarłych. Wtedy zupełnie nie wierzyłem w to, co sam opisywałem, ale po tym, co mnie ostatnio spotkało, byłem pewien, że przypadkowo zdobyta wiedza może się teraz okazać bardzo przydatna.

6.

Do zmierzchu pozostało na tyle dużo czasu, że zastanawiałem się, czy jeszcze tego samego dnia nie doprowadzić sprawy pochówku Pauliny i jej dziecka do końca, jednak uznałem, że bez pomocy Jaśka i tak sobie nie poradzimy. Miałem zbyt mało

sił, by znów brać się do łopaty, a moi towarzysze niespecjalnie nadawali się do pracy przy kopaniu grobu. Ponadto trzeba było zrobić krzyż, który nadawałby się do postawienia na mogile, więc uznałem, że trzeba wszystko dobrze przygotować, a wypełniona szczątkami brezentowa płachta przez noc pozostanie w domu Grelów.

— I co żeście znaleźli? — zapytał stary, gdy zobaczył Albina i Cieplakową wchodzących do kuchni.

Wszedłem za nimi i spojrzałem na drwiąco uśmiechającego się gospodarza.

— Znaleźliśmy to, czego szukaliśmy — powiedziałem.

— Szkoda, że nam nie pomogliście, bo wtedy wszystko poszłoby o wiele szybciej.

Jasiek podszedł do mnie i zdjął z moich pleców wypełnione kośćmi zawiniątko. Rozwiązał je i zajrzał do środka.

— Widzisz, tato, jednak Witek miał rację — rzekł, wyraźnie poruszony. — Co teraz zrobimy? — skierował pytanie do mnie.

— Jak to co? Chyba musimy ich pochować...

— Ich? — Stary wstał od stołu i poczłapał w kierunku syna.

— Tam są nie tylko kości dziewczyny, ale też szczątki jej nienarodzonego dziecka — wyjaśnił Albin.

Starszy z Grelów sięgnął do środka i wyjął czaszkę kobiety.

— A skąd wiadomo, że to na pewno ona?

— Tato, przestań już — zachnął się Jasiek. Był blady jak ściana i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w puste oczodoły.

— Schowaj to do środka, na Boga.

Spełnił prośbę syna mówiąc:

— No to mamy w domu już czwórkę nieboszczyków.

— Patrzył na mnie ze złością. — Może byś poszedł i przyniósł jeszcze kilku. Znajdzie się jeszcze miejsce...

— Do jasnej cholery! — nie wytrzymałem. — Nie wiem, czy dobrze robię, ale przynajmniej staram się zrobić cokolwiek. A ty co zrobiłeś przez te wszystkie lata? Co zrobiłeś w pięćdziesiątym

drugim, żeby jej pomóc?! Jak chcesz, to już palcem nie kiwnę i będziecie się tu jeszcze przez wieki kotłować z przeklętymi wisielcami. Chcecie tego? Proszę bardzo! Dawaj to, pójdę i zakopię ich z powrotem pod tą czereśnią... — Ruszyłem wściekły w stronę starego. — Jasiu, a ty idź i uwolnij tamtych z komory. Może wtedy twój ojciec będzie wreszcie zadowolony.

Stałem przed nim i wyciągnąłem rękę.

— No, oddaj to! — zażądałem.

— Masz rację — powiedział cicho. — Stary dureń ze mnie...

Przepraszam.

Popatrzyłem mu w oczy i w jednej chwili minęła mi złość. Uciekał wzrokiem jak małe, wystraszone, zdezorientowane dziecko.

— Boję się, Witek... — szepnął. — Boję się, że to wszystko ściągnie na nas jeszcze jakieś większe nieszczęścia.

— Większe nieszczęścia? — zapytałem już spokojniej. — Możesz sobie takie wyobrazić?

Podał mi brezent.

— Trzeba ich godnie pochować. Dziś chyba nie zdążym.

— Zrobimy to jutro. Przez noc zostaną tu, w kuchni. Pomodlimy się za ich dusze, a jutro z samego rana pochowamy na cmentarzu.

— Dobrze — odparł. — Niech będzie tak, jak chcesz.

Wyglądało na to, że przynajmniej na razie nie będzie mi się sprzeciwiał.

*

Jasiu przyniósł niewielką, drewnianą skrzynię, która miała posłużyć za prowizoryczną trumnę i postawił ją na środku kuchni na taborecie. Złożyliśmy w niej płachtę, zamykając nad nią wieko.

Cieplakowa wyjęła z kredensu gromnicę i postawiła na drugim taborecie, tuż obok. Stary znalazł gdzieś książeczkę do

nabożeństwa, po czym ukląkł przy skrzyni i drżącym głosem zaczął odczytywać modlitwę za zmarłych.

— Jasiu — szepnąłem. — Weź siekiere i chodź ze mną.

Na zewnątrz robiło się już ciemno, ale zdążyliśmy jeszcze przed zmrokiem wyciąć niewielką brzozę i zbić z niej krzyż, do którego przymocowaliśmy kawałek cienkiej deski. Po powrocie do domu krzyż postawiliśmy w sieni.

— Przynies świecę i odrygluj komorę — powiedziałem, gdy zamierzał wrócić do kuchni.

Wykonał moje polecenie bez zadawania pytań.

— A teraz zostaw mnie z nimi.

Widziałem, że chce zaprotestować, ale znów nie odezwał się ani słowem. Zaraz potem zostałem w korytarzu sam.

Wszedłem do spiżarni i zamknąłem za sobą drzwi. W słabym świetle zobaczyłem Komisarczuków, dokładnie w takiej pozycji, w jakiej zostawiliśmy ich rano. Usiadłem przy drzwiach, opierając się o nie plecami, i postawiłem świecę na ziemi.

Czekałem.

Z kuchni dobiegały monotonne głosy modlitwy. Wpatrywałem się w nieruchome sylwetki, walcząc z ogarniającą mnie sennością. Zmęczenie dawało znać o sobie, więc postanowiłem, że lepiej będzie, gdy wstanę. Nie mogłem teraz zasnąć.

„Jeszcze tylko chwilę posiedzę...” — pomyślałem.

Pierwszy obudził się mężczyzna. Patrzył na mnie z pogardliwym uśmiechem na zakneblowanych ustach, a blade światło odbijało się w białkach jego oczu. Wciąż był ciasno związany, a jednak zacząłem odczuwać niepokój. Dotknąłem kieszeni kurtki w poszukiwaniu różańca, gdy Komisarczuk jednym gwałtownym ruchem rozerwał krępujące go więzy. Wyjął knebel z ust i szepnął chrapliwie:

— Myślałeś, że możesz nas zatrzymać?

Wstał i ruszył w moim kierunku. Za jego plecami błysnęła druga para błyszczących oczu.

Zbliżał się coraz bardziej, a ja nie potrafiłem się poruszyć. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że teraz to ja jestem związany, a knebel w ustach uniemożliwia wołanie o pomoc.

Był tuż przede mną, czułem jego mdły, gorący oddech. Szarpnąłem się i uderzyłem głową o kant framugi, po czym osunąłem się na podłogę. Czekaając na to, co nieuchronne, wpatrywałem się...

.. w lekko drgający płomień świecy.

Leżałem przez jakiś czas bez ruchu. Musiałem rzeczywiście uderzyć się w głowę, bo pulsowała nieznośnym bólem. Wreszcie podniosłem się i znów oparłem tak, jak poprzednio. Niby wszystko było bez zmian, jednak nie do końca.

Siedzące naprzeciw postaci nie miały już zamkniętych oczu. Paniczny strach przed tym, że sen powtórzy się na jawie, ścisnął mnie za gardło, jednak Komisarczuk tym razem siedział bez ruchu.

Wstałem i wyjąłem różaniec tak, żeby dokładnie go mogli zobaczyć.

Wyraz ich twarzy natychmiast się zmienił. Beznamiętność ustąpiła miejsca dzikiemu przerażeniu. Postąpiłem kilka kroków, a wtedy oboje zaczęli się wściekle szamotać, nie spuszczając ani na moment różańca z bielejących oczu. Z ich gardeł, pomimo knebli, wydobywało się stłumione zawodzenie. W pewnej chwili Komisarczuk zaczął szarpać się tak mocno, że naprawdę zacząłem się obawiać, że jest w stanie zerwać krępujące go więzy.

To, co zobaczyłem, w zupełności mi wystarczyło. Schowałem różaniec do kieszeni, a oni natychmiast się uspokoili.

Zabrałem świecę i wyszedłem na korytarz.

7.

Ta noc minęła spokojnie.

Czuwaliśmy na zmianę nie tylko w obawie przed krążącymi gdzieś w okolicy powisielcami, ale też dlatego, że tak nakazywał zwyczaj. Przed pogrzebem należało być i modlić się przy zmarłych, nie zostawiając ich na dłużej samych.

Jasiek zbudził mnie około północy.

Tym razem Cieplakowa spała z nami w pokoju, na łóżku, które dotychczas zajmowałem. Gdy wstałem, Grela położył się na moim miejscu.

Siedząc samotnie w kuchni, miałem sporo czasu na zastanowienie. Przede wszystkim biłem się z myślami, czy jeszcze przed pogrzebem powiedzieć pozostałym o różańcu. Nie było wątpliwości, że prędzej czy później będę musiał to zrobić. Zamierzaliśmy wprawdzie dla bezpieczeństwa jak najwięcej czasu spędzać wspólnie, lecz przecież były takie sytuacje, gdy trzeba było się oddalić od innych.

Przez kilka ostatnich dni nawet tak prozaiczna czynność, jak przejście do wychodka umiejscowionego na zewnątrz, była sporym problemem. Tymczasowo rozwiązaliśmy to w ten sposób, że nie chodziliśmy tam samotnie, co najbardziej krępowało jedyną mieszkającą z nami kobietę, której za każdym razem towarzyszył stary Grela. Różaniec mógł ułatwić całą sprawę, chociaż nie byłem pewien, czy konieczność zabierania w nieczyste miejsce poświęconego przedmiotu nie spotka się z ostrym sprzeciwem.

Podzielenie różańca nie wchodziło w grę. Według mojej wiedzy tylko w całości mógł ochronić tego, który miał go przy sobie. Oczywiście, mogłem się mylić, ale podzielenie go i późniejsze złączenie mogło sprawić, że stałby się bezużyteczny.

Myśląc o tym, wciąż go dotykałem. Paciorek po paciorku, aż do chłodnego, metalowego krzyżyka. Przez te wszystkie lata różaniec — w tym również jego drewniane elementy — zachował się nadspodziewanie dobrze, co tylko potwierdzało jego magiczną moc. Co jakiś czas uświadamiałem sobie, jakie były jego losy. Miałem przed oczyma obraz splecionych, rozkładających się dłoni dziewczyny, owiniętych przedmiotem, który być może był jej najcenniejszym skarbem. Teraz miałem go w ręce i patrzyłem na prowizoryczną trumnę, w której złożone były szczątki Pauliny i jej dziecka. Gdyby nie sen, w którym mi się ukazała, na pewno nie śmiałbym zachować różańca.

— Słyszysz mnie teraz, prawda? — szepnąłem.

Jedna ze świec gwałtownie zamigotała i zgasła zdmuchnięta nagłym powiewem powietrza, Uśmiechnąłem się.

— Postaram się zrobić z niego dobry użytek—powiedziałem głośniej, po czym zacząłem odmawiać różaniec, znów przesuważąc pomiędzy palcami jego paciorki.

*

Jedyną czynnością, jaką trzeba było jeszcze wykonać rano, przed wyruszeniem na cmentarz, było umieszczenie na desce stosownego napisu.

Staliśmy z Jaśkiem w sieni przed brzoźowym krzyżem. Trzymałem w ręku ołówek, którym przed chwilą narysowałem w górnej części płaskiego kawałka drewna niewielki krzyż.

— Nawet nie wiemy, czy to był chłopiec, czy dziewczynka — powiedziałem. — Jak mam to napisać? Wiesz przynajmniej, ile miała lat?

Wzruszył ramionami.

— Pewno ze dwadzieścia... A to takie ważne?

Miał rację. Wiek dziewczyny nie miał większego znaczenia, więc napisałem najprościej, jak to było możliwe:

Tu spoczywają
Paulina Podolak, lat ok. 20, zm. 11 IV 1952 r.
i jej nienarodzone Dziecko
Pokój Waszym Duszom

— No i jak? Może być?

Grela stał zamyślony i wpatrywał się w napis, składając litery i bezgłośnie poruszając ustami. Wreszcie pokiwał głową.

— Ładnie. Trza nam zaczynać.

Sprawdziłem, czy różaniec nie wysunął mi się z kieszeni, wziąłem krzyż i wyszedłem na zewnątrz. Za chwilę z domu wyszedł też Jasiek, niosący przed sobą niby-trumnę, a za nim jego ojciec ze szpadlem, Cieplakowa i na końcu Socha. Tak sformowany skromny kondukt żałobny ruszył w kierunku widniejącego na wzniesieniu kościoła.

Gdy wychodziliśmy na drogę, przy oddalonym może o sto metrów obejściu dostrzegłem postać niewysokiego mężczyzny.

— To Józek Kowalik — powiedział Jasiek półgłosem.

Szliśmy w milczeniu, nie zważając ani na Kowalika, ani na padający coraz silniej deszcz. Chyba wszyscy chcieliśmy mieć to już jak najszybciej za sobą.

Po kilku minutach dotarliśmy do przykościelnego cmentarza.

Byłem w tym miejscu po raz pierwszy. Kościół wyglądał dokładnie tak, jak opisywał go Rafał w notatniku. Różnica pomiędzy jego bardzo dobrym stanem a zrujnowaną do cna plebanią była aż po oczach.

„Wygląda tak, jakby ktoś wciąż w nim mieszkał” — pomyślałem.

Chociaż doskonale wiedzieliśmy, że Dobrowolskiego nie ma w mogile, i tak wybraliśmy miejsce możliwie najdalej od niej oddalone. Jasiek błyskawicznie wykopał niewielki, ale dość głęboki grób. Zmówiliśmy krótką modlitwę za dusze zmarłych

i zaraz potem złożyliśmy skrzynię w ziemi. W chwili, gdy umieściłem w wykopie krzyż, deszcz zamienił się w ulewę.

— I niebiosa zapłakały — szepnęła Cieplakowa, ocierając łzy.

*

— Gdzie można znaleźć klucz do drzwi kościoła? — zapytałem, gdy było już po wszystkim i skierowaliśmy się do wyjścia z cmentarza.

Stary zastanowił się przez moment.

— Był chyba tylko ten na plebanii — odparł. — A po co ci klucz?

— Chciałbym zajrzeć do środka. Jasiiek, dasz radę je otworzyć szpadlem?

— Jak musisz tam zajrzeć, to mogę spróbować.

Dźwignia zastosowana przez niego łopatą na wysokości zamka okazała się skuteczna już przy pierwszej próbie. Drzwi odskoczyły i wewnątrz świątyni stało otworem.

— Dziękuję — powiedziałem. — Obejrzę sobie kościół, a wy wracajcie do domu.

— Może zostać z tobą? — zapytał Jasiiek.

— Nie trzeba. Chcę sobie parę rzeczy przemyśleć i zaraz do was przyjdę.

Chwilę później zostałem sam i wszedłem do ciemnego wnętrza.

Nic nie wskazywało na to, że świątynia od dziesięcioleci nie była użytkowana. W sączącym się z niewielkich okien światłe widać było świetnie zachowane zdobienia. Kościół urządzony był skromnie, lecz gustownie. Z jego ścian spoglądały na mnie wizerunki nieznanym mi świętych. Na podłodze spoczywała niewielka warstewka kurzu, która nie była w stanie zagłuszyć odgłosu kroków, odbijających się echem wśród drewnianych ścian.

Zbliżyłem się do ołtarza i zadrzałem na myśl o tym, czego niemyym świadkiem był przed laty. Jego drewniana, gładka

powierzchnia była starannie wyczyszczona, pokryta tylko, podobnie jak podłoga, niewielką ilością pyłu, lecz gdy uklęknałem i spojrzałem w dół, dostrzegłem brunatne plamy krwi.

Wstałem z kolan i przeszedłem na drugą stronę ołtarza. Stałem teraz prawdopodobnie w miejscu, w którym Dobrowolski dokonał zabójstwa dziewczyny. Spojrzałem w dół na ustawione równo rzędy ławek. Oczyma wyobraźni widziałem nieruchomy, zahipnotyzowany tłum ludzi, z których prawie nikt nawet nie kiwnął palcem, by zapobiec zbrodni.

Nie chciałem o tym dłużej myśleć. Tamtych wydarzeń nie uda się już zmienić. Trzeba było zastanawiać się nad tym, co jest tu i teraz.

To nie mógł być przypadek, że świątynia nie zniszczyła pomimo upływu tak długiego czasu. Miałem nadzieję, że moje rozumowanie jest właściwe, że ten budynek wciąż ma swojego gospodarza. W innym wypadku powinien przecież popaść w ruinę, podobnie jak plebania i domy, w których nie mieszkał już nikt. Nie wiedziałem tylko, w jaki sposób mogę się o tym przekonać.

Byłem całkiem przemoczony i zrobiło mi się zimno. Ruszyłem do wyjścia z postanowieniem, że w najbliższym czasie muszę znaleźć jakiś sposób na potwierdzenie swoich przypuszczeń.

Okazja nadarzyła się prędzej, niż mogłem się spodziewać.

Kiedy byłem już w przedsionku, na dworze dostrzegłem idącą, a właściwie płynącą od strony drogi postać. Drzwi były otwarte na oścież, jednak mężczyznę w habicie najwyraźniej interesowało zupełnie coś innego. Zakapturzona głowa skierowana była w stronę cmentarza.

Na podjęcie decyzji miałem ułamki sekund, lecz zdecydowałem bez wahania. Taka szansa mogła się prędko nie powtórzyć.

Pokuśtykałem do ołtarza i wyjąłem z kieszeni różaniec, po czym położyłem go na blacie. Wiedziałem, że musi być jak najdalej od wejścia i ta odległość wydała mi się wystarczająca.

Kilkanaście sekund później stanąłem na schodach prowadzących do kościoła.

Przygarbiony mężczyzna stał tuż przy świeżym grobie. Dopiero teraz zobaczyłem zwój grubego powrozu, który trzyma w dłoni, kurczowo zaciskając na nim chude, pobielające palce.

Trząsałem się z emocji, walcząc ze sobą, by nie wrócić po różaniec, który dawałby w tej sytuacji jakieś poczucie bezpieczeństwa. W pewnej chwili nawet pomyślałem, że lepiej byłoby, gdybym nie został zauważony. I tak też z pewnością by się stało, ponieważ Dobrowolski odwrócił się plecami do mnie i ruszył w stronę kościelnej bramy. Z pochyloną głową minął dzwonicę, zupełnie nie zważając na to, co dzieje się wokół.

„Teraz albo nigdy” — pomyślałem, a potem krzyknąłem:

— Hej, frajerze!

Zamarł w bezruchu. Zdawał się nie dowierzać, że usłyszał jakiś głos.

— Do ciebie mówię, skurwielu! Głuchyś czy co?

Jego głowa jak w zwolnionym tempie przekreśliła się w moją stronę. Spod kaptura błysnęły ślepe, nienawistne białka. Stał tak przez jakiś czas, aż wreszcie zaczął się zbliżać.

Jedynym ruchem, jaki wykonałem, było włożenie rąk do kieszeni. Nie chciałem, by zobaczył, jak bardzo drżą.

Zatrzymał się może trzy metry od pierwszego schodka. Stałem o kilkadziesiąt centymetrów wyżej od niego, a mimo to zdawało się, że i tak dorównuje mi wzrostem. Zaciskałem kurczowo szczęki, by nie było słyhać dzwonięcia zębami, ale wciąż trwałem w bezruchu, mierząc go wzrokiem.

— Zrobiłeś wielki błąd, pojawiając się tutaj. — Jego beznamiętny, niski głos zabrzmiał chropawym, metalicznym pogłosem.

Brakowało mi tchu. Chciałem coś odpowiedzieć, lecz nie potrafiłem wydobyć z gardła dźwięku.

— Będiesz tego żałował przez całe wieki. Dosięgnie cię kara...

— Nie jestem durniem — przerwałem mu gwałtownie. — Mnie nie wciśniesz takich bajek, jak tym biednym ludziom, którzy przez ciebie tyle wycierpieli i nadal cierpią. — Ucisk w gardle minął. Wzburzenie było o wiele mocniejsze od niego.

— Co ty możesz wiedzieć...

— Zamknij mordę! — wrzasnąłem. — Jestem tu po to, żeby ich pomścić, i nie boję się ciebie. A za dziewczynę będziesz się smażył w piekle. Zaufała ci, a ty ją wykorzystałeś. Myślisz, że nie wiem? Zabiłeś ją i swoje dziecko i to wszystko z Bogiem na ustach? Nie daruję ci tego i nie spocznę, dopóki nie szczytniesz w męczarniach... Bój się teraz, skurwysynu, bo twoja ostatnia godzina już jest bliska, rozumiesz? Dociera to do twojej zakutej pały?

W ułamku sekundy znalazł się tuż przede mną i wolną ręką chwycił kołnierz kurtki. Szarpnąłem się z całych sił i usłyszałem trzask rozrywanego materiału. Odskokczyłem w tył, mając nadzieję, że trafię w otwarte drzwi. Udało się i stanąłem tuż za progiem. Zbliżył się i wyciągnął ramię, lecz zaraz potem odskoczył jak oparzony.

Odetchnąłem z ulgą.

— I co? Takiś mocny? Chodź do mnie, jak się nie boisz.

Wiedziałem, że nie wejdzie do środka.

— Oddaj mi Komisarczuków — warknął, a jego głos potoczył się echem po wnętrzu kościoła. — Są moi, rozumiesz?

Zignorowałem jego słowa i ruszyłem w stronę ołtarza. Jego sylwetka zasłaniała prawie całe światło, wpadające do drzwi.

— Muszę ich mieć. Ich i jeszcze jednego, słyszysz?

Wziąłem różaniec do ręki. Na szczęście był na tyle duży, że udało mi się zawiesić go na szyi.

— Oddaj mi ich, bo inaczej cię stąd nie wypuszczę i zdechniesz tu z głodu.

— A to jeszcze zobaczymy — odparłem i ruszyłem w stronę potężnej, blokującej wyjście sylwetki.

Byłem coraz bliżej, a on cofnął się, jakby chciał pozwolić mi wyjść. Światło znów wpadło do kościoła i dopiero w tym momencie zauważył, co mam na szyi. W błyszczących ślepiach zobaczyłem przerażenie i uśmiechnąłem się z satysfakcją.

Spokojnie zamknąłem drzwi świątyni, wiedząc, że obserwuje każdy mój ruch. Nie zważając na niego, niespiesznym krokiem ruszyłem w stronę drogi. Odwróciłem się, a on wciąż stał bez ruchu.

— Dopadnę cię! — krzyknąłem. — A wtedy pożałujesz jeszcze dnia, w którym pojawiłeś się w Starzyźnie!

8.

W drodze powrotnej wciąż rozpamiętywałem incydent z Dobrowolskim i na śmierć zapomniałem o różańcu. Dopiero spojrzenia, które napotkałem w kuchni Grelów, dały mi do zrozumienia, że nie zdjąłem go z szyi przed wejściem do domu.

— Należał do Pauliny. — Położyłem sznur paciorków na stole. — Miałem nadzieję, że ochroni nas przed... no wiecie... — zabrzmiało to jak nieudolna próba usprawiedliwienia.

Stary Grela pokręcił głową.

— Powinniśmy go jej zostawić — odezwał się z wyrzutem.

— Wiedziałem, że takie będzie wasze zdanie, ale gdy opowiem wam, jak na niego zareagowali wczoraj Komisarczukowie i co się dziś stało przy kościele, to chyba jednak przyznacie mi rację.

Bez wdawania się w zbędne szczegóły zrelacjonowałem wydarzenia. Nie zdziwiłem się, że większe wrażenie wywarło na

nich to, co miało miejsce przed kilkunastoma minutami; sam opowiadając o spotkaniu z zakapturzonym eks-księdzem czułem gęsią skórkę na całym ciele.

— Czyli jesteśmy teraz bezpieczni? — zapytał Jasek po tym, jak skończyłem.

Długo zastanawiałem się nad odpowiedzią.

— Sądzę, że tak naprawdę jest tylko jedno bezpieczne miejsce w Starzyźnie. Sami wiecie, Oni są coraz zuchwalsi i podejrzewam, że prędzej czy później będą próbować wedrzeć się do domu, w którym teraz jesteśmy. Nie będziemy mogli pilnować się dwadzieścia cztery godziny na dobę przez dłuższy czas.

— Masz na myśli kościół?

Skinąłem głową.

— Musimy pomyśleć nad przeprowadzką. Nie wiem, jak to wszystko zorganizować, żeby można było w nim zamieszkać, ale wiem, że musimy to zrobić jak najprędzej. Dobrowolski coś knuje, mówił wyraźnie, że „brakuje mu jeszcze jednego” i z pewnością zrobi wszystko, by dostać kogoś z was...

— Z „was”? — zdziwił się stary. — To chyba ty żeś mu najbardziej załazł za skórę.

— Mnie może najwyżej zabić. Nawet jak skłoni mnie do tego, bym zadyndał na sznurze, to najprawdopodobniej i tak nie będzie miał ze mnie żadnego pożytku. Do realizacji swoich zamiarów potrzebuje kogoś z mieszkańców wsi.

— Jakich zamiarów? — w głosie Jaśka zabrzmiał niepokój.
— Jak myślisz, co on knuje?

— Zaraz po przyjeździe miałem... nie wiem, jak to nazwać. .. wizję? Może lepiej — bardzo realny sen. Zobaczyłem w nim swojego dawno zmarłego syna, który powiedział do Dobrowolskiego: „Nie jesteś na tyle silny, by się ze mną teraz zmierzyć”. Nie wiem, co ma z tym wszystkim wspólnego mój Krzyś, mam nadzieję, że niewiele... — przelknąłem nerwowo ślinę, wspominając, jak w nocy słyszałem jego głos z zewnątrz. — W każdym razie na pewno musiało to coś znaczyć. Prawdopodobnie to, że

każda samobójcza śmierć kogoś z was Ich wzmacnia. Dokładnie tak, jak w grze komputerowej...

— W jakiej grze?

— Nieważne. Chodzi o to, że gdy będzie Ich już wystarczająco wielu, to i różaniec, i kościół mogą nie pomóc. Nie wolno nam do tego dopuścić.

Zacząłem się zastanawiać nad porównaniem, które przyszło mi do głowy przed chwilą. Swego czasu fascynowałem się grami komputerowymi i analogiczna sytuacja powtarzała się w nich dosyć często. Toczyło się w nich walkę o losy wirtualnej rzeczywistości z przeciwnikiem, który chciał zawładnąć światem. Czy w Starzyźnie było podobnie? Czy to właśnie miał na myśli Krzyś, stawiając się w opozycji do potępionego na wieki księdza? Czy Dobrowolskiemu faktycznie brakowało jeszcze tylko jednego punktu, by na starzyźnianym ekranie mógł się pojawić napis „game over”? Może tak, może nie, ale to my zawładnęliśmy dwiema postaciami, których wyeliminowanie mogło oddalić naszych przeciwników od wygranej...

„Przydałoby mi się przynajmniej jeszcze jedno zapasowe życie” — pomyślałem i skrzywiłem usta w niewesołym uśmiechu.

— To, co robim? — Jasiak wstał od stołu i nerwowo krążył po kuchni. — Tato? Chyba trza zrobić tak, jak mówi Witek?

— Ale jak wy to sobie wyobrażacie? — spytał tamten. — Przecież to nie taka prosta sprawa. Tu, w domu, wszystko mamy. Spanie, jedzenie, kuchnię... Tam przecież nie ma nic.

— Nie będzie to łatwe, ale musimy dać jakoś radę — odparłem. — Obawiam się, że nie mamy innego wyjścia.

— A co z tymi w komorze? Zostawim ich tak? — drążył stary.

Spojrzałem na niego i wreszcie mnie olśniło.

Teraz już wiedziałem, co trzeba zrobić w pierwszej kolejności. Pozostawała nadzieja, że i tym razem przecucie mnie nie zawiedzie.

*

Na początku sądziłem, że załatwimy sprawę we dwóch z Jaśkiem, jednak jego ojciec ostro zaprotestował:

— Nie mogę tu sami zostać, choćby i we trójkę. Napędził nam żeś porządnego strachu. Teraz, jak mamy różaniec, wszyscy się musimy trzymać blisko niego.

Miał rację. Od momentu, gdy wręcz w otwarty sposób wypowiedziałem wojnę Dobrowolskiemu, można się było spodziewać najgorszego. Właściwie jedyną bezpieczną metodą na uniknięcie jego sztuczek było trzymanie się razem i staranie, by ani na chwilę nie spuszczać się nawzajem z oczu.

Szliśmy więc znów w piątkę w stronę kościoła.

Cieplakowa przodem, trzymając z nabożeństwem różaniec, zaraz za nią Jasiek z uchwyconym strażackim chwytem ciałem Komisarczuka na ramieniu. Udało mi się wykrzesać z siebie ostatnie siły i z pomocą starego Greli, który podązał teraz przy mnie, zarzuciłem sobie truchło Komisarczukowej na plecy. Wydawała się nawet lżejsza niż poprzednio. Ponury pochód zamykał Albin, którego głos usłyszałem za plecami.

— Cholera, patrzcie, jacy ciekawscy.

Odwróciłem się i dostrzegłem trzy sylwetki. W jednej z nich rozpoznałem widzianego już wcześniej Józka Kowalika. Obok niego stała krępa kobieta, prawdopodobnie jego matka, i mężczyzna średniego wzrostu.

— Ten trzeci to Duda? — zapytałem.

— Uhm — przytaknął Socha.

— Mają niezłe przedstawienie.

Miałem nadzieję, że to już ostatni raz przychodzi nam szamotać się z nieboszczykami. W przeciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin takich epizodów miałem tyle, że mógłby mi

pozazdrościć niejednego grabarza. Nie wiem, dlaczego akurat teraz przyszedł mi na myśl Kamil Sadoń. Gdyby zobaczył mnie w tym momencie, na pewno miałby niezłą radochę. Stałby pewnie przy drodze w tych swoich pedalskich lakierkach, ze świńską blond grzywką na czole.

— Co, Uchmann? Widzę, że dziennikarstwo ci się znudziło i postanowiłeś zmienić profesję? W sumie to dobrze, bo z tym zajęciem o wiele bardziej ci do twarzy, he, he.

Byłem pewien, że tak właśnie by teraz zagadał z krzywym uśmiechem na piegopatym ryju.

— W sumie w tej całej Starzyźnie wcale nie jest tak źle — mruknąłem i cicho stękając poprawiłem sobie ciało kobiety na plecach.

*

Położyliśmy ich obok siebie, tuż przy wciąż otwartych drzwiach prowadzących do kościoła. Wszyscy wiedzieliśmy, co teraz należy zrobić, ale jakoś nikt się do tego specjalnie nie kwapił.

Wreszcie odezwał się Jasiak:

— To będzie już koniec z nimi? — Patrzył na mnie z nietęgą miną. — Na zawsze?

— Podejrzewam, że tak — odparłem.

— No ale... to trochę tak, jakbyśmy ich... No wiesz... Zabili...?

— Trochę tak.

— Nie wiem, czy to się godzi... — Nerwowo szarpał swoją czarną brodę. — Żyliżemy razem tyle lat koło siebie. W końcu sąsiad czasem jest bliższy niż rodzina...

— A jak myślisz, co będzie dla nich lepsze? Nie mówię już o naszej sytuacji. Dobrowolskiemu brakuje teraz już tylko jednej duszy, a za chwilę znów może brakować trzech. To nieważne, może jakoś dalibyśmy radę, ale pomyśl o nich. Kto wie, może w ten sposób ratujemy ich przed wiecznym potępieniem?

Argumentowanie nie wychodziło mi zbyt przekonująco, jednak wiedziałem, że do unicestwienia Komisarczuków nie powinienem nikogo z nich zmuszać, ani nawet namawiać. Tym bardziej że sam zaczynałem mieć pewne wątpliwości. Zwłaszcza teraz, gdy trzeba było podjąć ostateczną decyzję.

Zrobił to stary Grela. Niespodziewanie przeżegnał się i błyskawicznie wciągnął leżącą kobietę do wnętrza świątyni. Zaraz potem Jasiak zrobił to samo z ciałem Komisarczuka.

Oboje natychmiast zaczęli się zmieniać w oczach. Ich twarze poczerniały i wykrzywiły się w niemym grymasie. Wyglądali tak, jakby od środka byli trawieni przez niewidzialny ogień. Wokół rozszedł się śwąd palonego ciała.

Wszystko trwało najwyżej kilkadziesiąt sekund.

Po raz ostatni spojrzeliśmy na leżące na posadzce kościelnego przedsionka zmumifikowane szczątki.

— Trza mieć nadzieję, że teraz już im jest lepiej — powiedział stary drżącym z emocji głosem. — Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie.

*

Ustaliliśmy, że nadchodząca noc będzie ostatnią, jaką spędzimy w domu. Było już zbyt późno na to, aby należycie przygotować się do przeprowadzki i jeszcze przed wieczorem zdążyć przenieść niezbędne rzeczy.

Dzień upłynął nam więc na pakowaniu i planowaniu tego, co trzeba będzie zrobić w kościele, by nadawał się on do zamieszkania. Zajęcie się tymi czynnościami pozwalało myśleć o czym innym niż to, co wydarzyło się wcześniej, jednak w powietrzu wyraźnie dało się wyczuć atmosferę przygnębienia.

Gdy zapadł zmrok, wszystko było z grubsza gotowe. To, co zamierzaliśmy zabrać, w pierwszym rzędzie piętrzyło się w kącie kuchni. Ubrania, zapasy jedzenia i niewielka sterta naczyń miały nam pozwolić przetrwać pierwsze najtrudniejsze dni.

Sienniki i pościel zamierzaliśmy przygotować do przeniesienia dopiero rano.

— Sporo tego — powiedziałem. — Przydałoby się coś, czym moglibyśmy to wszystko przewieźć.

— Mamy taki wózek w stodole — odezwał się Jasiak. — Już żem o nim wcześniej myślał. Nieduży, ale na dwa razy powinniśmy dać radę.

W sumie szkoda, że nie wspomniał o nim wcześniej; gdyby to zrobił, przenoszenie zwłok z miejsca na miejsce byłoby o wiele łatwiejsze.

Było zbyt wcześnie, by kłaść się spać, więc siedzieliśmy przy stole, wsłuchując się w odgłosy dobiegające z zewnątrz. Deszcz ustał już po południu, ale wciąż wiał porywisty wiatr, który wdzierał się do domu poprzez szpary w oknach i powodował drżenie płomieni świec.

Nikt nie był skory do rozmowy. Cieplakowa przygotowała jakąś kolację, ale jedzenie pozostało prawie nietknięte. Planowaliśmy przeprowadzkę ledwie o kilkaset metrów, lecz czuliśmy się tak, jak przed wyprawą na drugi koniec świata. Wraz z moim przybyciem do Starzyzny życie tych ludzi nabrało szaleńczego wręcz tempa. Pozostawało mieć nadzieję, że zmiany te przyniosą pozytywne skutki.

Kiedy zrobiło się późno, zostałem sam w kuchni. Na wszelki wypadek postanowiliśmy czuwać na zmianę przez całą noc, a ja zgłosiłem się jako pierwszy. Wstałem i nalałem sobie wódki do kubka. Sądziłem, że trochę alkoholu pomoże mi przezwyciężyć smętne myśli.

Ciekaw byłem, co dzieje się w Warszawie i jak sobie daje radę Rafał. Nie dawała mi spokoju myśl, czy w ogóle jeszcze kiedyś będę miał okazję się o tym przekonać. Bez samochodu mój powrót wydawał się o wiele trudniejszy, ale być może jednak istniał jakiś sposób na to, aby poradzić sobie z beznadziejną na pozór sytuacją. Usiłowałem przypomnieć sobie wszystko, co do tej pory przeczytałem w obu brulionach, i olśniło mnie, że pozostał jeszcze fragment zapisków Gielmudy.

Wstałem i przyniosłem zeszyt do stołu. Prawdopodobieństwo, że akurat w tych ostatnich, niepoznanych jeszcze notatkach odnajdę receptę na powrót do „mojego świata”, nie było wielkie, ale przecież jednak istniało.

Otworzyłem brulion i znalazłem miejsce, na którym poprzednio skończyłem.

Starzyzna

III

Uchmann dotrzymał słowa i pojawił się w Guciowie umó-
wionego dnia.

Rafał zdawał sobie sprawę, że podczas ich pierwszego spo-
tkania nie wypadł zbyt przekonująco. Przez całą drogę powrot-
ną do Krasnobrodu wyrzucał sobie, że wrócił raz jeszcze do
karczmy należącej do Stanisławskiego, by ostrzec dziennikarza
przed Kowalikiem. Zachował się jak panikarz, nie uzasadnił
nawet przyczyn swojego nerwowego zachowania. Było jednak
za późno, by cokolwiek zmienić. Nie mógł też wrócić jeszcze
raz. W domu rodziców czekała na niego Paulinka, którą z duszą
na ramieniu zostawił samą. Najbardziej obawiał się, że upiorny
przybysz ze Starzyzny, którego zobaczył w Guciowie, rzeczywi-
ście może coś zrobić Uchmannowi, a to przekreśliłoby chyba
już ostatnią nadzieję na opublikowanie informacji o przeklętej
wiosce.

Po powrocie, chcąc przytłumić czarne myśli, włączył kom-
puter. Wcześniej nie zastanawiał się nad tym, kim jest dzienni-
karz z Warszawy; najważniejsze było, że w ogóle zainteresował
się tematem. Teraz, po ich pierwszym spotkaniu, Rafał zapra-
gnął dowiedzieć się czegoś więcej.

Informacji nie było zbyt wiele. Wszędzie, gdzie pojawiała się coś o Uchmannie, widniała krótka, lakoniczna informacja o jego mało spektakularnej przeszłości zawodowej. Dopiero na forum czasopisma znalazł wpis, stwierdzający jednoznacznie, że Witold Uchmann był w przeszłości tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa. Na dowód tej tezy internauta o pseudonimie „Dasoń” podał link do listy opublikowanej przez Wildsteina. Pisał też, że zna „redaktora uchola” osobiście i nie przebieając w słowach podawał w wątpliwość jego kompetencje zawodowe.

Gielmudzie było wszystko jedno, czy dziennikarz, który opisał całą sprawę, jest świetny w swoim fachu; najważniejsze było przecież to, aby informacje o Starzyźnie ujrzały światło dzienne. O wiele bardziej martwił go fakt, że Uchmann był „czerwonym”. Wychowany w duchu solidarnościowym Rafał darzył głęboką pogardą wszystkich, którzy zbrukali się współpracą z tajnymi peerelowskimi służbami, i starał się ograniczać kontakty z takimi ludźmi do minimum, o ile w ogóle były one konieczne. Teraz od jednego z aparatczyków minionego systemu miał zależeć los jego, jego córeczki i Helenki.

Przypominał też sobie przenikliwe spojrzenie tego człowieka, gdy skłamał o tym, że notatki są napisane przez przyjaciela. I jeszcze te cholerne tiki na swoim policzku, które zawsze tak bardzo zdradzały zdenerwowanie... Gdyby wiedział wcześniej o przeszłości Uchmanna, z pewnością wymyśliłby coś innego. W tajnych służbach być może uczyli, czy rozmówca kłamie, czy mówi prawdę.

„Z drugiej strony przecież niekoniecznie musiał być to ktoś ważny w dawnych strukturach” — pomyślał. — „Może to jakaś płołka, która dawno już zapomniała to, czego uczyli w SB?”

Jedno było pewne, nawet jeśli Uchmann dał się nabrać, to i tak z pewnością był człowiekiem, któremu nie można zaufać. Kto zdradził raz, nie zawaha się zrobić tego po raz kolejny. Było

to dla Rafała jasne jak słońce, ale cóż mógł jeszcze zrobić w tej całej sytuacji? Musiał działać jak najprędzej, by ratować Helenkę, która właściwie wyglądała tak, jakby stała już nad grobem. Do momentu, w którym Paulinka skończy pięć lat, zostało wprowadzić jeszcze trochę czasu, ale...

Na wszelki wypadek Rafał wysłał jeszcze maila z prośbą o pomoc do kilku kolejnych, właściwie w ogóle nieznanymi gazet. Gdyby w najbliższym czasie któraś z nich się zainteresowała tematem, mógłby natychmiast zrezygnować z pomocy Uchmanna.

Przyznał szczerze sam przed sobą, że zrobiłby to z prawdziwą przyjemnością.

*

Gielmuda zamierzał wrócić do Guciowa zaraz z rana następnego dnia, ale plany te zmienił telefon otrzymany parę minut po ósmej. Okazało się, że redaktor jednego z zamojskich tygodników, do którego Rafał zwrócił się o pomoc już kilka tygodni wcześniej, chciałby się spotkać i porozmawiać o ewentualnym artykule. Miał czas dopiero około południa, ale Gielmuda to, że otrzymał tę dobrą wiadomość właśnie w tym momencie, uznał za dobry omen i bez wahania zapowiedział przyjazd do Zamościa na dwunastą trzydzieści.

Brulion z zapiskami został wprowadzić w Guciowie, ale Rafał i tak znał całą historię na pamięć. W jednej z knajpek na zamojskim Rynku był już kilka minut po południu. Słoneczny, niemal już wiosenny dzień nastrojał bardzo optymistycznie. Nie mógł przypuszczać, że Uchmann właśnie wtedy podąży w kierunku Słonecznej Doliny. Zresztą, nawet gdyby o tym wiedział, to z pewnością i tak spotkanie z redaktorem zamojskiej gazety byłoby dla Gielmudy bardziej istotne. Miał nadzieję, że wkrótce potem będzie mógł odesłać dziennikarza z Warszawy z powrotem do domu, w którym zapewne wciąż jeszcze wiszą portrety towarzysza Gierka.

Piotr Dobrowolski z „Echa Zamościa” okazał się pełnym werwy mężczyzną około czterdziestki. Rafał postanowił mu tylko pobieżnie zasygnalizować pewne fakty, dotyczące Starzyzny, aby na dzień dobry nie spłoszyć rozmówcy i tylko delikatnie zbadać grunt.

Dobrowolski słuchał uważnie i na bieżąco notował najważniejsze fakty w firmowym kalendarzu.

— Brzmi to wszystko dość interesująco — powiedział, odkładając pióro. — Niestety, muszę pana zmartwić. Materiał mógłby się ukazać najwcześniej po świętach wielkanocnych.

— Dopiero? — Rafał nie krył rozczarowania.

— Na dzień dzisiejszy mamy dość sporą kolejkę zamkniętych, czekających na publikację tekstów.

— Ale wie pan, bardzo mi zależy na czasie...

— Rozumiem. Jedyne, co mogę zaproponować, to abyśmy pozostali w kontakcie telefonicznym. Czasem się zdarza, że redakcja rezygnuje w ostatniej chwili z publikacji, i wtedy musimy znaleźć coś na szybko. Taka legenda przed świętami byłaby chyba odpowiednia, zwłaszcza że — jak rozumiem — Wielki Piątek odgrywa w niej dość istotną rolę. Trzeba byłoby ją trochę „podrasować”, dodać kilka wątków i powinno się udać. Niemniej jednak na razie pozostaje nam czekanie.

Słowo „legenda” użyte przez dziennikarza i jego zamiar dodania nowych, fabularnych wtretów, nie pozostawiało Rafałowi złudzeń co do tego, jak Dobrowolski odebrał opowieść. Na razie spoglądał na Gielmudę z życzliwym, pogodnym zainteresowaniem, lecz gdyby dowiedział się wszystkiego...

— Dobrze, panie redaktorze — powiedział Rafał wstając i wyciągnął rękę na pożegnanie. — Zna pan mój numer telefonu. Będę czekał na sygnał.

— Do widzenia panu. — Uścisk dłoni dziennikarza był ciepły i mocny.

Zanim się rozstali, przeszli wspólnie kawalek przez płytę rynku, płosząc grupki leniwie grzejących się w wiosennym słońcu gołębi. Przy niektórych knajpkach pojawiły się parasole, oczekujące wraz z kolorowymi kamienicami na pierwszych tegorocznych turystów. Kolorowy świat był dla Rafała całkowicie nierealny, jakże odległy od problemów, które bezpardonowo wdarły się w jego życie. Oddałby wszystko, by móc beztrąsko usiąść przy jednym ze stolików na powietrzu i cieszyć się ciepłem nadchodzącej wiosny.

Z żalem odegnał od siebie te myśli. Okazało się, że niechcący minął odchodzącą w bok uliczkę, prowadzącą do parkingu, na którym zostawił samochód.

— Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać — powiedział.

— Było mi bardzo miło.

Raz jeszcze uścisnęli sobie dłonie.

Gielmuda zagłębił się w cienisty chłód ulicy Ormiańskiej. Po optymistycznych, pełnych nadziei oczekiwaniach nie pozostał już nawet ślad.

— Panie Rafale! — Usłyszał za plecami głos Dobrowolskiego — Proszę jeszcze chwilę poczekać.

Przystanął, odwrócił się i zrobił kilka kroków w kierunku podążającego w jego stronę redaktora. Serce znów zabiło mocniej.

— Wie pan, tak sobie pomyślałem... — mówił lekko zdyszany dziennikarz. Pan chyba jest bardzo zżyty z tą starszą panią, prawda? Jak ona się nazywa... — Zajrzał do kalendarza. — O, Helena Trześniowska, prawda?

— Tak — Rafał odpowiedział równocześnie na oba pytania.

— Myślę, że mógłbym choć trochę pomóc. Wiem, że czasem warunki w domu opieki nie są najlepsze. Nie wiem, jak jest w Krasnobrodzie, ale gdyby czegoś jej brakowało albo chociażby chciała zamieszkać w jednoosobowym pokoju, to proszę mi dać znać. Mój stryj prowadzi tu niedaleko taki przyparafialny ośrodek

dla ludzi starszych i pokrzywdzonych przez los. Mieszkają w nim samotne matki, które, oczywiście zupełnie nieodpłatnie, pomagają innym w zamian za dach nad głową. Pani Helena też nie musiałaby płacić ani grosza.

— Ale... Jak to? Naprawdę jest to zupełnie darmowe?

— Tak. Mój stryj jest emerytowanym księdzem. Zawsze poświęcał się pomocy innym, a od kilku lat, od kiedy nie pełni już obowiązków proboszcza, zajął się tylko tym. Zbiera datki na lekarstwa wśród wiernych. Pieniądze na jedzenie i utrzymanie budynku pozyskuje od różnych instytucji i firm. Proszę mi powiedzieć, z budynku plebanii uczynił naprawdę genialne miejsce dla ludzi potrzebujących pomocy. Nawet pracownicy miejscowej przychodni pomagają w tym przedsięwzięciu, nie pobierając opłat za porady i drobne zabiegi. Stryj jest już dosyć leciwy, ale to wulkan energii o gołębim sercu. Nie zdarzyło się, by komukolwiek odmówił pomocy. Jak będzie trzeba, pomoże też panu i pańskiej znajomej.

— Bardzo panu dziękuję...

— Nie ma za co. Proszę, tu jest numer telefonu — dziennikarz zapisał coś na kartce kalendarza, po czym wydarł ją i podał Rafałowi. — Proszę pytać o księdza Dobrowolskiego. Może się pan powołać na mnie, ale i bez tego na pewno panu pomoże. No, teraz muszę już lecieć. Powodzenia i do zobaczenia lub usłyszenia wkrótce, mam nadzieję.

— Do widzenia.

Gielmuda stał jeszcze przez chwilę, spoglądając na kartkę z numerem telefonu. Wreszcie złożył ją starannie i schował do wewnętrznej kieszeni wiatrówki.

Idąc uliczkami Starego Miasta zastanawiał się, czy przypadkiem nie został wzięty za kogoś, kto poszukuje pomocy dla starszej osoby. Ostatecznie uznał, że raczej nic takiego nie padło w trakcie rozmowy. Niemniej jednak nie był zapewne pierwszym, który chciał zainteresować kogoś z „Echa Zamościa”

swoimi problemami, a intencje dzwoniących do gazet z pewnością bywają przeróżne.

Gdy dotarł do samochodu, już o tym nie myślał. Miał na głowie o wiele poważniejsze sprawy.

*

Rafał zabawił w domu znacznie dłużej, niż początkowo zamierzał. Mimo że spotkanie z Dobrowolskim nie dawało zbyt wielu szans na publikację w zamierzonej formie, to jednak mogło dobrze rokować na przyszłość. Gdyby tylko udało się opublikować materiał jeszcze przed Wielkanocą, Gielmuda wybrałby „Echo Zamościa”. Niestety, szanse na to były nikłe. Czas był bardzo ważny, a i artykuł wydrukowany później mógł pozostawiać wiele do życzenia.

Podjął decyzję, gdy było już ciemno. Postanowił, że jednak pojedzie do Guciowa zobaczyć, jakie wrażenie na Uchmannie zrobiły „notatki Piaseckiego”. Być może dzielił skórę na niedźwiedziu, a redaktor z Warszawy w ogóle nie będzie miał ochoty podjąć tematu.

Przez drogę Rafałowi udało się przekonać samego siebie, że tak właśnie byłoby lepiej.

„Kto zdradził raz, nie zawaha się zrobić tego po raz kolejny” — ta myśl z poprzedniego wieczoru coraz głębiej wbijała się w podświadomość Gielmudy. — „Dobrowolski na pewno da się jakoś przebłagać. Wygląda przecież na porządnego człowieka”.

Wjechał do Guciowa i... nie zatrzymał auta przy zagrodzie Stanisławskiego. Uznał, że ma tego całego Uchmanna gdzieś. Opowie Dobrowolskiemu, że zrezygnował na rzecz „Echa Zamościa” z publikacji w ogólnopolskim czasopiśmie. Powinno mu to przysporzyć parę dodatkowych punktów.

Zamierzał wrócić do Krasnobrodu okrężną drogą. Przejechał kilka kilometrów w stronę Zwierzyńca, po czym zatrzymał samochód na poboczu.

— Durniu — szepnął sam do siebie. — Przecież musisz odzyskać ten przekłety brulion...

Zawrócił ze złością i ostro przygazował.

„Nie będę mu nic wyjaśniał” — myślał. — „Trudno, taki jest przecież jego zawód. Musi się liczyć z ryzykiem, że z planowanego materiału wyjdą nici. Biedy pewnie i tak nie klepie; na pewno zdążył się porządnie nachapać, gdy u władzy byli jego czerwoni mocodawcy.”

Ruch, który zauważył w świetle reflektorów, przerwał te rozmyślania. Zaraz potem zaczął hamować gwałtownie, widząc na lewej stronie jezdni sylwetki dwóch szamocących się mężczyzn. Światła nie rozproszyły jeszcze dostatecznie ciemności, ale postać powstającą z kolan rozpoznałby na końcu świata. Marcin Kowalik, nim Rafał zdążył się wystarczająco zbliżyć, wolnym krokiem odszedł w kierunku przydrożnych zarośli. Zaraz potem samochód zatrzymał się przy wciąż leżącym na szosie mężczyźnie.

— Panie Uchmann, nic się panu nie stało? — zapytał Gielmuda, wysiadając z auta. — Wygląda na to, że zdążyłem w samą porę.

*

Kilka następnych minut wywróciło zamiary Rafała do góry nogami. Przede wszystkim cieszył się, że udało mu się powstrzymać dziennikarza przed ściganiem Kowalika. Zaraz potem, kiedy obaj siedzieli w aucie, redaktor opowiedział o spotkaniu z Anielką w pobliżu Słonecznej Doliny.

Gdy okazało się, że Uchmann widział już zarówno Marcina, jak i dziewczynkę, stało się dla Rafała jasne, że w tej sytuacji nie może już go odprawić. Na pewno i tak nie dałby za wygraną bez wyjaśnienia wszystkich okoliczności, a jego dociekliwość mogłaby tylko zaszkodzić całej sprawie.

Ruszyli. Gielmuda był mocno zdenerwowany i czuł na prawym policzku nerwowy tik. Jeśli Uchmann zauważył ten bezwarunkowy odruch, prawdopodobnie i tak pomyślał, że to

przez okoliczności zdarzenia. Tak naprawdę Rafał denerwował się dlatego, że wcześniejsze plany jednak wzięły w łeb. Emocje były tak silne, że o kilkaset metrów minął zagrodę Stanisławskiego.

Pozostanie w Guciowie nie miało żadnego sensu. Potrzebował czasu na zastanowienie i postanowił, że przenocuje Uchmanna w swoim domu w Krasnobrodzie. Łamał w ten sposób swoje zasady, lecz nie dbał o nie w sytuacji, gdy zagrożone było życie jego bliskich.

Trochę trwało, zanim się tam znaleźli. Najpierw trzeba było posprzątać w pokoju gościnnym, który zajmował dziennikarz, i zabrać stamtąd zmasakrowane ciało psa. Później przypałał się sam gospodarz, przed którym Uchmann musiał się wytłumaczyć z nagłego zamiaru wyjazdu. Po drodze jeszcze musieli zakopać w lesie włochate truchło.

Kiedy wreszcie dotarli do Krasnobrodu, okazało się, że redaktor nie przeczytał jeszcze całości notatek. Gielmuda przyjął ten fakt z ulgą. Miał trochę czasu na przemyślenie planu działania.

Dziennikarz zasiadł w pokoju nad brulionem, a Rafał zajął się praniem zakrwawionych ciuchów. Najpierw przepłukał je w chłodnej wodzie, a później nastawił pralkę.

Nadchodziły trudne dni. Spodziewał się ze strony redaktora wielu niewygodnych pytań i nie wiedział, czy będzie miał wystarczająco dużo sił i odwagi, by na nie odpowiadać.

Otworzył w swoim pokoju butelkę chłodnego „Zwierzyńca”. Przyjrzał się pianie buzującej w środku i z przyjemnością upił kilka łyków. Potem rozsiadł się wygodnie w głębokim, skórzanym fotelu, w którym lubił siadywać jego dziadek, i przymknął oczy.

Czekał na rozwój wypadków.

Rozdział czwarty

1.

Obok otwartego brulionu stało pięć palących się jasnym płomieniem świec, mimo to podniosłem się i podszedłem do kredensu, by wyjąć jeszcze kilka.

Już na pierwszy rzut oka widać było, że oznaczony rzymską czwórką fragment notatek został napisany o wiele mniej wyraźnie niż poprzednie; tylko charakterystycznie zawijane ogonki przy niektórych literach pozwalały na stwierdzenie, że w dalszym ciągu jest to pismo Rafała. O ile dotychczas przyzwyczaiłem się do jego dość czytelnych, dużych liter, o tyle w wypadku tego podrozdziału miałem do czynienia z trudnymi do odszyfrowania bazgrołami. By je odczytać, potrzebowałem więcej światła.

Skorzystałem z okazji i uzupełniłem też zawartość kubka, by lżej było mi znieść kolejny kubek wylanych na mnie pomyj.

Czytanie wywodów o mojej rzekomej ubeckiej przeszłości nie należało do przyjemności. Mimo że od publikacji listy minęło już trochę czasu, wciąż trudno było mi się pogodzić z tym, że wyroki na mój temat ferowane są bez jakiegokolwiek znajomości faktów.

Ciekaw byłem, kiedy on to wszystko pisał. Było jasne, że notatki musiały powstać już po tym, jak dowiedział się o konieczności powrotu do Starzyzny. Można więc się było domyślić, że sporządził je już wtedy, gdy wiedział, że Anielka nie zna żadnych szczegółów, które mogłyby pomóc uratować Paulinkę, a więc...

— Cholera jasna — wyszeptałem. — Przecież on musiał je pisać ledwie kilka dni temu.

Nie mieściło mi się w głowie, jak mógł pisać o mnie w taki sposób. Byłem w stanie zrozumieć, że chciał jak najdokładniej opisać fakty, a także pobudki, które nim kierowały. Tyle że — na Boga! — od tych zapisków w części mnie dotyczącej dosłownie wiało chłodem. Tak jakbyśmy nie przeszli razem tyle przez ten cały czas od mojego przyjazdu na Roztocze aż do Wielkiego Piątku.

„Może gdyby wiedział, że znajdę się tu zamiast niego, to traktowałby mnie choć trochę inaczej?”

Być może, ale teraz było to nieważne. Mało tego, uświadomiłem sobie, że chyba, jeśli nawet do tej pory traktował mnie jako ubeka doskonale to maskując, to i tak postąpiłbym tak samo.

Sam się sobie dziwiłem.

Zastanowiłem się przez chwilę, czy nie oszukuję sam siebie, ale nie. Gdybym mógł znów wybierać, to z całą pewnością jeszcze raz znalazłbym się w Starzyźnie zamiast Rafała.

Wiedziałem, komu zawdzięczam to, że byłbym po raz kolejny gotów to zrobić.

— Nie wiem, synku, czy jesteś gdzieś w pobliżu — szepnąłem. — Tak naprawdę, to wolałbym, żeby cię tu nie było, ale... jeżeli jesteś... i jeśli jesteś ze mnie dumny, tak jak kiedyś, to wiedz, że to wszystko dzięki tobie...

Siedziałem naprzeciw świec, lecz tym razem płomień żadnej z nich nie drgnął nawet odrobinę.

2.

Myśl o Krzysiu sprawiła, że po raz kolejny wspomniałem też Paulinkę i Rafała.

Zakładałem, że imię dziewczynka dostała niejako w spadku po Paulinie Podolak. Wtedy uderzyła mnie świadomość, że Rafał przecież do końca nie wiedział, co spotkało gospozię Dobrowolskiego w Wielki Piątek tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku.

Gospozię księdza Dobrowolskiego.

Ten dziennikarz z Zamościa też tak się nazywał. Skojarzyłem ten fakt, czytając notatnik Rafała, ale ponieważ „Dobrowolski” to przecież dość popularne nazwisko, uznałem to za czysty zbieg okoliczności. Tyle że... Tak, teraz sobie uświadomiłem, że redaktor z „Echa Zamościa” mówił też o księdzu, który opiekuje się potrzebującymi... O księdzu, który był dla niego...

Drżącymi rękoma przerzuciłem kilka ostatnich stron brulionu w poszukiwaniu tego fragmentu, a potem przeczytałem cicho:

— „Mój stryj jest emerytowanym księdzem”.

Jeśli stryj, to nazywa się...

— Ksiądz Dobrowolski — wyszeptalem i ciarki, jak stado mrówek, przemaszerowały mi po krzyżu.

Raz jeszcze dokładnie przeczytałem ostatni fragment notatnika z nadzieją, że jednak przeoczyłem imię księdza, o którym wspominał zamojski dziennikarz. Imienia jednak nie było w zapiskach.

Potem zastanowiłem się, dlaczego Rafał nie skojarzył tych wszystkich faktów. A musiał ich nie skojarzyć, ponieważ wierzyć mi się nie chciało, że w ogóle by o tym nie wspomniał w drugim zeszyście.

I wtedy mnie olśniło:

„Przecież Rafał w ogóle nie wiedział, jak się nazywał ksiądz ze Starzyczny!”

To nazwisko było w wiosce prawie jak zakazane, więc trudno się dziwić, że nikt go nie używał. Gdy podczas swojej opowieści stary Grela wypowiedział je po raz pierwszy, zabrzmiało w moich uszach całkowicie obco i nie skojarzyło się z czymkolwiek. Dlaczego?

„Dlatego że ani raz nie padło ani w pierwszym, ani drugim brulionie” — odpowiedziałem sam sobie w myślach.

*

Balem się tego, co może być napisane w ostatniej części notatek Rafała, a dokładniej rzecz ujmując, obawiałem się, że może w nich być zbyt mało.

Do końca zostało mi naprawdę niewiele czytania. Ten fragment mógł być kluczowy, dlatego długo nie potrafiłem się przemóc, by go poznać.

Czy są w nim najważniejsze informacje? Bardzo chciałem dowiedzieć się, czy zbieżność nazwisk redaktora Dobrowolskiego, jego stryja i księdza ze Starzyzny jest przypadkowa.

Łudziłem się, że może Rafał jednak zdobył w jakiś sposób wiedzę na temat tego, że ktoś, kto znalazł się w objętej klątwą wiosce nie przez przypadek, może się z niej wydostać. A jeśli tak, to w jaki sposób jest tego w stanie dokonać?

Pytań było wiele.

Miałem przed oczyma postać przekłętego księdza, który najpierw stanął przeciw Bogu, a potem skończył swoje ziemskie życie przez wyrzuty sumienia. Pewnie miał nadzieję, że w ten sposób jego koszmar się skończy, i nie dość, że ten czyn nie dał mu spokoju, to jeszcze w dodatku pociągnął za sobą wiele kolejnych samobójstw mieszkańców Starzyzny, którzy poprzez targnięcie się na własne życie zasilali zastęp przerażających zjaw, dążących do całkowitego zawładnięcia wioską.

A może nie tylko nią?

Co się stanie, gdy do nich dołączą trzy kolejne osoby? Co się stanie, gdy wtedy „nie będą już zbyt słabi”, by zmierzyć się z

innymi zmarłymi, być może nawet z tymi, którzy krążą gdzieś w okolicach „mojego świata” ?

Trzymałem w dłoniach brulion z zapiskami, zastanawiając się, czy może on mi jeszcze dać odpowiedź przynajmniej na część tych pytań.

Czas było się dowiedzieć.

Zapaliłem dodatkowe świece i pochyliłem się nad stołem.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, była zmieniona forma notatek.

Dotąd Rafał stawiał się na pozycji anonimowego narratora. Fragment oznaczony rzymską czwórką został napisany w pierwszej osobie...

Starzyzna

IV

To wszystko jest ponad moje siły.

Właściwie całe to pisanie jest już w tej chwili kompletnie bez sensu. Wziąłem do ręki długopis chyba tylko po to, żeby się czymś zająć.

Siedzę w kuchni u rodziców. Ich nie ma, Paulinka śpi w swoim pokoju na górze, a ja stawiam z trudem kolejne litery. Dobrze, że przynajmniej słychać buczenie lodówki, bo w zupełnej ciszy pewnie bym zwariował.

Chciałbym, żeby już była północ. Ta beczyność zaraz mnie wykończy.

Rodzice za chwilę wrócą z kościoła. Potem poczekam, aż mała się obudzi i pójde się z nią pożegnać. Muszę jej tylko nie dać niczego po sobie poznać. Na szczęście jeszcze niewiele rozumie i może się uda.

Potem pojedę w miejsce, w którym pochowałem Trzeźniowskiego. Znowu upłynie trochę czasu. Wrócę do domu...

Nie zapomnieć zeszytu!

Jak podkreśliłem, to może nie zapomnę. Tego tylko brakowało, żeby został on tu, w Krasnobrodzie, i ktoś go przeczytał. Schowam go w skrytce opla i tam już zostanie. Pewnie na zawsze.

Wrócę do domu, pewnie odwiozę Witka na jakiś autobus, czy gdzie tylko będzie chciał, byle nie za daleko, żebym mógł zdążyć do Guciowa przed północą. Znowu ukradnę w ten sposób kilkadziesiąt minut, może parę godzin.

Witek Uchmann... Szkoda, że zobaczymy się dziś po raz ostatni. Chciałbym się jeszcze z nim kiedyś spotkać w jakichś bardziej normalnych okolicznościach. Chyba myliłem się co do niego. Nie wiem, jaka jest naprawdę jego przeszłość, ale to porządny facet. Sporo dla mnie zrobił, żebym mógł się z tego wykaraskać, narażał nawet życie. A teraz okazało się, że cała jego praca na nic.

Chciał pomóc. Szkoda, że nie dał rady...

Aha! Tymczasem jeszcze zakupy. Chyba sklepy będą jeszcze czynne. W Wielki Piątek nie zamykają zbyt wcześnie. Przynajmniej niektórych.

Chce mi się spać jak cholera. Przez całą noc nie zmrzyłem oczu i prawie zasypiam na siedząco. Najchętniej położyłbym się i obudził jutro rano. Tyle że nie mogę tego zrobić. Paulinka jest teraz najważniejsza i zrobię wszystko, by ją ratować.

Powiedziałem rano Witkowi, że prawie nie spałem, ale to nieprawda. Nie zasnęłam nawet na moment. Od wieczora czułem, że w nocy coś się zdarzy. Wiedziałem, że ktoś poza mną i Uchmannem jest w domu, i podejrzewałem, że dowiem się, kto to jest.

Pradziadek usiadł na moim łóżku i wszystko mi powiedział. Zapewniał, że będzie dobrze, ale jak ma być dobrze, skoro jeśli z własnej woli dostanę się do Starzyzny, to nie będę mógł już stamtąd wrócić. Ocalę wprawdzie moją córeczkę, ale już nigdy jej nie zobaczę...

Co on tam jeszcze mówił? Że Uchmann pojawi się w Starzyźnie zamiast mnie? Bzdura! Niby jakim cudem. Mam pójść i powiedzieć:

— Słuchaj, Witek, jest taka sprawa. Pojedziesz tam zamiast mnie, O.K.? Wiesz, jeśli ja pojedę, to nie zobaczę już Paulinki, a wolałbym być przy tym, jak dorasta. To co, zgoda?

Ha, ha. Na pewno nie będzie się zastanawiał nawet pięciu sekund.

Co tam jeszcze mówił dziadek Franek? Warto sobie to zapisać za pamięci. Będę miał przecież ten zeszyt ze sobą.

Już wiem. Gdybym to jednak był ja, to mam się pilnować, żeby ktoś mnie nie załatwił. Jak mi utną rękę, to następnego dnia nie będę już jej miał. Jak mi utną głowę, to następnego dnia nie będę już żył. Takie dziwy! Sztuczki z cudowną regeneracją i zmartwychwstawaniem na Czarnym Wygonie się dla mnie skończyły. Na szczęście, jak będzie po wszystkim i się powieszę, to nazajutrz dalej będę sobie dyndał. Tyle dobrego.

Zapytałem dziadka, czy nie może mi powiedzieć, co się tam stało, bym nie musiał sam się o tym dowiadywać. Odrzekł, że gdyby to zrobił, to natychmiast bym i tak zapomniał. Jakbym zapisał w zeszycie, to wszystko by zniknęło w ciągu kilku minut.

— Tak musi być, wnusiu — powiedział. — Tyle że ty możesz się niczego nie obawiać.

Akurat!

Dobrze, że przynajmniej powiedział mi, co mam zrobić, by ocalić Paulinę.

Gdybym chociaż mógł się łudzić, że to wszystko jednak mi się przyśniło, że jednak będę mógł wrócić...

Dziadek Franek nie pozostawił mi żadnych wątpliwości.

Wstając zapytał:

— Pamiętasz tę szkatułkę, którą ode mnie dostałeś? Jest na strychu. Znajdź ją rano.

Świtało, jak wstałem z łóżka i poszedłem na górę.

Strych był cały zawalony zakurzonymi rupieciami. W końcu w jednym z pudeł ją znalazłem. Jako dziecko chowałem w niej swoje najcenniejsze skarby.

Wciąż tam były. Małe samochody, łuski po ślepakach z ćwiczeń Obrony Cywilnej, ołowiane i plastikowe żołnierzyki, a także cała masa innych pamiątek, o których już dawno zapomniałem.

Nie udało mi się znaleźć czegokolwiek, co mogłoby mieć związek z nocnymi wydarzeniami, i już zacząłem się cieszyć, że wszystko było jednak sennym przywidzeniem, gdy na samym dniu szkatułki dostrzegłem niewielką, złożoną na dwoje karteczkę.

Wziąłem ją, rozprostowałem i przeczytałem to, co było wykaligrafowane starannym pismem pradziadka. Poznałbym je na końcu świata.

Zobaczysz, wszystko będzie dobrze i nie będziesz musiał opuścić Paulinki.

To Uchmann znajdzie się w Starzyźnie zamiast Ciebie.

*Krasnobród,
Wielki Piątek, 25.03.2005 r.*

*

Coś długo ich nie ma. Pewnie w kościele długa kolejka do spowiedzi. Dobrze byłoby, gdyby już wrócili. Wołałbym, żeby...

*

Chyba niczego się nie domyśliła. Uściskałem ją mocno i wycalowałem. Słyszałem, jak mnie woła, i poszedłem na górę. Zdaje się, że wraca już do zdrowia. Leży sobie teraz na górze spokojnie. Wie, że wyjeżdżam, i czeka na babcię.

Ciekawe, czy jak dorośnie, to będzie mnie pamiętała. Mam nadzieję, że rodzice jakoś wytłumaczą jej moje zniknięcie, choć zupełnie nie mam pojęcia, co mogą jej powiedzieć. Będzie się wychowywać jako sierota. Boże, zrobiłbym wszystko, by się z nią nie rozstawać...

*

Czasu mam coraz mniej. Co chwila spoglądam w okno. Czy chciałbym, żeby to Witek pojechał tam zamiast mnie? Może to niegodziwe, ale tak właśnie jest.

Może rzeczywiście go zapytam?

Nie. Tylko wyszedłbym na idiotę.

Sam się wpackowałem w to wszystko i sam muszę ponieść konsekwencje. Przyjaciel Witka też cierpi z powodu śmierci

żony, którą spowodowałem. Tak musi być. Ból po utracie bliskich jest częścią życia. Ja dziś tracę moją Paulinkę, ale przynajmniej jest nadzieja, że chociaż dla niej wszystko skończy się dobrze.

Chyba usłyszałem szcęk otwieranej bramy... Tak, wrócili.

Zaraz zamknę ten zeszyt. Zamknę go tak, jak się zamyka kolejny rozdział własnego istnienia. Pora ruszać w drogę...

Rozdział piąty

1.

Nie pamiętałem już nawet, gdzie go zostawiłem.

Zdawało mi się, że gdy opuszczałem dom Grelów, brulion został na stole, ale tam go nie zastałem. Być może Katarzyna tuż przed wyjściem włożyła go do kredensu? Nieważne. Liczy się to, że leży przede mną i że znów powinienem coś w nim napisać.

Ostatni przeczytany fragment sprawił, że nie chciałem oglądać zeszytu nigdy więcej. Nawet gdy próbowałem się stąd wy dostać przed poprzednią Wielkanocą, nie zamierzałem go zabierać, by nie przyniósł mi pecha. Wszystko, co jest w nim zawarte, nawet dziś pamiętam aż nadto dobrze i bez problemu odtworzyłbym całą treść po powrocie do „mojego świata”.

Teraz ważne jest, by wszystko jednak zostało zapisane.

Nigdy bym nie przypuszczał, że wytrzymam tu aż tyle. Zwłaszcza że zdecydowaną większość czasu spędziłem zamknięty w kościele wraz z czterema osobami. Jego wnętrze stało się dla nas domem, w którym czuliśmy się bezpieczni. Wychodziliśmy na zewnątrz tylko wtedy, gdy było to konieczne, zawsze zabierając ze sobą różaniec Pauliny. Trzeba było przecież zadbać o jedzenie, wodę i opał.

Pozostałych mieszkańców wioski — Józka, jego matkę i Dudę widziałem najwyżej kilkanaście razy. Nikt z nas nie zamienił z nimi ani jednego słowa. Stanowiliśmy odrębne światy w realiach jednej małej wioski, z której pozostały tylko trzy gospodarstwa i drewniana świątynia. Domy Trześniowskich i Komisarczuków zawały się jeszcze w dwa tysiące piątym roku.

Był jeszcze jeden świat. Mroczny i posepny świat Czarnego Wygonu. Tych, którzy przybywali stamtąd, widywaliśmy niemal codziennie. Kręcili się wokół nas, gdy byliśmy na polu, byli obecni prawie na wyciągnięcie ręki zawsze wtedy, gdy wybieraliśmy się do lasu po drewno. Czekali na nasz błąd, na chwilę nieuwagi, która mogłaby pomóc Im w realizacji planu Dobrowolskiego. Byli mu ślepo oddani; nie tylko za życia, ale także i po śmierci miał nad Nimi pełną władzę.

Początkowo było to nie do zniesienia, ale wreszcie przyzwyczailiśmy się nawet do obecności sylwetek obserwujących ślepyimi oczyma każdy nasz ruch poza kościołem. Udało nam się nie popełniać błędów i widać było, że coraz bardziej Ich to irytuje. Wreszcie, kilka dni temu przyjęli inny model działania...

*

Wziąłem pod pachę brulion i wyszedłem z domu.

Kiedy znalazłem się na drodze, zamiast ruszyć w kierunku kościoła, podążyłem w przeciwną stronę. Niedługo potem stałem przed zabudowaniami Trześniowskich.

Precyzyjnie rzecz ujmując, naprzeciw mnie znajdowało się to, co kiedyś było gospodarstwem, należącym niegdyś do sołtysa i jego córki. W przeciągu dwóch lat, które minęły od mojego przybycia do Starzyny, dach domu mieszkalnego runął, rozpychając próchniejące ściany na zewnątrz. Jedyne, co odróżniało zawalisko od innych, podobnych, to brak sterczącego ku niebu komina.

Przeszedłem obok resztek domu; bardziej interesowały mnie pozostałości po stodole.

Pamiętałem z pierwszego, zapisanego przez Rafała zeszytu, że tam właśnie, nad wejściem, Jakub Trzeźniowski przechowywał karabin, pozostały po drugiej wojnie. Miałem nadzieję, że nie zmienił skrytki w ostatniej chwili i uda mi się odszukać broń.

Widniał przede mną obraz nędzy i rozpacz. Trudno było mi nawet na pierwszy rzut oka zorientować się, w którym miejscu znajdowało się niegdyś wejście do budynku. Po chwili poszukiwań odnalazłem jednak resztki wrót, a coś w rodzaju koślawych drzwi było umiejscowione w jednym z ich szerokich skrzydeł.

Metodycznie odrzucałem zniszczone elementy ścian i dachu. Kilka drzazg wbiło mi się w dłonie, ale pomimo kłującego bólu nie przerywałem poszukiwań. Skoro już tu byłem, musiałem doprowadzić rzecz do końca.

— Jasna cholera — powiedziałem do siebie. — Trzeba było zabrać Jaśka. Nawet jakby też poranił sobie łapy, to jutro rano nie miałby po tym nawet śladu...

Ciskając za plecy kawałek spróchniałej belki, odwróciłem się i kątem oka zarejestrowałem jakiś ruch od strony pola.

Zamarłem.

Oni zawsze się poruszali w ten sposób. Mechaniczne, jakby zaprogramowane, niepoddające się modyfikacji ruchy, stanowiły Ich znak rozpoznawczy. Jedynie Dobrowolski bardziej płynął, niż szedł, ale być może było to wrażenie, spowodowane tym, że habit przykrywał jego nogi.

Młody, niewysoki mężczyzna przybliżał się z wolna. Widziałem go już wcześniej wiele razy, ale nigdy tak z bliska. Dzieliło nas najwyżej pięć metrów. Pozbawione źrenic oczy już nie robiły na mnie wrażenia.

Ostentacyjnie wyjąłem różaniec spod kurtki, przekręciłem w ten sposób, by był dobrze widoczny dla intruza. Ten oczywiście natychmiast stanął jak wryty.

— Nuda — mruknąłem i jak gdyby nigdy nic wróciłem do przerwanych poszukiwań.

Minęło kilkadziesiąt minut. Pot zalewał mi oczy, kręgosłup bolał z każdą chwilą bardziej, a zmęczone ramiona odmawiały posłuszeństwa. Zacząłem się obawiać, że jednak Trześniowski zmienił skrytkę i nigdy nie uda mi się odszukać broni, ale nie przerywałem pracy.

Popatrzyłem na nieruchomą sylwetkę.

— Co się, kurwa, gapisz? Pomógłbyś znaleźć ten pieprzony karabin, zamiast tak stać bez sensu.

Wyprostowałem się z trudem i omiotłem wzrokiem zawalisko, zastanawiając się, gdzie będziemy szukać, gdy następnym razem zjawimy się tu z Jaśkiem.

— Powie mi pan, co się z nią stało?

Byłem zaskoczony, że się do mnie odezwał. Zwykle obserwowali nas bez słowa, więc chrapliwy głos wywołał szybsze bicie serca i gęsią skórkę na całym ciele. Odwróciłem się powoli i stanąłem naprzeciw niego, uważnie przyglądając się jego twarzy.

Brakowało nam tylko kapeluszy i rewolwerów.

Kogoś mi przypominał. Wpatrzona we mnie tępo białe oczy sprawiały, że przez dłuższy czas nie potrafiłem uświadomić sobie, do kogo jest podobny. Gorączkowo przywoływałem w pamięci znane twarze, wyszukując nawet te dawno już zapomniane. Olśnienie przyszło nagle.

— Pytasz o córkę Trześniowskiego, prawda?

Skinął głową. Chwilę wcześniej przypominałem sobie opisaną w pierwszym brulionie spacer Jaśka i Rafała do kościoła, gdy ten pierwszy opowiadał o młodym mężczyźnie, który powiesił się jeszcze w pięćdziesiątym drugim. Greła wspomniał wtedy o tym, że był bardzo podobny do Gielmudy i rzeczywiście, nie mylił się. Mimo że poznałem Rafała, gdy wyglądał na przyprószonego siwizną czterdziestolatka, to podobieństwo i tak było uderzające; ten sam nos, podobne usta, nawet kolor włosów. Oczy być może też mieli podobne, ale tego już nie

mogłem być pewien.

— To ty miałeś się z nią ożenić? — odezwałem się znów. — Czekaj, czekaj... Masz na nazwisko Książ, a na imię...

— Andrzej.

— A, faktycznie, Andrzej.

Sytuacja była co najmniej dziwna. Nigdy bym nie przypuszczał, że będę w ten sposób rozmawiał z którymś z Nich, a teraz wyglądało na to, że ten chłopaczyna przyszedł nie po to, by spróbować zrobić mi krzywdę, ale po to, by najzwyczajniej w świecie zapytać o dalsze losy swojej byłej narzeczonej. Trzeba było to wykorzystać.

— Chodziłeś tu, do Trześniowskich, prawda? — zapytałem.

— Ojciec Helenki miał karabin. Trzymał go tutaj — wskazałem miejsce, które przed chwilą przeszukałem — ale chyba zmienił kryjówkę. Jak pomożesz mi znaleźć broń, to powiem ci, co stało się z Helenką.

Wahał się tylko przez parę sekund, a następnie ruszył w moją stronę. Po kilku krokach spojrzał z obawą na różaniec i ominął mnie szerokim łukiem. Odwróciłem się, patrząc w ślad za nim. Doszedł do ruin domu Trześniowskich, pochylił się i zaczął, podobnie jak ja wcześniej, odrzucać za siebie fragmenty budynku.

Kawałki ścian i belki, których mnie nawet nie udało się poruszyć, wlatywały w powietrze, lądując kilka, a nawet kilkanaście metrów za Książem. Nie potrzebował nawet brać ich w dwie ręce; chwycił raz prawą, raz lewą i bez wysiłku, z prędkością buldożera, parł do przodu. Usiadłem obok tego, co pozostało po stodole, i przyglądałem się jego pracy. Gdyby nie różaniec, mógłby ze mnie zrobić mokrą plamę, zanim zdążyłbym się przeżegnać.

Nagle kawałki domu przestały latać w powietrzu, a Książ pochylił się i wyjął spod fragmentu dachu podłużny, zawinięty w materiał przedmiot. Zaraz potem z tego samego miejsca

wydobył niewielki woreczek. Wyglądało na to, że poszukiwania zakończyły się sukcesem.

Położył znalezisko na ziemi, kilka metrów ode mnie i sam stanął w bezpiecznej odległości, łypiąc na mnie wyczekująco.

— Ona nie żyje — powiedziałem, nie bawiąc się w zbędne wstępy. — Umarła niedawno.

Widać było, że ta wiadomość go poruszyła. Opuścił głowę bez słowa. Miałem wrażenie, że płacze.

— Kiedy wrócili, kiedy udało im się stąd uciec, zaczęła się bardzo szybko starzeć. Zmarła jako starowinka. Nie cierpiała.

Myślałem, że będzie chciał wiedzieć coś więcej, ale on tylko odwrócił się i ruszył w stronę widocznej w oddali ściany lasu.

— Andrzej! — krzyknąłem, gdy wychodził już z podwórza.

Zatrzymał się.

— Andrzej, spójrz na mnie — poprosiłem, lecz on wciąż był do mnie odwrócony plecami.

— Powiedz mi — ciągnąłem — czy naprawdę musiałeś to zrobić? Czy on aż tak bardzo wpłynął na ciebie, że nie potrafiłeś się oprzeć? Wiem, że długo walczyłeś, mogło ci się udać...

Wreszcie się odwrócił. Nawet gdyby płakał, z tej odległości nie udałoby mi się dostrzec łez.

— To nie przez niego — rzekł. — On nigdy by mnie do tego nie namówił.

— Jak to? Przecież...

— Nikt nie wie, że łąziła za mną ta mała Anielka... Chyba się we mnie podkochiwała, przynajmniej tak w kółko mówiła, gdy żeśmy byli sami. Nie chciała, żebym ożenił się z Helenką.

— Nie powiesz mi chyba, że to właśnie z tego powodu postanowiłeś ze sobą skończyć?

Znów wprawił ciało w ten dziwaczny, transowy krok i znalazł się niedaleko mnie, wciąż jednak zachowując dystans.

— Wie pan, co ta mała kiedyś wymyśliła?

— Niby skąd mam wiedzieć, ale cokolwiek by to było...

— Spotkała mnie kiedyś na drodze, niedaleko domu... Wzięła za rękę i poprosiła, żebym się schylił, bo chce mi coś szepnąć na ucho. Zrobiłem to i usłyszałem: „Jak będziesz dalej do niej chodził, to powiem wszystkim, a najsampierw jej, że kiedy żeśmy byli sami, to zdjąłeś byłeś mi majtki i tam, gdzie robię siusiu, mnie byłeś dotykałeś. I że kazałeś byłeś siebie też dotykać, też im powiem, jak będziesz dalej do niej chodził, zobaczysz...”

— gardłowy, metaliczny głos Kniazia zadrżał wyraźnie i zamarł w krtani.

Po chwili usłyszałem:

— Nie poradziłem sobie z tym wszystkim. Raz, po pijaku, pomyślałem, że jak to zrobię, to będę miał spokój, że Helenka sobie kogoś...

— Czy to prawda? — przerwałem mu.

— Co „czy prawda”?

Nie odpowiedziałem, tylko przyglądałem mu się uważnie. Gdy zrozumiał, mleczone ślepie zapłonęły złością.

— Gdyby nie ten różaniec, co go masz na szyi, to tylko za to, że tak żeś pomyślał, skreśliłbym ci kark — wycedził.

Przyglądał mi się przez jakiś czas wyzywająco, po czym spuścił głowę.

— Gdzież ja bym... jej... coś takiego... — wyszeptał po chwili.

— Takiemu maństwu...

— Myślisz, że ktoś by jej uwierzył?

— Uwierzyliby. Wszyscy by uwierzyli — mówił, znów spoglądając mi w oczy. — Chyba w pięćdziesiątym roku, tu niedaleko, koło Zwierzyńca, zdarzyło się takie nieszczęście. Wystarczyły słowa małej dziewczynki, które rozeszły się po wsi, a wyklętego z ambony chłopca zaraz po mszy inni cepami w jego własnej stodole ubili. Anielka musiała o tym słyszeć, ludzie u nas

jeszcze przez wiele miesięcy wieczorami o tym gadali. Gdybym wtedy nie wypił, może byśmy wyjechali, może Helenka by uwierzyła mi, a nie jej, jakbym wcześniej powiedział... No, ale stało się, jak się stało, i nie ma rady już na ten mój los. Dobrze, że chociaż jej nic takiego się nie przytrafiło...

Odwrócił się i patrzyłem, jak wychodzi z podwórza, a potem przemierza łąkę. Przyglądałem się malejącej sylwetce i zastanawiałem się, co o tym wszystkim myśleć. Najdziwniejsze było to, że zamiast się go bać, zacząłem mu najzwyczajniej w świecie współczuć.

Gdy Książ zniknął między drzewami, podszedłem do przedmiotów, które wydobył ze zrujnowanego domu.

Karabin był zawinięty w natłuszczoną szmatę. Dzięki niej broń, pomimo czasu, który szaleńczo przyspieszył rok temu, wyglądała na dobrze zachowaną i sprawną. Odciągnąłem zamek, który szczęknął zdrowym dźwiękiem. W drugim zawiniątku było kilkadziesiąt naboń.

„Dobrze, że aż tyle” — pomyślałem. — „Mogą się niedługo bardzo przydać...”

2.

Zmieniłem wcześniejszy plan i zamiast od razu do kościoła, poszedłem raz jeszcze do domu Grelów. W trakcie rozmowy z Kniaziem zaświtała mi w głowie pewna myśl i zamierzałem przetrwać ją w samotności. Usiadłem przy stole i zapatrzyłem się w ponury, spowity lekką mgłą krajobraz za oknem.

Jedno było pewne — moja sytuacja, choć niewątpliwie nie do pozazdroszczenia, była w sumie jeszcze całkiem znośna. W każdej chwili mogłem prysnąć z tego miejsca na kilka sposobów. Przed chwilą zyskałem nowy, może nie najwygodniejszy,

ale za to całkiem pewny sposób. Wprawdzie strzelenie sobie w łeb z długiego karabinu wymaga nieco zdolności ekwilibrystycznych, ale przynajmniej gwarantuje dość dużą skuteczność. Zamierzałem skorzystać z dobrodziejstwa lufy włożonej w usta, co wydawało mi się lepszym i przyjemniejszym rozwiązaniem niż pętla zarzucona na szyję, która czasami może zadziałać dopiero po kilku minutach.

Spojrzałem pożądliwie na leżący przede mną podłużny przedmiot zawinięty w tłustą szmatę i przez moment walczyłem sam z sobą. W końcu jednak uznałem, że skoro udało mi się wytrzymać tyle czasu, to może jakoś zniosę jeszcze tych kilka dni. Wciąż tłukła mi się po głowie myśl, że może w ten sposób pomogę Rafałowi i jego córce, choć na pewno i tak nigdy nie dowiem się, czy faktycznie moje starania dały cokolwiek.

Ilu z Nich było w położeniu podobnym do Kniazia? Może nikt, ale sama myśl, że choćby tylko ten młody mężczyzna pod wpływem chwili targnął się na własne życie i wpakował się w takie bagno, była trudna do zniesienia. Ta mała z pewnością nie miała pojęcia, jaką krzywdę mu wyrządza i jak bardzo jej bzdurne słowa okażą się brzemiennie w skutki. Zastanawiałem się, czy mogę zrobić cokolwiek, by pomóc również jej, by nie musiała się w nieskończoność błąkać po lasach „mojego świata” gdzieś w okolicach Guciowa. Nie wymyśliłem nic sensownego, za to wiedziałem, że mogę i chcę pomóc Andrzejowi.

Postanowiłem, że przy najbliższej okazji zaproponuję mu mały, niewinny układ.

Oczyrna wyobraźni widziałem, jak mówię do niego:

— Cześć, Andrzej. Mam dla ciebie małą propozycję. Przystawię ci teraz karabin do czaszki i pociągnę za spust, O.K.?

— Ale jak to? — zapyta on. — Przecież to na nic. I tak się przecież jutro obudzę na Czarnym Wygonie...

— I tu się mylisz, kolego. W pakiecie promocyjnym zaciągniemy z Jaśkiem twojego trupa do kościelnego przedsionka i będziesz miał kłopot z głową. Nie tylko dziś, ale też jutro, pojutrze i na wieki. No i jak, wchodzisz w to?

Nie wiedzieć czemu byłem więcej niż pewien, że przystanie na moją ofertę z ochotą. Wziąłem w ręce karabin.

— No, mój mały — powiedziałem. — Przeleżałeś trochę w samotności, ale za to teraz wielkie czyny przed tobą.

Przynajmniej dwukrotnie będziesz miał okazję wspomnieć stare, dobre czasy...

*

W kościelnej zakrystii panowało przyjemne ciepło.

Od mojego wyjścia właściwie nic się nie zmieniło. Jasiak z ojcem siedzieli bez słowa przy stole, Albin spał na swoim łóżku, a Katarzyna w dalszym ciągu kręciła się przy kuchni.

Wolałbym mieć całe pomieszczenie tylko dla siebie. Byłoby mi łatwiej skupić się nad tym, co zamierzałem napisać w brulionie, ale na taki luksus samotności nie było szans. Mogłem wprawdzie pisać w domu Grelów, ale brakowało w nim świateł i było na tyle chłodno, że ręka natychmiast by mi skostniała. Poza tym miałem pewność, że co chwila rozpraszałyby mnie jakaś postać łypiąca zza okna obrzydliwymi białkami. Jeszcze zanim wyszedłem, udało mi się zobaczyć dwie sylwetki zmierzające do wsi od strony lasu, więc takie nędznej jakości towarzystwo było gwarantowane. Zapewne Książ doniósł im, że kręcę się po wsi.

Nikt nawet nie zapytał o dziwną rzecz, którą przyniosłem ze sobą. Wsunąłem karabin i woreczek z nabojami pod swoje łóżko usytuowane w samym kącie pomieszczenia. Poprosiłem Cieplakową o kubek gorącej herbaty, zdjąłem buty i usiadłem po turecku na swoim posłaniu, opatulając nogi w grubym kocu.

Na razie przez okno padało wystarczająco dużo światła, więc nie musiałem zapalać świec. Katarzyna przyniosła herbatę i postawiła ją w zasięgu mojej ręki na sfatygowanym taborecie.

— Dziękuję — rzekłem.

— Może byś co zjadł? — zapytała. — Od rana nic żeś w ustach nie miał...

— Nie, dziękuję. Herbata na razie wystarczy.

Skinęła głową i wróciła do swoich zajęć.

Sprawdziłem, czy ołówek jest wystarczająco zastrugany i otworzyłem zeszyt. Zanim postawiłem pierwszą literę, rzuciłem okiem w przeciwną stronę.

Józek Kowalik siedział nieruchomo, swoim zwyczajem przyglądając mi się uważnie, gdy nie patrzyłem w jego stronę. Przez chwilę udało mi się napotkać jego wzrok, po czym znów przymknął oczy. Widać tylko oddzielając się powiekami od świata czuł się bezpiecznie.

Nie obchodziło mnie, co dzieje się w jego rozczochranej mackówce.

Musiałem się skupić na znacznie ważniejszych sprawach.

„Czasu jest coraz mniej” — pomyślałem i zabrałem się do pisanania.

Starzyzna

X

Przeprowadzka rozpoczęła się o świcie.

Na pierwszy ogień poszły koce, pierzyny, poduszki i sienniki. U Grelów było ich zbyt mało, więc braki trzeba było uzupełnić w domach Cieplakowej i Albina. Szybko okazało się, że zmiana miejsca zamieszkania zajmie nam więcej czasu, niż początkowo sądziliśmy. Załadunek niewielkiego wózka, przejście do kościoła, wniesienie rzeczy do środka i powrót — wszystko to za każdym razem trwało około dwóch godzin.

Sprawę utrudniał fakt, że przez cały czas musieliśmy trzymać się blisko siebie. Wprawdzie nikogo innego nie było w zasięgu wzroku, lecz i tak trzeba było zachować czujność. Łatwiej i szybciej byłoby, gdyby Cieplakowa została w kościele i od razu robiła porządek z tym, co już zdołaliśmy przytargać, ale — pomimo moich zapewnień, że będzie tam bezpieczna — nawet nie chciała o takim rozwiązaniu słyszeć. Zeschnięte ciała Komisarczuków, spoczywające w przedsionku świątyni, napały ją przerażeniem i trudno było się temu dziwić. Nie zgodziła się zostać nawet z Albinem, więc paradowaliśmy całą piątką przez pół wsi.

Po czterech kursach zrobiliśmy przerwę na obiad i odpoczynek.

Zanim zaczęło się zmierzchać, udało nam się jeszcze trzykrotnie przejść tam i z powrotem, transportując niezbędne ubrania wraz z częścią podstawowego wyposażenia, takiego jak: krzesła, taborety, miednice, wiadra, kubki i świece. Za ostatnim razem wzięliśmy od Ciepłakowej stół, trochę przywieszzonego przeze mnie jedzenia do spożycia na zimno, wodę, a także parę kubków i talerzy. To, co zostało, a podejrzewaliśmy, że może nam się też przydać, musiało poczekać do następnego dnia.

Garnki wraz z jedzeniem do przygotowania na ciepło na razie zostały u Grelów. Ustaliliśmy, że tymczasowo będziemy gotować raz na jakiś czas w ich domu, dopóki nie uda się zorganizować czegoś w nowym miejscu.

Na razie wszystkie przeniesione rzeczy składaliśmy w kościele, przy wejściu do zakrystii — to właśnie ona miała stać się dla nas schronieniem na kolejne długie miesiące.

Było jasne, że trzeba będzie w niej sklecić jakieś źródło ciepła. Bez niego dalibyśmy radę przemieszkać do jesieni, lecz na zimę musielibyśmy znów wrócić do któregoś z domów, a nikt z nas przecież nie miał na to ochoty. Na szczęście Jasiek z ojcem stwierdzili, że są w stanie wymurować kuchnię kaflową, ale ponieważ miało to zająć przynajmniej kilka dni, trzeba było tymczasowo urządzić się w nawie głównej.

Już w blasku świec segregowaliśmy przyniesione graty. Posłania spoczęły obok siebie, pod jedną ścianą. Pod przeciwległą poskładaliśmy resztę rzeczy, natomiast otoczony wianuszkami krzesel i taboretów stół umiejscowiliśmy niedaleko konfesjonahu, tuż pod oknem, by w czasie dnia było nam w miarę jasno.

Cały kościół był wychłodzony po zimie, ale niska temperatura nie była nam straszna, tym bardziej że właśnie miały się zacząć cieplejsze dni. Wystarczyło rozejrzeć się wokół, by dojść

do wniosku, że co innego będzie doskwierać nam o wiele bardziej.

Zapaliliśmy kilkanaście świec, by w miarę możliwości rozjaśnić przestrzeń, ale efekt był chyba jeszcze gorszy, niż gdybyśmy mieli siedzieć po ciemku. Miałem wrażenie, że niestabilne, lekko drgające płomienie odkrywają przed naszymi oczyma tylko część tajemnic, maskując umiejętnie to, czego zobaczyć nie było wolno. Ławki rzucały na podłogę długie, ruchome, pełzające gdzieś w stronę ciemniejszych zakamarków cienie. Postacie z obrazów patrzyły na nas wzrokiem, w którym łatwo było wyczytać święte oburzenie, że śmiemy naruszać ich spokój, a rzeźbione w drewnie twarze błogosławionych zdawały się żyć, wykrzywiały się ze złością w rytm podrygującego, żółtawego światła.

Co chwila któreś z nas spoglądało w kierunku głównego wejścia w obawie, że leżące przed chwilą w przedsionku ciała Komisarczuków staną w drzwiach i zechcą dołączyć do naszej kompanii. Każdy szmer, każdy krok czy półgłosem wypowiedziane słowo niosło się niestosownie głośnym, niemal obrazoburczym echem, wracając do naszych uszu już nie jako dźwięki, które my wywołaliśmy. Zdawało się, że to otaczające nas postacie i duchy dawnych parafian próbują nawiązać z nami rozmowę.

Siedzieliśmy przy stole, zanurzeni w gęstniejącej z każdą chwilą atmosferze. Było zbyt wcześnie na to, by położyć się i we śnie doczekać poranka. Trzeba było zrobić coś, co przerwałoby to napięte milczenie...

— Jutro zabierzecie się do budowy kuchni? — celowo powiedziałem to o wiele głośniej, niż było trzeba.

Pozostali drgnęli na dźwięk moich słów i spojrzeli zaskoczeni.

— Oszaleć przyjdzie, jak tak po cichu będziemy siedzieć — dodałem. — Lepiej więc zaplanujmy coś, żeby od razu z rana można było działać.

— Nie — odparł stanowczo Jasiak. — Zaczniemy od czego innego. Kuchnia nie zajac...

— A to niby od czego?

— Trumny jakie trza zbić, bo tak nie mogą tam leżeć.

— Brodatą głową wskazał w kierunku drzwi. — Zdałoby się ich pochować na cmentarzu?

— A jak po opuszczeniu kościoła znów zagną się kręcić po okolicy? — zapytałem. — Skąd możesz mieć pewność, że tak się nie stanie?

Zastanowił się przez moment i odparł:

— Masz rację. Lepiej nie kusić losu. Ale jakieś trumny trza im przygotować.

— Skąd weźmiesz na to deski? — zapytał stary. — Nie mamy chyba takich, co mogłyby się nadać...

— Wiecie, co można by zrobić? — włączył się do rozmowy Albin. — Mam w domu starą szafę... Może w niej by można było ich złożyć. Na wierzchu nabije się krzyż i będzie całkiem jak trumna...

— No to chyba mamy problem rozwiązany? — Popatrzyłem po pozostałych, a ponieważ nikt nie zaprotestował, mówiłem dalej: — Z samego rana przywieziemy szafę. Da się ją jakoś na ten wózek załadować?

Socha skinął głową.

— Jakoś tak na boku jak się ją położy, to się chyba da.

— No i dobra. Trumna jest, pochowamy ich w niej razem. Co z kuchnią? Trzeba się nią prędko zająć.

— Z gliną nie będzie problemu — odparł stary Grela.

— Jest tu niedaleko takie miejsce, gdzie możemy jej nakopać do woli. Gorzej z samym piecem.

— Można rozebrać moją kuchnię i tu przenieść — powiedziała Cieplakowa. — Nieduża jest i chybaby się nadała.

— Cegły możemy wziąć z komina Trześniowskich — Jasiak wyraźnie się ożywił. — Rozbierzem go i najlepsze się na pewno nadadzą. Wytnie się kawałek dachu w zakrystii i odprowadzenie zrobi. Co nie, tato?

— Tylko potem trza będzie porządnie uszczelnić, żeby do środka się nie lało...

Zaczęliśmy rozprawiać o planach przystosowania pomieszczenia do celów mieszkalnych i ponury nastrój prysł. Albin podrzucił pomysł, by w ścianie wyciąć otwór i wstawić większe okno; dwa małe, które dawały nieco światła, były zdecydowanie niewystarczające, jeśli chcieliśmy tam w zakrystii w miarę normalnie funkcjonować. Zaproponował też, że poświęci na to jedno z okien własnego domu.

Zaplanowaliśmy też, że w miarę wolnego czasu będziemy uszczelniać ściany od zewnątrz, aby w zimie nam chłód zbytnio nie dokuczał. Mieliśmy do tego celu użyć mchu, którego w okolicznych lasach było pod dostatkiem. Plany były szeroko zakrojone, lecz mnie zaniepokoiła jedna myśl:

— Słuchajcie, czy przypadkiem ta cała robota nie pójdzie na marne? — spytałem. — Czy rano następnego dnia po robocie wszystko nie będzie tak, jak dawniej?

— Nie — Jasiak pokręcił głową. — Nie raz i nie dwa żeśmy przy domu robili i wszystko zostawało tak, jak się należy.

Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że powrót do poprzedniego stanu nie dotyczy tego, co wiąże się bezpośrednio z egzystencją mieszkańców Starzyzny. Pozostawało mieć nadzieję, że i w przypadku realizacji naszych zamierzeń będzie podobnie.

*

Czas mijał i przyszłość jawiła się w dość jasnych barwach, dopóki nie trzeba było się położyć spać.

Problem polegał na tym, że nikt z nas wcześniej nie pomyślał o tak prozaicznej rzeczy, jak załatwianie potrzeb fizjologicznych. Było jasne, że tę kwestię trzeba będzie jakoś rozwiązać.

— Nie ma wyjścia — powiedziałem. — Każdy z nas będzie brał ze sobą różaniec. Z nim będziemy bezpieczni nawet za zewnątrz.

— Ja nie wyjdę! — zaprotestowała Cieplakowa prawie ze łzami w oczach. — Boże, jak pomyślę, że miałabym teraz sama... tam... Przecież Oni tylko na to czekają. Wojciechu, pójdziecie ze mną?

Zapadła cisza, podobna do tej, którą znaleźliśmy sprzed paru godzin. Jakby na potwierdzenie słów kobiety, z zewnątrz dobiegły przyciszone głosy. Usłyszeliśmy je po raz pierwszy tego wieczoru.

Wstałem, biorąc ze stołu różaniec.

— Idę pierwszy. — Głos mi zadrżał, ale nie na tyle, by w wypowiedzianych słowach zabrzmiał paniczny strach, który stalowym uściskiem właśnie złapał mnie za gardło. — Zobaczycie, że nie ma się czego bać.

— Czekaj — odezwał się stary. — Mamy przecież wiadro i możemy załatwić sprawę w inny sposób...

— Ale tato! — Jasiak wpatrywał się w niego ze zdziwieniem. — Tu? W kościele?

— A co, myślisz, że to taki wielki grzech? Chyba mamy na sumieniu gorsze... — Wstał i podszedł do sterty piętrzącej się pod przeciwległą ścianą, po czym wrócił z wiadrem i podał je Cieplakowej.

— Ty pierwsza. Idź do zakrystii i załatw swoją potrzebę. My potem, a rano się wyniesie.

— No, szybciej — ponaglił, gdy kobieta wahała się dłuższą chwilę. — Chyba że chcesz na zewnątrz...

— Nie. Dobrze, idę już — powiedziała cicho i zaraz potem zniknęła za drzwiami.

Gdy wróciła, w jej ślady poszli pozostali. Tylko ja stałem niezdecydowany, wciąż trzymając w dłoni różaniec. Z jednej strony kusilo, by zrobić tak, jak inni, jednak z drugiej — wiedziałem, że jeśli teraz się złamię, to być może już zawsze będziemy musieli załatwiać tę sprawę w podobny sposób.

Patrzyli na mnie wyczekująco. Nie było na co czekać. Wziąłem wiadro z zakrystii i zdecydowanym krokiem ruszyłem do wyjścia.

— Witek! — Jasiak był wyraźnie zaniepokojony. — Co ty robisz?

— Powiedziałem, że nie ma się czego bać — odparłem, nawet się nie odwracając. — Zaraz wrócę i zobaczycie, że miałem rację.

Po raz ostatni zawahałem się w kościelnym przedsionku, jak usłyszałem głosy tuż za drzwiami. Chwilę potem byłem już na zewnątrz.

Mogłem wylać nieczystości tuż obok schodów, ale chciałem, żeby Oni nie dostrzegli mojego strachu. Nogi ugiwały się przede mną, ale parłem naprzód, jakby nie obchodziło mnie, co dzieje się wokół.

Wyszedłem za bramę i wylałem zawartość wiadra na drogę, a następnie, zaciskając zęby, żeby nie było słychać, jak szczękają ze strachu, załatwiłem się, stojąc na środku gościńca.

Oczy przyzwyczały się do ciemności na tyle, że wracając już z kilkunastu metrów dostrzegłem cztery nieruchome sylwetki zagradzające mi drogę do świątyni. Zostawiłem drzwi otwarte na oścież, więc wyraźnie odcinały się na jaśniejszym tle. Trzech mężczyzn i jedna kobieta. Jeśli dobrze widziałem, nie było pośród nich postaci w habitach.

„Szkoda” — pomyślałem i przyspieszyłem kroku.

Gdy byli już parę kroków przede mną, krzyknąłem:

— Spierdalać mi z drogi, ale już! — Miałem nadzieję, że słychać mnie dobrze również we wnętrzu kościoła. — Won, skurwiele!

Jeden z mężczyzn rzucił się na mnie, ale ułamek sekundy po tym, gdy jego ręka zbliżyła się do mojego gardła, odskoczył z potępieńczym skowytym. Pozostali natychmiast się rozstąpili i pozwolili mi wejść na schody.

W drzwiach zobaczyłem Jaśka i Albina.

— Dobrze, że dokładnie wszystko widzieliście — powiedziałem, zamykając za sobą drzwi. — Przynajmniej was nie będę już musiał przekonywać.

Zanim jeszcze położyliśmy się na swoich posłaniach, zainteresowałem się wielkim zegarem, który stał obok sterty przyniesionych przez nas tego dnia przedmiotów. Stary, przedwojenny, trochę zakurzony, ale — jak mi się zdawało — wciąż sprawny.

Otworzyłem przeszklone drzwiczki i pociągnąłem w dół ciężarki na metalowych łańcuszkach. Mechanizm działał bez zarzutu, więc wprawilem w ruch ogromne, mosiężne wahadło i według mojego „Timexa” ustawiłem wskazówki na aktualną godzinę.

W kościele rozległo się miarowe „tik-tak, tik-tak, tik-tak...” Przypomniałem sobie początek pierwszego brulionu, zapisanego przez Rafała. Trzeźniowski miał w domu podobny zegar. Teraz pewnie cały ten skomplikowany mechanizm leżał gdzieś pod zawalonymi krokwiami. Na szczęście był jeszcze drugi, kościelny.

Akurat zbliżała się pełna godzina, więc z ciekawością czekałem na uderzenia, wybijające jej nadejście. Coś zazgrzytało we wnętrzościach maszynierii i po kościele potoczył się głęboki dźwięk, oznajmiający nadejście godziny dwudziestej drugiej.

— Będzie nas budził w nocy — Jasiak najwyraźniej nie był entuzjastą moich eksperymentów. — Lepiej go zatrzymaj.

Pogmerałem trochę przy młotkach, wyginając je odpowiednio, i już miałem gwarancję, że przez całą noc będziemy słyszeć tylko tykanie.

— Już nie będzie bił — powiedziałem. — A przy tykaniu lepiej się będzie spało.

Niedługo potem pogasiliśmy świece, pozostawiając jedną, stojącą na podłodze. Nakryliśmy się po uszy wszystkim, co było pod ręką, by nie zmarznąć, i Albin zdmuchnął ostatni płomyczek.

— Wiecie co? — odezwałem się. — Proponuję zmianę naszych planów.

— To znaczy? — spytał Jasiek.

— Jak już złożymy w trumnie... To znaczy w trumiennej szafie szczątki Komisarczuków, myślę, że zanim zabierzemy się za piec, trzeba pomyśleć o czymś innym.

Nikt się nie odezwał, więc dodałem:

— Potrzebny nam wychodek. Postawimy go tuż przy schodach, żeby w nocy nie było już takich problemów, jak dzisiaj...

— Możem przewieźć mój — usłyszałem w ciemności głos Albina. — Mnie i tak nie będzie już potrzebny. Wykopiem dół i będzie.

— Katarzyno... Mogę ci mówić po imieniu? — zapytałem.

— Tak — odparła. — Co chciałeś?

— Wybierzesz się tam nawet w nocy? Oczywiście z różańcem.

— Chyba nie muszę się już bać, prawda?

— Prawda. Dobrej nocy wszystkim.

Nikt nie odpowiedział.

Przez długi czas leżałem na wznak z dłońmi splecionymi za głową. Wsłuchiwałem się w miarowe oddechy śpiących i niosące się po kościele miarowe tykanie zegara.

Mimo wszystko, mimo to, że praktycznie nie było już dla mnie żadnej nadziei, wciąż się łudziłem, że z każdym „tik” i z każdym „tak” pozostaje mniej czasu do momentu, gdy się stąd wydostanę.

Do chwili, w której raz na zawsze opuszczę „Słoneczną Dolinę”.

Marząc o tym zapadłem w głęboki sen.

Otworzyłem oczy. Wokół panowała ciemność, ale wydawało mi się, że do moich uszu dotarł przed chwilą jakiś dźwięk. Siennik nie był zbyt wygodny, więc poprawiłem się i leżałem, zastanawiając się, czy coś mi się przyśniło, czy też może rzeczywiście...

Tak, teraz byłem już pewien, że to nie przywidzenie.

— Skąd tu się wziął pies? — powiedziałem półgłosem. — Ktoś z was też to słyszał?

Cisza.

Ostrożnie wstałem. Po omacku skierowałem się w stronę wyjścia, starając się nie potrącić żadnej z ławek. Udało się. Sprawdziłem, czy wciąż mam na szyi różaniec. Dotykając obłych, drewnianych paciorków, pchnąłem drzwi.

Oślepił mnie niespodziewany blask, przed którym natychmiast musiałem osłonić oczy. Pomimo to feeria ostrych barw zdążyła wdrzeć się pod powieki. Od nagłej jasności zakręciło mi się w głowie tak bardzo, że omal nie upadłem. Zdołałem się oprzeć o framugę i stałem tak przez jakiś czas, wciąż osłaniając oczy dłonią.

Wreszcie odważyłem się spojrzeć raz jeszcze, a potem zszedłem po schodach i stanąłem przed kościołem.

Po drodze przejeżdżał akurat wóz, ciągnięty przez dwa konie. Na koźle siedziała para ludzi w średnim wieku, którzy przeżegnali się, mijając bramę prowadzącą do świątyni. Obok wozu biegł poszczekujący pies; to właśnie on mnie obudził.

Widok, który roztaczał się przede mną, był jakże odmienny od tego, który znałem. Wieś wręcz tonęła w zieleni. Schludne domy otoczone kwitnącymi sadami przycupnęły obok gościńca. Szedłem drogą, patrząc na zajętych swoimi pracami ludzi. Na błękitnym niebie nie było ani jednej chmury, a słońce ogrzewało Starzyznę jasnym, ciepłym światłem. Od pastwiska, które miałem po prawej, słychać było beztroski świergot jakiegoś ptaka, unoszącego się nad niewielkim stadem pasących się krów. W powietrzu czuć było odurzający zapach kwiatów jałbłoni i rosnącego niemal przy każdym gospodarstwie liliowego bzu. Z rozkoszą wziąłem kilka głębokich oddechów.

Z naprzeciwka zbliżał się młody, znajomy mi mężczyzna, niosący na ramieniu kosę. Na mój widok uśmiechnął się i uklonił, uchylając kapelusza.

— Dzień dobry panu — rzekł z oddali Książ. — Piękny dzień, prawda?

— Rzeczywiście — odparłem. — Nadspodziewanie... Zaraz potem uścisnęliśmy sobie dłonie.

— Pan to u nas tym razem na długo?

— Nie, chyba nie. Wkrótce muszę wracać...

— Szkoda. Miałem nadzieję, że będzie pan na moim i Helenki weselu... Ona też bardzo by tego chciała.

Staliśmy przy domu Komisarczuków. Na podwórzu zobaczyłem Anielkę ze szmacianą lalką pod pachą, która szła z ojcem w stronę stajni, coś do niego szczebiocząc. Pożegnałem się z Andrzejem i ruszyłem dalej drogą.

Tak szczęśliwy byłem ostatnio chyba jeszcze wtedy, gdy bawiłem się ze swoim synem. Gdyby tylko mógł tu ze mną być...

— Jestem, tato.

Szedł obok i w tej chwili chwycił moją dłoń. Nie potrafiłem nic powiedzieć, tylko ze łzami w oczach patrzyłem na Krzysia. Uśmiechając się beztrudnie, powiedział:

— Uważaj na sny, tato. Uważaj na sny i nie daj się im oszukać. Pamiętaj...

W tej samej chwili niewidzialna siła rozwarła moje palce i popchnęła w stronę kościoła. Chciałem się jej oprzeć, lecz byłem zbyt słaby. Coś oddalało mnie od syna, który wciąż stał na środku drogi. Powietrze stało się gęste i wilgotne tak bardzo, że zacząłem się dusić. Domy wokół zaczęły się walić z trzaskiem, otoczenie spowija brunatna mgła. Nie widziałem już Krzysia.

Ostatnie, co pamiętam, to otwierające się przede mną drzwi kościoła. Potem znów wchłonęła mnie nieprzenikniona ciemność.

— Darłeś się w nocy tak, jakby cię ze skóry obdzierali — oznajmił Jasiak, gdy zobaczył, że już nie śpię. — Nie szło się ciebie dobudzić. Koszmary jakie żeś pewno miał?

— Nie pamiętam — skłaniałem. — Może i tak.

— W sumie to i nie dziwota. Mnie też jakieś durnoty się śniły. Wstawaj, bo do roboty trza się zabierać.

*

Przez cały dzień nie potrafiłem uwolnić się od sennej wizji. Jej zakończenie było nieprzyjemne, lecz ja i tak wciąż miałem przed oczyma kolorową, rozświetloną słonecznym blaskiem wieś i jej mieszkańców, jakże innych od odrażających indywiduów, kręcących się w okolicy. Innych też od smętnych, towarzyszących mi ludzi.

Wiedziałem już, że będę się bał kolejnych nocy. Nie tylko ze względu na ostrzeżenie, które przekazał mi mój syn i nie ze względu na budzące dreszcz na plecach zakończenie snu. Najgorszy był duszny poranek i docierająca do świadomości myśl, że być może już nigdy nie będzie mi dane ujrzeć błękitnego nieba.

Było mi żal wszystkich słonecznych dni, spędzonych przed ekranem komputera lub przed migającym idiotycznie telewizorem, targała mną wściekłość, że nie potrafiłem docenić tego, co mnie kiedyś otaczało, do szału doprowadzała mnie myśl, w jak beznadziejnie głupi sposób przez lata zobojeźniałem na otaczającą przyrodę. Wszystko to miałem przecież na wyciągnięcie ręki. Szkoda, że przyszło mi to docenić dopiero w tym śmierzącym beznadzieją miejscu.

Pracowałem jak słabo naoliwiony, dotknięty artretyzmem robot. Było mi wszystko jedno, jakie zajęcie było akurat przed nami. Z jednakową obojętnością podchodziłem do kopania kłoczego dołu w pobliżu kościoła, wyprawy po glinę czy złożenia w Albinowej szafie pokurczonych szczątków tego, co było niegdyś ciałami Komisarczuków. Nie chciałem jeść, nie miałem ochoty nawet na łyk wody.

Kiedy sadowiliśmy sławojkę na nowym miejscu i gdy po raz kolejny zobaczyłem stojące w niedalekiej odległości sylwetki, wpatrujące się we mnie ślepymi oczyma, pomyślałem, że przez lata byłem do nich podobny. Niby żyjący, a jednak cuchnący

padliną. Tyle że oni, w przeciwieństwie do mnie, pomimo braku żrenic, przynajmniej potrafili nie tylko patrzeć, ale też widzieć. I mieli jakiś cel. Po coś tu stali, wiedzieli, czego chcą. Marzyli o tym, by dobrać się nam do skóry.

Ja nie pamiętałem, bym przez ostatnie lata miał jakieś marzenia i cele warte poświęcenia im wszystkich sił. Teraz byłoby zupełnie inaczej.

Na pewno.

Tyle że teraz to już było chyba trochę za późno.

W dniu, w którym te wszystkie myśli kłębiły mi się w głowie, jeszcze mogłem się ludzić, że jest szansa. Mogłem mieć przynajmniej cień nadziei, że nie wszystko stracone.

Nieco ponad rok później okazało się, że były to tylko pozbawione podstaw mrzonki oddychającego trupa.

XI

Przez kilka pierwszych miesięcy czuliśmy się w kościele nie-swojo, ale ponieważ człowiek ponoć do wszystkiego jest w stanie się przyzwyczaić, to i nam też się ta sztuka udała.

Urządziliśmy się całkiem przytulnie.

Kuchnia kaflowa stanęła w zakrystii jeszcze w kwietniu. Dzięki temu, że niewiele padało, można było sprawnie rozebrać komin, pozostały po domu Trześniowskich, i przetransportować go pod dach świątyni. Później przyszła kolej na piec Ciepłakowej. Faktycznie, był dość nieduży. Do naszych potrzeb pasował wręcz idealnie, a z przeniesieniem kafli wraz z płytą i szybrami nie było większego problemu. Gliny było pod dostatkiem, więc Jasiek z ojcem mogli się spokojnie wziąć do roboty. Cała operacja skończyłaby się trochę wcześniej, gdyby tuż przed planowanym wypuszczeniem komina na zewnątrz nie nadeszło kilka deszczowych dni.

Każde z nas marzyło, by jak najszybciej przestało padać. Oczywiście, nie chodziło o to, że było nam zimno, ponieważ po zimowych chłodach nie pozostały już nawet nocne przymrozki. O wiele bardziej doskwierał fakt, że wciąż musieliśmy gotować w domu Grelów, co było dość kłopotliwe.

Wreszcie nadszedł dzień inauguracji. Początkowo piec trochę dymił, ale gdy pałacy się jasnym i mocnym płomieniem ogień na dobre zagościł pod płytą, wiadomo było, że akcja została uwieńczona pełnym sukcesem. W zakrystii zapanowało miłe ciepło, więc przenieśliśmy tam sienniki, stół i krzesła. Chyba dopiero wtedy pierwszy raz poczułem się w kościele jak u siebie. Patrząc na spokojne twarze innych, miałem wrażenie, że wszyscy oni czują dokładnie to samo, co ja.

Od tamtej pory nie było już możliwości, byśmy choć jedną noc spędzili w głównej nawie. Następnego dnia z mozołem przenosiliśmy z domów łóżka, by wreszcie porzucić niewygodne sienniki. Później w zakrystii pojawił się kredens, garnki trochę naczyń oraz to, co zostało nam z prowiantu.

Nazajutrz wieczorem, zaraz przed kolacją, gdy duże, dające sporo światła okno zostało zamontowane, Katarzyna położyła na stole śnieżnobiałą obrus. Przewodzątkę można było uznać za zakończoną.

Mieliśmy nowy dom.

*

Życie w kościele przypominało trochę funkcjonowanie w komunie. Mijały tygodnie, a my coraz bardziej się ze sobą zywaliśmy. Oczywiście, dochodziło czasem do sprzeczek, czy nawet ostrzejszych kłótni, lecz wspólna praca za każdym razem łagodziła spory, powodując, że bardziej niż na wzajemnych niesnaskach, skupialiśmy się na zapewnieniu sobie jako takiej przyszłości.

Prowadziliśmy przyzwoicie funkcjonujące gospodarstwo. W nawie głównej w miarę potrzeb gromadziliśmy sprzęt rolniczy, by w razie potrzeby za każdym razem nie trzeba było chodzić

do któregoś z domów. W czasie wolnym od prac polowych wybieraliśmy się do lasu po drewno na opał, które miało nam służyć jesienią i zimą.

Wreszcie doszło to tego, że nawa główna kościoła niewiele przypominała stan z momentu naszej przeprowadzki. Przestrzeń zagracona była tym, co potrzebne do uprawy ziemi, a po prawej stronie od wejścia piętrzył się coraz bardziej okazały stos porąbanych polan.

Miałem też swoje miejsce intymne — oddzieloną płachtą przestrzeń, w której mogłem się spokojnie umyć w miednicy przeznaczanej tylko do tego celu. Pozostali mieli o wiele łatwiej — żeby nie wiem jak umorusali się poprzedniego dnia, nazajutrz znów samoistnie wracali do poprzedniego stanu. Tylko czasami, po bardziej intensywnej pracy czy w upalne dni i oni potrzebowali kąpieli, aby dało się jakoś wytrzymać w zakrystii przed zapadnięciem nocy.

Wodę czerpaliśmy ze studni znajdującej się przy plebanii. W maju trzeba było ją podratować, bo kołowrót i łańcuch były w opłakanym stanie. Grelowie zdecydowali się na najprostsze wyjście — po prostu zamienili te elementy na takie same, tylko przyniesione z ich gospodarstwa. Na początku z każdym wychylanym kubkiem zastanawiałem się, ile wraz z wodą wchłonałem pozostałości po leżących nieopodal ludziach — jeśli dobrze pamiętałem w „moim świecie” odległość grobów od studni powinna wynosić kilkaset metrów, by można było bezpiecznie się napić. Później, kiedy okazało się, że nic mi nie jest, ta kwestia do cna mi zobojętniała.

Żniwa były udane jak na nasze prymitywne sposoby upraw. Zebraliśmy kilkanaście worków ziemniaków i mniej więcej tyle samo pszenicy, która świetnie nadawała się do pieczonych na piecu podpłomyków. Obrodziły także cebula i czosnek, jesienią gałęzie jabłoni aż uginały się pod ciężarem dorodnych jabłek. Trzeba było podjąć decyzję o przechowywaniu owoców naszej pracy. Odrzuciliśmy pomysł Jaśka, który proponował utworzenie niewielkiego kopca ziemnego obok kościoła. Trzeba było

pamiętać, że nie byliśmy we wsi sami i ktoś mógł spróbować nam odebrać zapasy, więc lepszym rozwiązaniem było oderwanie części kościelnej podłogi i wykopanie w gruncie małej piwniczki.

Do pozyskania oleju z siemienia lnianego trzeba było wykorzystywać te same żarna, które używane były też do mielenia pszenicy. Uzyskaną miazgę podgrzewaliśmy lekko przy piecu, a później wyciskaliśmy przez lniane płótno. Nie był to sposób zbyt wydajny, ale wystarczający, by mieć pewność, że i tego składnika pożywienia będziemy mieli pod dostatkiem.

Naszym podwórzem był cmentarz. Na ogrodzonej przestrzeni czuliśmy się bezpiecznie i nawet Oni rzadko kręcili się pomiędzy grobami. Rąbaliśmy na cmentarzu drewno, młóciliśmy zboże. Paradoksalnie — żywi opanowali miejsce, które od tysięcy lat niezmiennie przynależne jest umarłym oraz ich błędzającym po świecie duszom, które nie potrafią znaleźć drogi do nowego, prawdopodobnie lepszego świata.

Tak. W Starzyźnie wszystko stanęło na głowie.

Życie za pan brat ze zmarłymi dawało nam poczucie bezpieczeństwa. Byliśmy tuż obok nich. Któregoś razu przypomniałem sobie jeszcze jeden obowiązujący w „moim świecie” przepis odnośnie do lokalizacji cmentarzy, który mówił, że powinny być one tak sytuowane, aby wiatr najczęściej spotykany w danej miejscowości kierował powietrze od budynków mieszkalnych w stronę mogił. Mieliśmy cholerne szczęście, że nie było pośród nas jakiegoś nawiedzonego inspektora Sanepidu... Zwłaszcza że codziennie po kilka razy przechodziliśmy obok starej, niezbyt szczelnej szafy, zawierającej szczątki dwojga ludzi.

Po wykopkach głównym naszym zajęciem było ocieplanie zakrystii od zewnątrz. Kręciliśmy się po okolicznych lasach szukając mchu. Już udało nam się zgromadzić i ususzyć tak duży zapas prawdziwków, że mijaliśmy obojętnie okazy, za jakie w normalnych warunkach co bardziej napaleni grzybiarze

mogliby się z pewnością pozabijać. Prócz Kowalików i Dudy nie mieliśmy żadnej konkurencji, więc bywało, że napotykałiśmy nawet kilkadziesiąt borowików na przestrzeni kilkunastu metrów kwadratowych. Można je było ciąć kosą, ale to mech był wtedy najważniejszy.

Późną jesienią kościół wyglądał przedziwnie nie tylko w środku. Do solidnej, drewnianej bryły doczepione było coś, co wyglądało na dziwaczną narośl z dużym oknem pośrodku i dymiącym kominem, górującym nad tą częścią całego budynku. Konserwator zabytków nie byłby z pewnością zachwycony, lecz dla nas najważniejsze było, że udało się dobrze przygotować do nadejścia mrozów.

*

Przez cały ten okres, poza bieżącymi sprawami, zajmowały mnie dwie rzeczy.

Pierwszą z nich były sny.

Miałem ich dużo i każdego z nich się obawiałem. Różne. Koszmarne, kolorowe, wyraźne, mgliste... Takie, które doskonale pamiętałem, i takie, które zacieraly się natychmiast po przebudzeniu. Śniłem o Warszawie, Guciowie i Krasnobrodzie, a także o miejscach związanych z moim dzieciństwem. Nocą spotykałem starych, dobrych znajomych i ludzi, widzianych przeze mnie po raz pierwszy. Parę razy spuściłem w marzeniach sennych — tak, to w tym wypadku dobre określenie — niemożliwy łomot Sadoniowi. Kilka razy też sam porządnie oberwałem. W snach odwiedzałem kina, teatry i burdele. Bywałem w wykwintnych restauracjach pięciogwiazdkowych hoteli i w podupadłych spelunach, pełnych ledwo przytomnych, zapuszczonych pijaczków. Wpadałem pod samochód lub w ostatniej chwili przed nim uskakiwałem, latałem bez pomocy skrzydeł, chodziłem, jeździłem rowerem, prowadziłem samochód i strzelałem sobie w łeb. Senne wizje kończyły się rano i nic z nich ani dobrego, ani złego nie wynikało.

Śniłem o wszystkim i wszystkich.

Tylko nie o moim synu.

Wcześniej, jeszcze przed przeprowadzką, nocne majaki wiele mi dały. Czyżby tym razem spotkanie Krzysia w słonecznej Starzyźnie było tylko zwyczajnym snem, takim jak inne? Nie bardzo chciałem w to uwierzyć... Dlatego dużo myślałem o snach.

Myślałem też dużo o Adamie.

Codziennie, wychodząc na zewnątrz, pierwsze, co robiłem, to spoglądałem w niebo w nadziei, że zobaczę choćby najmniejszy skrawek słońca. Nasłuchiwałem śpiewu ptaków, wypatrywałem w powietrzu upierdliwych komarów, pszczoł, których zawsze się panicznie bałem, i niebezpiecznych szerszeni, które mogły mnie zabić. Wszystko to w nadziei, że jednak coś przeoczyłem, gdzieś się pomyliłem, i te informacje, które zawarte zostały w zapiskach przekazanych mojemu przyjacielowi, wystarczą, a może nawet... a może nawet pozwolą mi wrócić?

Za każdym razem było tak samo. Duszne, gęste powietrze, wypalające płuca od środka, zaciągnięte niebo, cholernicy ze ślepymi gałami i ja, uwięziony na obrzeżach przeklętej wioski.

Nic się nie zmieniało — również to, że mimo wszystko, wbrew logice i posiadanej wiedzy jednak chciałem spróbować. Niczym nie ryzykowałem. Chyba że...

Życiem?

Dobre sobie.

XII

Zbyt wiele minęło wieczorów przez ostatni rok, by moi współmieszkańcy nie poznali wszystkich szczegółów związanych z historią Gielmudy. Miałem wrażenie, że niektóre z nich

opowiadałem po kilkakroć, ale i tak zawsze słuchany byłem z ogromnym zainteresowaniem. Jak łatwo się domyślić, pozostałych lokatorów kościoła najbardziej ciekawiło to, co działo się obok historii Rafała — samochody, samoloty, asfaltowe drogi, papież Polak, historia „Solidarności”... Wszyscy wiedzieli jednak, że nie będzie już im dane tego zobaczyć na własne oczy — ich powrót do „mojego świata” musiał się wiązać z przyspieszeniem upływu czasu i rychłą śmiercią.

Woleli normalnie zestarzeć się i umrzeć w swojej wiosce, przez co dlatego z całego serca mi kibicowali. Wierzyli w powodzenie mojego planu o wiele bardziej niż ja sam, ale nie chciałem rozwiewać tych nadziei. Jediną rzeczą, jaką przed nimi zataiłem, było to, że szanse są właściwie żadne.

Tak, „właściwie żadne”, a nie po prostu „żadne”.

Miałem rok na przetrwanie wszystkiego, co mogło dotyczyć mojego powrotu. W przerwach pomiędzy myśleniem o snach a zastanawianiem się, czy Adam wydał już książkę, rozważałem napisane przez Rafała słowa na temat ziarenka nadziei, które czasem kielkuje i rozrasta się do granic pewności. U mnie po roku ta drobinka wciąż była nie większa od ziarenka maku.

Złudzenia wiązały się z tym, że w zasadzie przecież nie pojawiłem się w Starzyźnie z własnej woli. Owszem, wsiałem do samochodu i ruszyłem w pościg za Marcinem Kowalikiem, a to przecież nie jest jednoznaczne z tym, że chciałem opuścić „mój świat”.

„To po cholerę tam polazłeś?”

Takie proste pytanie sprawiało, że moje zakopane głęboko ziarenko nie chciało wypuścić nawet najlichszego pędu.

*

Wielki Piątek dwa tysiące szóstego roku wypadł późno, bo dopiero czternastego kwietnia. Było wyjątkowo ciepło jak na ten czas — do tego stopnia, że na krzewach bzów widać było spore pąki; niektóre z nich zaczęły już nawet pękać. Jak na

krajobraz pozbawiony słońca, było całkiem przyjemnie, nawet pomimo padającego od kilku dni deszczu. Znów czuło się w powietrzu oddychającą po kilkumiesięcznych chłodach ziemię.

Nie było jednak na tyle przyjemnie, bym mógł pomyśleć, że chcę tu zostać na stałe.

Wieczorem usiedliśmy wokół stołu. W gęstej, pełnej napięcia ciszy słyhać było jedynie odgłos bębniącej o dach ulewy. Czulem się jak myśliwy, mający za chwilę wyruszyć na łowy, od których zależy przyszłość całej rodziny. Tym bardziej że po raz kolejny sprawdzałem trzymaną w dłoniach strzelbę.

— Jesteś pewien, że jest sprawna? — zapytałem Jaśka.

— Wolałbym, żeby nie zawiodła w kluczowym momencie.

Spojrzał na mnie tak, jakbym właśnie go obraził.

— No pewno, że tak. Sprawdzałem kilka razy, naoliwiona też jest jak się patrzy.

— Warto byłoby ją wypróbować na wszelki wypadek...

Wziął z moich rąk karabin, załadował, po czym założył różaniec na szyję i wyszedł z zakrystii. Niedługo potem usłyszeliśmy huk wystrzału.

— Teraz już powinienżeś być pewien — mruknął po powrocie, kładąc broń na blacie.

Może i faktycznie byłem pewien tego, że wypali. Gorzej z moimi umiejętnościami strzeleckimi. Naboji było sporo; teraz żałowałem, że nie potrenowałem wcześniej strzelania. Teraz było za późno. Do północy pozostały niecałe dwie godziny.

Nie zamierzałem brać niczego z sobą, ponieważ trudno mi było wyobrazić sobie, że chciałbym mieć z tego miejsca jakąkolwiek pamiątkę.

Jasiek z namaszczeniem zdjął z szyi różaniec i położył go przede mną, tuż obok karabinu.

— Co robisz? — spytałem.

— Jak to co? Przecież musisz go zabrać ze sobą. Inaczej możesz nawet nie dojść do samochodu.

— Nie mogę wam go zabrać. Tutaj będzie bardziej potrzebny...

Stary Greła pokręcił głową.

— Od tego, czy dasz radę stąd odejść, zależy też nasz los — rzekł — to i my będziemy decydować o tym, co się z nim stanie.

— Bez różnica nie macie szans.

— Może tak, a może nie. Ty nie masz na pewno.

Zrobiło się cicho jak w kościele.

Milczenie przerwała Katarzyna:

— A gdyby tak ktoś z nas z nim poszedł?

To miało sens. Jasiek natychmiast podchwycił pomysł i zaczął przygotowywać się do drogi.

— Ja też pójdę. — Albin odsunął krzesło i wstał od stołu. — Jak nas będzie więcej, to i bezpieczniej.

— Nie pójdziesz — powiedział stary. — Wystarczy, jak pójdziecie we dwóch? — zwrócił się do mnie. — Jak nie, to ja...

— Wystarczy w zupełności.

I na tym stanęło.

*

Na pół godziny przed północą byliśmy gotowi do wymarszu.

Pożegnanie trwało krótko. Katarzyna się trochę popłakała, pewnie bardziej ze strachu, że może mi się nie udać, niż z powodu rozstania; jakoś nie miałem wrażenia, że znajomość z kimś takim, jak ja mogłaby wywołać u kogoś jakieś bardziej pozytywne emocje. Na wszelki wypadek zapewnilem ją, że nie musi bać się o Jaśka, bo jemu na pewno nic się nie stanie.

Z Albinem i starym Greła po prostu uścisnęliśmy sobie dłonie.

— Będziemy każdego dnia wypatrywać słońca — te słowa Cieplakowej były ostatnimi, jakie usłyszałem w kościele.

Zachowałem dla siebie refleksję, że jest to dość mało skuteczny sposób na zmianę sytuacji.

*

W normalnych warunkach dotarcie do miejsca, w którym stał samochód Rafała, zajmowało około dziesięciu minut, jednak w egipskich ciemnościach i przy ulewnym deszczu trwało to znacznie dłużej.

Trzymałem się za Grelą, który — zupełnie nie wiem, jakim cudem — bezbłędnie odnajdował drogę. Chociażby z tego powodu dobrze, że ze mną poszedł. Sam pewnie trafiłbym do auta, jak zrobiłoby się już jasno.

Droga ciągnęła się w nieskończoność i już zacząłem obawiać się, czy zdążymy przed północą, gdy usłyszałem głos Jaśka:

— Widać go już. Zaraz będziem na miejscu.

Rzeczywiście. Chwilę potem staliśmy przy białym oplu, którego nie widziałem od dobrych paru miesięcy.

Karabin jak na razie okazał się zupełnie zbędny, jednak trudno powiedzieć, czy w otaczającym nas mroku nie mieliśmy towarzystwa.

— Może ci zostawię broń? — odezwałem się. — Chyba nic mi nie zagraża...

— Nie wiadomo. Mogą przecie ci stanąć na drodze. Zresztą, mnie i tak nie jest potrzebny.

Musieliśmy rozmawiać głośno, ponieważ szum padającego deszczu zagłuszał wszelkie inne dźwięki.

— Zdaje się, że już powinny zaczynać? — zapytałem.

— Masz może zegarek z podświetlaną tarczą?

Nic nie odpowiedział na mój średniej jakości żart. Miałem jeszcze kilka w zanadru, ale mina mi zrzedła, gdy uświadomiłem sobie, że przez ulewę możemy nie usłyszeć bicia dzwonów. Na szczęście w tym samym momencie usłyszałem sygnaturkę.

— Cały czas prosto — powiedział. — Będę się modlił, żeby ci się udało.

Stałem jeszcze bez słowa do momentu, gdy nie zaczął bić „Święty Józef”.

— Żegnaj, Jasiek.

Nawet nie uściśnałem mu ręki. Po omacku odbezpieczyłem broń i szybkim krokiem ruszyłem przed siebie.

Wciąż było ciemno, lecz oczy przyzwyczyły się na tyle, bym mógł odróżnić przed sobą jaśniejszą wstęgę drogi.

Zacząłem biec.

Było grząsko, moje buty ślizgały się i zapadały w mokrą, błotną maź. Po przebyciu kilkudziesięciu metrów oddychałem ciężko, ale nie zwalniałem. Doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że jeśli w ogóle jest dla mnie jakaś szansa, to muszę ją wykorzystać właśnie teraz. Miarowe bicie dzwonów niosło się nad moją głową, a ja uparcie zmierzałem ku temu, o czym od tak dawna marzyłem.

W pewnym momencie straciłem równowagę i runąłem do przodu, wgniatając karabin w błoto i lądując twarzą w lepkiej mazi. Jakiś czas trwało, zanim się podniosłem, ale dzwony były nadal. Wydawałem z siebie świszczące dźwięki, prawie się dusiłem, lecz wciąż biegłem.

Nagle dotarło do mojej świadomości, że prawie nie słyszę już metalicznych uderzeń. Tyle że wcale dzwony nie przestawały bić.

Byłem już daleko. Zbyt daleko, by wciąż je dobrze słyszeć.

— A więc jednak to prawda — wycharzałem, zatrzymując się i klękając w błocie.

Do oczu zaczęły napływać łzy.

„Na pewno zdążyłbym dobiec do drogi, na pewno... Byłbym już na drodze...”

Ledwie słyszalne dzwony już zaczynały milknąć. Najpierw sygnaturka, potem średni, a na końcu „Józef”.

Ruszyłem z powrotem.

Wtem dotknęło mnie niezwykle wrażenie. Nie wiadomo dlaczego przyszedł mi na myśl mój przyjaciel. Przekonanie, że jest tuż obok, było na tyle silne, że musiałem się odezwać...

— Adam? Jesteś tu...?

Po raz ostatni w moim sercu zagościła nadzieja, by natychmiast zniknąć.

— Być może jesteś teraz w tym miejscu. Być może pojawiłeś się, sądząc, że wrócę... Nie, przyjacielu. Nigdy się już nie zobaczymy.

Po lesie, odbijając się między drzewami, potoczył się opętańczy chichot, przeradzający się w śmiech.

Byli tu. Cały czas byli obok mnie. Czekali w ciszy, by obserwować moją porażkę, a teraz triumfowali.

Usiadłem.

— Nie dam wam tej satysfakcji, skurwiele — krzyknąłem.

Potworny rechot ustał jak ucięty nożem.

Zaczęli się zbliżać. Nie widziałem ich, ale wyraźnie słyszałem, jak idą w moją stronę. Kroki były wokół mnie.

Odetchnąłem głębiej.

Chwyciłem mocno karabin. Trzymając prawą ręką kolbę, oddaliłem ją od piersi najdalej, jak to było możliwe. Mocowałem się przez chwilę, ale wreszcie udało mi się włożyć lewą ręką lufę między zęby.

Na języku poczułem lepkie błoto.

„Śmierdzi mułem” — stwierdziłem w myślach z obrzydzeniem, a potem nacisnąłem spust.

Rozdział szósty

1.

— Józek, co się stało z twoim karabinem? — zapytałem.

Wciąż siedział z przymkniętymi oczyma. Gdy pisałem, nie poruszył się ani razu. Teraz popatrzył na mnie zdziwionym wzrokiem.

— Miałeś karabin, prawda? Dzięki niemu nie pozwoliłeś, by Marcin ich zatrzymał w tamten Wielki Piątek. Cały czas masz go w domu?

Musiałem mówić do niego jak do małego dziecka. Był trochę opóźniony w rozwoju, więc wszystko docierało do niego z opóźnieniem. Wreszcie pokiwał głową

— W do... do... domu je.. .e... jest.

— Przyniesiesz go jutro, dobrze?

— Przy... przyniosę.

Odłożyłem brulion, wstałem z łóżka i usiadłem z innymi przy stole.

— Józek też brał udział w walkach w czasie wojny?

— Ano, tak — odparł Jasiek. — Niezbyt jest rozgarnięty, ale strzelać to potrafi jak mało kto.

— Mało kto nie walczył — dodał stary. — Wszystko zaczęło się pod koniec listopada czterdziestego drugiego, jak Niemcy

zaczęli wysiedlenia. Trza było stanąć do walki, nie było wyjścia.

Przypomniałem sobie, że w domu Rafała znalazłem przewodnik po Roztoczu i natrafiłem tam na wzmiankę o dużej bitwie partyzanckiej pomiędzy niemiecką żandarmerią a Pierwszą Kadrową Kompanią Batalionów Chłopskich, która miała miejsce niedaleko stąd.

— Tak, czytałem. Największa była bitwa pod Wojda, prawda? Mieliście trzy plutony, a dowodził wami... Jak on się nazywał?

— Porucznik Mara-Meyer, pseudonim „Vis” — pomógł mi Jasiak. — Tyle że plutonów było cztery.

Przez moment się zastanowił i zaczął wyliczać na palcach:

— Pierwszy Danielewicza, drugi Drwęckiego...

— Dereweckiego — poprawił go ojciec.

— Tak, Dereweckiego, trzeci Mysłakowskiego, no i nasz, czwarty, Jakuszkina.

— To był ktoś od Wołodina? Zdaje się, że mieliście wsparcie też radzieckich partyzantów?

— Nie. Janusz Jakuszkin to Polak, zdaje się z zachodu tu trafił... Nazwisko tylko miał takie dziwne. Wcześniej był podporucznikiem w polskiej armii. Walczył w trzydziestym dziesiątym, a potem sprowadził się do nas i namawiał nas do walki. Z początku nikt się za bardzo nie rwał, ale jak się zaczęły wysiedlenia, trza było się włączyć. Wystarczyło ludzi na pluton, a Jakuszkina zrobiliżemy jego dowódcą.

— Ludzie pochodzili stąd, ze Starzyzny?

Jasiak przytaknął.

— Przed wojną to była duża wieś.

Po chwili dopiero domyśliłem się, dlaczego w przewodniku nie było żadnej wzmianki o plutonie Jakuszkina. Wciąż nie mogłem się przyzwyczaić do działania kłótwy zatajenia.

— I co było dalej?

— Trzydziestego grudnia, jak była bitwa pod Wojda, mieliśmy największe straty. Niemcy nas otoczyli, sporo nas zginęło, było kilku rannych. — Skinął głową w stronę Albina. — To wtedy stracił rękę.

— Pochowaliśmy naszych i wrócili do wioski — mówił dalej. — Samego Jakuszkina Niemcy rozstrzelali. Nie wiedzielibyśmy o tym, gdyby nie Jakub Trześniowski, który do Starzyzny wrócił dopiero dzień po nas. Ponoć zgubił się w lesie.

— Gó... gówno się ta... a... am zgu... zgubił — dobiegło z kąta. — Jego te... też zła... pa... pali, ale u... uciec mu się u... u... dało.

— Zamknij się, Józek — warknął stary. — Niby skąd ty możesz wiedzieć, co się z nim działo?

— He... Helenka mi kie... kiedyś po... po... powiedziała, że go zła...pa...pali, ale u...ciekł by...był.

— Helenka? Czy ci się już całkiem we łbie poprzewracało? — Jasiak aż wstał od stołu, podszedł do Kowalika i pochylił się nad nim, wlepiając w niego wzrok. Józek swoim zwyczajem przymknął powieki. — A kiedy to ona mogła ci coś powiedzieć, co?!

— He... e... lenka mnie lu... lubiła. Ro... o... zmawiała ze mną cza... czasem, jak się chcia... ała przed kim wy... wyzalić.

Zaczynało być dla mnie jasne, skąd Rafał wiedział, co działo się u Kowalików. Wszystko, co na ten temat pisał w poprzednim brulionie, musiała przekazywać mu córka Trześniowskiego.

— To niby dlaczego nam Jakub o tym nie powiedział, co? — zapytał stary Greła.

— Aj... ja, to ni... niby skąd ma... am wie... wiedzieć? Mo... może ni... nie chciał, to i ni... nie po... powiedział.

Jasiak wrócił i usiadł z powrotem na swoim miejscu.

— Rozumiesz coś z tego, tato? Myślisz, że to może być prawda?

— A bo ja wiem? — ten wzruszył ramionami. — Nigdy nie przyjdzie nam się dowiedzieć, jak było naprawdę. Zresztą, co to teraz za różnica...?

2.

Następnego dnia rano Józek przyniósł karabin z domu.

W wyprawie po broń towarzyszył mu Jasiak z różańcem na szyi. Kowalikowi nie ufaliśmy do końca, więc nie mogliśmy mu też powierzyć najcenniejszego przedmiotu, który był w naszym posiadaniu.

Całe przedpołudnie spędziłem na nauce strzelania. Jasiak okazał się dobrym nauczycielem, ale sprawność Józka w posługiwaniu się karabinem była wręcz zadziwiająca. Gdybym nie zobaczył tego na własne oczy, nie uwierzyłbym, że można tak celnie strzelać. Właściwie nie było obiektu w promieniu pięćdziesięciu metrów, w który ten niepozorny, wyglądający na ociężałego umysłowo, drobny mężczyzna nie zdołałby trafić. Nawet nie próbowałem mu dorównać. Chodziło mi tylko o to, bym jako tako wiedział, jak postępować z bronią i żebym nie zastrzelił się, gdy sam nie będę chciał tego zrobić.

Karabin Kowalika był dokładnie taki, jak ten, który przestał być już użyteczny po incydencie z ubiegłego Wielkiego Piątku, dzięki czemu mieliśmy naboje pod dostatkiem; do tych znalezionych w ruinach pozostałych po domu Trześniowskich Józek dołożył także swoje.

Uważałem, by nie zmarnować ich za dużo, ponieważ każdy mój strzał wiązał się z utratą jednej sztuki amunicji. W przypadku moich towarzyszy prawdopodobnie problem ten nie istniał; było w zasadzie pewne, że wystrzelone przez każdego z nich pociski nazajutrz znajdziemy w nienaruszonym stanie. Mimo to, tak na wszelki wypadek, przed wyjściem schowałem

kilka sztuk pod poduszką na swoim łóżku.

Żaden z nich nie zapytał mnie, dlaczego nagle chcę się nauczyć strzelać; zresztą, nawet gdybym usłyszał takie pytanie, to i tak bym nie odpowiedział. To jeszcze nie był dobry czas na podzielenie się z innymi tym, co urodziło mi się w głowie już dużo wcześniej. Zamierzałem tę kwestię poruszyć dopiero wieczorem, przy kolacji.

Nie tylko nauczyłem się jako tako obsługiwać karabin, ale też dowiedziałem się, jak powinienem go nosić. Gdybym przeszedł taki instruktaż rok wcześniej, nie doszłoby z pewnością do pechowego finału mojej próby wydostania się ze Starzyzny — nie potrafiłem inaczej myśleć o tym, że przygnieciony ciałem i wgnieciony w błoto karabin nie wystrzelił.

Jeśli miałbym opisać to krótką notką na łamach swojego czasopisma, brzmiałoby to mniej więcej tak:

Tytuł: „Nieszczęśliwy wypadek na drodze do Guciowa”.

Tekst: „Do nieszczęśliwego wypadku doszło w wielkopiątkową noc na leśnej drodze nieopodal miejscowości Starzyzna, w powiecie zamojskim. Pięćdziesięcioletni mieszkaniec Warszawy, Witold U., w wyniku nieumiejętnego posługiwania się pożyczonym karabinem, nie zdołał w sposób skuteczny dopełnić samobójstwa. Uszkodzona w wyniku poważnego zabrudzenia broń nie wypaliła w odpowiednim momencie, przez co kula przypadkowo nie utkwiała w głowie desperata.”

Czy coś w tym rodzaju.

Gdy miałem już dość huku wystrzałów, zarządziłem koniec zajęć. Zadziwiający był fakt, że — mimo dość długiego czasu ich trwania — hałas nie przyciągnął żadnej łajzy z Czarnego Wygonu. Nie to, żebym się tym martwił, ale akurat wtedy, gdy byli przydatni, nie było ich pod ręką. Byłoby na kim potrenować celność, a widok, jak spieprzają w podskokach, też z pewnością ucieszyłby moje oczy.

*

Był piąty kwietnia dwa tysiące siódmego roku.

Menu kolacji nie różniło się od innych, mimo że był Wielki Czwartek, a więc prawie święto. Poprzedni rok nie był tak dobry, jeśli chodzi o zbiory, jak jeszcze wcześniejszy, ale pożywienia było akurat tyle, ile trzeba, by dotrzeć do wiosny.

Tego dnia Józek po raz pierwszy usiadł z nami przy stole. Spełnił moją prośbę i poszedł po karabin, chociaż wcale nie musiał tego robić. Później uczył mnie strzelać, więc przynajmniej w małym stopniu stał się jednym z nas. Poza tym nie wypadło, by w taki dzień trzymać go w kącie jak byle kundla. Na dodatek chyba każdemu z nas było go trochę żal. W końcu ostatnio przeżył nie lada traumę.

Rozmowy o niczym — takie, jak każdego dnia trwały w najlepsze. Nikt nie spodziewał się, że za chwilę przerwę ten błogi nastrój. Czekałem z tym prawie rok i takie rozwiązanie było moim zdaniem całkiem rozsądne. Nie było sensu, by gryźli się i zastanawiali nad podjęciem decyzji przez długie miesiące. Dobra powinna wystarczyć.

Wstrzeliłem się w moment ciszy:

— Jasiu, pamiętasz, co mi powiedziałeś w nocy z Wielkiego Piątku na Wielką Sobotę rok temu?

— Ale kiedy? — zapytał.

— No, zaraz potem, jak mnie znalazłeś na tej cholernej drodze.

— Chyba nie za bardzo...

Na moment się zamyśliłem i znów poczułem dreszcz na plecach. Byli już na wyciągnięcie ręki, ale nagle, jak królik z kapełusza, pojawił się mój wybawca, uzbrojony w różaniec. Nie wazyli się nas tknąć.

— Powiedziałeś, że w miejscu, w którym się rozstaliśmy, czekałeś do momentu, aż dzwony ucichną. Dopiero potem poszedłeś sprawdzić, czy mi się udało.

— No tak — kiwnął głową. — Tak żem mówił, no i co z tego?

— To z tego, że bardzo dobrze zrobiłeś.

—Aha — Wzruszył ramionami i ugryzł kawałek podplomyka. Wyglądało na to, że temat uznał za zakończony.

— Ale możesz się chwilę zastanowić? — nie zamierzałem tak łatwo odpuścić. — Pomyśl, co by było, gdybyś na to nie wpadł.

Wszyscy patrzyli na mnie w milczeniu tak, jakby spodziewali się, że mam im coś niesłychanie ważnego do powiedzenia. I chyba rzeczywiście miałem.

— Do tej pory przejścia pomiędzy tym a tamtym światem związane były z osobami, które pochodziły stamtąd. Najpierw Rafał, który znalazł się w Starzyźnie przypadkiem, a potem wyjechał razem z Trześniowskimi i Anielką. Potem pojawiłem się ja i też chciałem uciec, ale się stało jasne, że nie uda mi się tego zrobić. Nie przyszło wam do głowy, że wy sami też możecie zmienić swój los? Przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żebyście jutro przeszli na tamtą stronę razem z moimi zapiskami, przekazali je komu trzeba i sprawa wreszcie byłaby zamknięta. Klątwa zatajenia znikłaby raz na zawsze.

— A my? — zapytała Katarzyna. — Co by się z nami wtedy stało?

— No cóż, dla was czas na pewno by przyspieszył tak, jak dla tych, którzy stąd wyjechali.

Kątem oka zobaczyłem, że stary Grela spuścił wzrok. Zrozumiał, co przejście do „mojego świata” oznaczałoby dla niego. Był mniej więcej w wieku Trześniowskiego i zapewne zmarłby natychmiast po opuszczeniu Słonecznej Doliny.

— A co z ojcem? — Jasiak również pojął. — Przecież on...

— Dobrze wiesz, co by się stało — odparłem wprost. — Wy żylibyście jeszcze przez jakieś kilka miesięcy. Wiem, że to krótko, ale nie wiem, co lepsze... Chcecie tu zostać na zawsze? Wasz wybór. Jeśli będziecie się pilnować, nic się nie zmieni. Nigdy.

Jeśli popełnicie błąd — skończycie powieszni tak, jak Duda i matka Józka ostatnio. Im też się zdawało, że są bezpieczni i nic nie może im się stać, a jednak skoro nie było sposobu na nas, to Dobrowolski ze swoją świtą zabrali się i za nich, by zrealizować swój szatański plan. Zrobią wszystko, by dopaść jeszcze tę jedną, ostatnią osobę, a wtedy niech Bóg — choć to mało prawdopodobne — ma was w swojej opiece. Was i może także ten drugi świat. Któż to może wiedzieć...? Tam też jest wystarczająco dużo zła i starczyłoby na niejedną kłatwę, a Dobrowolski tylko czeka, by to wykorzystać. Ale o tym nie myślcie, bo to nie wasza sprawa. Po prostu zastanówcie się, co będzie najlepsze dla was. Ja w każdym razie wolałbym umrzeć, niż trwać tu, w tej beznadziei. Zresztą, dobrze o tym wiecie po tym, co wydarzyło się rok temu. Gdyby karabin nie zaszwankował, nie byłoby mnie tu z wami. Nie byłoby mnie też zaraz nazajutrz, tyle że czekałem aż do dziś, aby powiedzieć, że macie jeszcze jakieś inne wyjście.

— A ta mała? — odezwał się stary. — Myślisz, żebyśmy jej pomogli?

— Myślę, że tak.

— To był też powód tego, żeś postanowił przeżyć tu jeszcze aż do dzisiaj?

— Tak. Chciałbym jej pomóc, ale o nic was nie proszę. To tylko wasza decyzja i powinniście swoje dobro postawić na pierwszym miejscu.

— Ty żeś tak nie zrobił...

Przez chwilę milczałem.

— Nawet nie wiadomo, czy ona jeszcze żyje — powiedziałem. — Być może dla niej jest już za późno.

— A ty? — Jasiiek przyglądał mi się uważnie. — Musiałbyś sam tu zostać...

— Wiesz, co by się ze mną stało. Nie czekałbym długo. Mam dosyć tego miejsca i dziwię się, jak mogliście wytrzymać tu aż tyle.

Wstałem od stołu.

— Macie jeszcze dobę do namysłu — powiedziałem. — Ja już nie mam nic więcej do dodania.

Wziąłem leżący pośrodku stołu różaniec i wyszedłem się przewietrzyć.

*

Stałem w chłodnym mroku nocy, pośród cmentarnych nagrobków chyba z godzinę.

Dolinę rozświetlał słaby blask, próbujący przedostać się przez gruby kożuch chmur. W oddali widziałem las, w którym czaili się Oni. Ciekaw byłem, czy jutro o północy też zgromadzą się wokół drogi, by obserwować, jak bezskutecznie próbuję się wydostać. Miałem nadzieję, że tak.

Jedno było pewne — tym razem ich ostatecznie przechytrzę. Raz próbowałem, ale mi się nie udało. Może to i lepiej, bo w rezultacie przynajmniej podjąłem jeszcze jedną próbę zmiany losów Starzyny i małej Paulinki, która gdzieś tam może bardzo tego potrzebowała. Teraz już nie ponadto nie mogłem zrobić.

W pewnej chwili pomyślałem o Józku. Gdy zebrałem wszystkie fakty do kupy, wyszło na to, że był chyba jedną z bardziej pokrzywdzonych przez całą tę sytuację osób. Nie mógł nie podporządkować się swojemu silniejszemu i mądrzejszemu bratu, więc robił tylko to, co mu kazano. Rzecz jasna, nie można było go usprawiedliwić i rozgrzeszyć do końca, ale i tak było mi go trochę żal.

Pamiętałem jego przerażone, zdezorientowane oczy, gdy nagle, w Niedzielę Palmową, pojawił się w drzwiach kościoła. Szukał schronienia jak przerażony zwierzak, któremu nagle ktoś upolował matkę. Wyszedł z domu tylko na kilkanaście minut, a wracając, na stojącej pośrodku podwórza znalazł dwie powieszono osoby, z którymi dotąd czuł się bezpiecznie. Nie miał pojęcia, dlaczego tak się stało.

Nie wiedział też chyba, co w ogóle dzieje się w Starzyźnie. Być może sądził, że po prostu tak musi wyglądać rzeczywistość i nie wyobrażał sobie, że mogłoby być inaczej.

Miał nadzieję, że mu pomożemy. Może myślał, że w cudowny sposób przywrócimy do życia jego matkę, z którą mieszkał od zawsze. Oczywiście, natychmiast pobiegliśmy z Józkiem do gospodarstwa Kowalików. On biegł przodem, odwracając się zniecierpliwiony. Myślał, że naprawdę chcemy im pomóc, a nam zależało tylko na tym, by przywlec truchła do kościoła i w ten sposób je unieszkodliwić.

Na próżno.

Kiedy wbiegliśmy na podwórze, na gruszy zobaczyliśmy tylko dwa targane wiatrem kawałki powroza.

Dobrowolski znów był bardzo blisko celu.

3.

Gdy wróciłem do zakrystii, wszyscy leżeli już na swoich posłaniach, więc zgasilem ostatnią świecę i położyłem się do łóżka.

Długo nie mogłem zasnąć. Leżałem na plecach, wsłuchując się w oddechy pozostałych.

Dopiero teraz mogłem zastanowić się nad tym, co usłyszałem poprzedniego wieczoru. Wydawało się, że informacja uzyskana od Józka może mieć jakiś związek z zachowaniem Trześniowskiego przed laty i jego sporem z Dobrowolskim. Nie wierzył księdzu, ale też nie starał się stanowczo zapobiec jego poczynaniom.

Szantaż?

Bardzo możliwe.

Być może Dobrowolski wiedział o czymś, co gdyby wyszło na światło dzienne, mogłoby podważyć reputację softysa. Zakładałem, że Trześniowski bał się ujawnienia informacji, które

powierzył kapłanowi w trakcie spowiedzi; doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że tamten bez chwili wahania spełniłby groźbę, gdyby tylko miało mu to pomóc w realizacji jego szemranego celu.

Sądziłem, że mój tok rozumowania jest słuszny. Mało tego — podskórnie czułem, że szantaż ma związek z tym, co wydarzyło się zaraz po bitwie pod Wojda w czterdziestym drugim. Być może było jeszcze coś, o czym nie wiedziałem, ale z posiadanych przeze mnie informacji nie wynikało inne wytłumaczenie dla ukrycia przez Trześniowskiego faktu, że został wzięty do niewoli przez Niemców.

Kłębiące się pod moją czaszką myśli zaczęły się uspokajać dopiero w momencie, gdy zrozumiałem, że prawdopodobnie nigdy nie uda mi się rozwiązać tej zagadki.

Wielokrotnie miewałem podobne sny, więc zdążyłem przyzwyczaić się do tego, że nocny majak może być realny na tyle, by niemal nie różnić się od rzeczywistości. Teraz było podobnie.

Śniłem, że leżę w swoim łóżku, wsłuchując się w miarowe oddechy pozostałych. Wiedziałem, że za chwilę będę musiał wstać i wyjść na zewnątrz. Nie miałem pojęcia, po co mam to zrobić, lecz oddałem się temu wewnętrznemu nakazowi.

Ubrałem się, nie wiadomo, w jakim celu włożyłem leżące pod poduszką naboje do kieszeni, po czym ruszyłem do drzwi, bezszelestnie przekraczając śpiącego na siennikach Józka. Zanim wyszedłem z zakrystii, sięgnąłem po stojący obok framugi karabin.

Załadowałem go już stojąc przed kościołem, odbezpieczyłem i nagle wiedziałem, dokąd mam się skierować.

„Jakieś piętnaście minut i będę na miejscu” — pomyślałem.

Było zadziwiająco chłodno. Przed wyjściem nie włożyłem kurtki. Nigdy tego nie robiłem w podobnych snach, bo rzadko

odczuwałem w nich temperaturę. Tym razem drżałem na całym ciele.

W innych okolicznościach uznałbym to za całkowicie uzasadnione. Do tego, by trząść się w trakcie samotnej, nocnej wyprawy na Czarny Wygon nie potrzeba było panującego na dworze zimna.

We śnie było zupełnie inaczej i w ogóle nie odczuwałem strachu.

Szedłem miarowym krokiem, trzymając broń tak, jak nauczyłem się za dnia. Nie zważałem na dokuczającą mi nogę, Dziwiło tylko, że bolała. Nie pamiętałem, bym kiedykolwiek we śnie utykał.

Tak, to był bardzo dziwny sen.

Pomimo ciemności trafiłem od razu. Otoczona lasem przestrzeń zdawała przyciągać mnie hipnotyczną zachętą. Poddałem się jej, lekko, spokojnie, nawet z lekkim uśmiechem. Wreszcie zrozumiałem, po co tu jestem. Przyszedłem poznać tajemnicę Trześniowskiego. Byłem pewien, że moja wyprawa zakończy się podobnie jak sen, w którym spotkałem Paulinę Podolak, siedzącą z dzieckiem pod czereśnią na wzgórzu górującym nad Starzyzną.

Mrok nie był na tyle gęsty, bym nie mógł odszukać centralnego miejsca polany. Odbezpieczyłem broń i wypaliłem w niebo. Odgłos wystrzału potoczył się po okolicznych lasach. Przyśiągłbym, że echo dobiegało do moich uszu jeszcze co najmniej przez minutę.

Dopiero w tym momencie przypomniałem sobie, że nie brałem z kościoła różańca.

— Nawet we śnie powinieneś być bardziej ostrożny, głąbie — powiedziałem sam do siebie, zadowolony z niewyszukanego epitetu, którego nie słyszałem już od dawna. — Ciesz się, że to nie dzieje się naprawdę, bo inaczej mogłoby być z tobą krucho.

Ponownie załadowałem karabin.

Czekałem, od czasu do czasu rozglądając się wokół.

Już zacząłem obawiać się, że cały mój wysiłek na nic, gdy ich zobaczyłem. Zbliżali się od strony położonej naprzeciw mnie ściany lasu.

Byli chyba wszyscy.

Przewodził im Dobrowolski, sunąc tym swoim charakterystycznym, płynnym krokiem. Reszta szła tak, jak zwykle — lekko mechanicznie, z przygarbionymi plecami i nieco spuszczo-nymi głowami, co nie przeszkadzało im rejestrować każdego mojego ruchu.

Płonące w ciemnościach białą dziesiątki pustych źrenic zbli-żały się coraz bardziej. Każda ich para poruszała się miarowo to w lewo, to w prawo. Unosiły się i opadały, miarowo się do mnie przybliżając. Ich mnogość w połączeniu z niemal absolutną ciszą, panującą wokół sprawiała naprawdę niezwykle wrażenie. Słysząc było tylko narastający chrzęst zeschłej trawy, przygnia-tanej ich butami.

Wypaliłem, gdy Dobrowolski był jakieś trzy metry ode mnie. Chciałem trafić go w brzuch i mi się to udało. Zamarł, po czym upadł na prawy bok.

— Bierzcie go — wychrypiał pełnym bólu i nienawiści głósem. — Teraz nam się nie wymknie. Tylko poczekajcie z tym do rana. Muszę przy tym być i sam się z nim rozprawić.

— Ani kroku dalej — rozkazałem.

Nie posłuchali i nie przestali się do mnie zbliżać.

Jako pierwszy od lewej szedł Andrzej Kniaź. Mimo że nie-dawno z nim rozmawiałem, był trudny do poznania. Jego oczy, tak jak pozostałych, płonęły nienawiścią. Udało mi się jeszcze rozpoznać matkę Józka. Duda zapewne też był gdzieś pośród nich. Szybko się tu zadowolili...

— Wiecie, co mam na szyi? Nie sądzicie chyba, że przy-szedłbym tu bez różańca Pauliny?

Dopiero w tym momencie białe ogniki ich oczu przestały się poruszać.

Postąpiłem kilka kroków naprzód i stanąłem nad Dobrowol-skim, który wciąż leżał na boku. Silne kopnięcie w bark odrzuciło

jego korpus i sprawiło, że odwrócił się na wznak. Cicho jęcząc, przyciskał dłonie do ran na brzuchu.

Koniec lufy zniknął pod skrywającym głowę kapturem habitu, pomiędzy błyszczącymi ślepiami. Przytknąłem ją do jego czoła.

— Teraz gadaj — nacisnąłem karabin. — Co ci powiedział Trześniowski na spowiedzi? Czym go szantażowałeś? No...?

— Nic ci nie powiem! — syknął. — Strzelaj i wynoś się stąd! Jeszcze się policzymy...

— Nie będziemy się liczyć, bo jeśli nie powiesz, to zaraz przestaniesz istnieć i z twoich planów nici. Wiesz, co się stanie, jak zabiorę twoje truchło do kościoła?

Milczał przez chwilę.

— Nie zrobisz tego... — w jego głosie zabrzmiał lęk. — Oni ci na to nie pozwolą...

— Oni tu nie mają nic do gadania, bo to ja mam na szyi różaniec Pauliny, którą bestialsko zamordowałeś. Wykorzystałeś tych wszystkich biednych ludzi, którzy ci tak wierzyli, a potem sprawiłeś, że zostali przekłęci na wieki. Popatrzcie, jak wygląda teraz ten wasz przywódca — zwróciłem się do pozostałych. — Leży u moich stóp i trzęsie się z przerażenia, że może mu się coś stać. Takim go znaleźcie?

Dziesiątki nieruchomych oczu wpatrywały się we mnie z uwagą.

— To wszystko przez tę nędzną kreaturę — dodałem już ciszej. — Chyba nie chcecie go bronić?

Odpowiedziało mi milczenie. Spojrzałem w dół. Byłem wściekły.

— Gadaj, skurwielu! — przesunąłem nieco lufę i nacisnąłem na jedno ze ślepi. Jego dziki wrzask zabrzmiał w moich uszach jak najpiękniejsza melodia. Dobrowolski oderwał dłonie od brzucha i zamierzał złapać za karabin.

— Ani się waż, bo nacisnę spust. A potem pójdziemy na małą wycieczkę.

Uspokoił się. Leżał ciężko oddychając.

— Mów.

— Nie zabijesz mnie?

— Zobaczę. Jak powiesz, na pewno będziesz miał większe szanse.

Milczał.

Już zacząłem tracić cierpliwość, gdy powiedział:

— Masz rację. Szantażowałem Trześniowskiego. W czasie spowiedzi wyznał, że zostawił rannego Jakuszkina, by uratować własną skórę. Mogło im się udać, ale z rannym byłoby trudniej uciekać. Zostawił go, a potem widział, jak Jakuszkin zostaje zastrzelony...

Stałem przez dłuższy czas, jakby nie mogło do mnie dotrzeć to, co przed chwilą usłyszałem.

Potem ocknąłem się i popatrzyłem na pozostałych.

— Którą ręką ją zabił?

— Prawą — natychmiast odpowiedział mi Andrzej.

Doskonale wiedział, o co pytam.

Przyłożyłem lufę do prawego barku Dobrowolskiego, po czym wystrzeliłem. Przeładowałem i strzeliłem ponownie, tuż obok. Potem znów i raz jeszcze...

Przestałem dopiero wtedy, gdy zabrakło mi naboji.

Leżąca u moich stóp kreatura wyła z bólu. Żaden z pozostałych nawet się nie ruszył.

Pochyliłem się i złapałem za nadgarstek zwiotczalej ręki, próbując oderwać ją od tułowia. Kości były pogruchotane, ale wciąż się mocno trzymała na ścięgnach, resztkach mięśni i ubrania. Szamotałem się przez dłuższy czas, ale wiedziałem, że nie dam rady.

— Pomogę, tylko musisz się odsunąć — znów usłyszałem głos Kniazia.

Zrobiłem, o co prosił, po czym podszedł do Dobrowolskiego i bez najmniejszego wysiłku zrobił to, co mi się nie udało. Dobrowolski wył jak opętany, a Andrzej obojętnym ruchem rzucił rękę przed moje stopy.

Nie sądziłem, że będzie taka ciężka.

Zanim odszedłem, powiedziałem jeszcze:

— On za chwilę umrze. Przynajmniej na parę godzin. I być może jest to wasza ostatnia szansa...

Chwilę potem, niosąc za nadgarstek moje trofeum w jednej, a karabin w drugiej ręce, opuściłem Czarny Wygon.

Byłem zmęczony i chciałem, aby ten sen jak najszybciej się skończył; miałem nadzieję, że tak właśnie się stanie, więc starałem się iść jak najszybciej.

Do kościoła dotarłem ostatkiem sił.

Rzuciłem kawałek Dobrowolskiego na podłogę przedsionka i chwilę potem usłyszałem skwierczenie i nieznośny śwąd.

Próbując opanować mdłości, poszedłem do zakrystii, rozebrałem się i położyłem na łóżku.

Nie wiem, co mnie obudziło. Chyba jakieś dźwięki na zewnątrz dochodzące od strony głównych drzwi. Pewnie znów zaczęły się kręcić w okolicy.

Leżałem na łóżku, zlany potem.

„Boże, co za koszmar!” — pomyślałem i przykryłem się po same uszy.

Było mi bardzo zimno...

Starzyzna

XIII

Wszystko jest już prawie gotowe.

Prócz notatek poczynionych w brulionie, w którym teraz piszę, zdążyłem przez kilka dni opowiedzieć także historię swojego pobytu w Starzyźnie. Było niewiele czasu, ale zdążyłem. Dzięki temu będę spokojniejszy.

Wyrwałem kartki i poukładałem na przemian w ten sposób, by wszystko złożyło się w logiczną całość. Gdy to robiłem, miałem wrażenie, że te dwie historie musiały się w końcu spotkać. I dzieje się to właśnie teraz. Jak skończę, zszyję wszystko, żeby się coś nie pomieszało.

Adamie, będziesz wiedział najlepiej, co zrobić z tym przedziwnym brulionem, prawda? Nie będę mógł Ci podziękować osobiście, więc czynię to za pośrednictwem zeszytu.

Jak się zapewne domyślasz, ta cała nocna historia, która — jak mi się zdawało — była snem, działa się naprawdę. Teraz już rozumiem, dlaczego Krzyś ostrzegwał mnie przed snami. Na szczęście, do samego końca, do momentu, gdy znów znalazłem się w łóżku, nie miałem świadomości moich realnych wyczyńców i zapewne tylko dzięki temu udało mi się szczęśliwie wrócić. Gdybym zorientował się na Czarnym Wygonie, że Oni naprawdę idą w moją stronę, nie potrafiłbym zrobić tego, co zrobiłem.

Pisałem, że zasypiając słyszałem odgłosy z zewnątrz i podejrzewałem, że mamy gości. Nie myliłem się. Ale zacznę może od początku.

XIV

Rano obudził mnie krzyk Katarzyny.

To nie było zwyczajne wołanie, ale wrzask ocierający się o krańcową histerię.

Wstała jako pierwsza, jak miała w swoim zwyczaju, wzięła różaniec ze stołu i zapewne z zamiarem udania się do ubikacji wyszła na zewnątrz. Kiedy stanęła na schodach, była tak przerażona, że udało nam się ją uspokoić dopiero wtedy, gdy została na siłę zaciągnięta przeze mnie i przez Jaśka z powrotem do zakrystii.

Tego widoku nie zapomnę do końca życia.

No tak, w moim przypadku takie zapewnienie może być mylące, bo nie zostało mi już zbyt wiele czasu, więc lepiej ująć to w ten sposób: wiele potwornych rzeczy widziałem w Starzyźnie, ale ten obraz był z pewnością najgorszy.

Świtało i mgła zaczęła rzednąć, z każdą chwilą odsłaniając więcej.

Leżeli tak, jak popadnie. Niektórzy na schodach, niektórzy kilka metrów przed nimi. Ciała mężczyzn i kobiet przypominały porozrzucane przypadkowo szmaciane lalki z otwartymi oczyma, którym ktoś zapomniał domalować źrenice. Wszyscy leżeli na plecach i wpatrywali się w niebo. Nieruchomi, bezbronni, przysiągłbyś, że martwi.

Andrzej był powyginany w dziwny, nienaturalny sposób, jego rozrzucone na boki ręce przywodziły na myśl gest księdza, kierującego ku niebu modlitwę wiernych.

Jako pierwszy ocknął się Józek. Zszedł do jednego z ciał, uklęknął, a potem przywarł do niego szlochając bezgłośnie. To była jego matka.

Wróciłem do kościelnego przedsionka. Ręka Dobrowolskiego leżała w miejscu, gdzie ją rzuciłem. W tym całym zamieszaniu nikt jej nie zauważył, czemu trudno się było dziwić.

Za plecami usłyszałem krzyk starego Greli. Odwróciłem się i w oddali zobaczyłem wylaniającą się z mgły, zakapturzoną postać w habitcie, sunącą w naszą stronę.

— Co się stało z jego ręką? — zapytał Jasiiek.

Nie było czasu na wyjaśnienia.

Rzuciłem się w głąb kościoła, by dopaść karabin. Zgarnąłem kilka naboii, leżących na kredensie i pobiegłem do wyjścia. Był już przy pierwszym z ciał, gdy strzeliłem w jego kierunku. Oczywiście, kula nawet go nie drasnęła, ale przystanął, gapiąc się na nas tymi swoimi przekłętymi ślepiami. Przerażony Józek zdążył tymczasem oderwać się od matki i stanąć u szczytu schodów. Podałem mu broń.

— Rozwał mu łeb — rozkazałem krótko.

Widząc, co się dzieje, Dobrowolski zaczął się cofać. Najwioczniej wiedział co nieco o umiejętnościach strzeleckich Kowalika.

— A... ale ja... a... ak to? Ma... ma... mam strze... e... ełać do księ... księdza?

— To przez niego twoja matka nie żyje! — krzyknąłem — Tak trudno ci to zrozumieć?!

Gdy to usłyszał, natychmiast załadował karabin i podniósł go do oka. W innych okolicznościach z pewnością by trafił, jednak teraz, roztrzęsiony z emocji, celował niezdolnie długo. Wystrzelił dopiero wtedy, jak okaleczony przeze mnie Dobrowolski nikał właśnie we mgle. Najwyraźniej kula minęła jego głowę o włos, bo skulił się odruchowo. Zaraz potem już go nie widzieliśmy.

— Co tu się do cholery dzieje? — szepnął Jasiiek, sądząc zapewne, że nikt nie będzie w stanie udzielić odpowiedzi.

Mylił się.

Moja opowieść brzmiała całkowicie niewiarygodnie, ale na szczęście na podłodze kościelnego przedsionka spoczywał dowód świadczący o tym, że nocna wyprawa na Czarny Wygon naprawdę miała miejsce.

— Szkoda, żeś jego łba nie przyniósł — skwitował Jasiek.

Trudno było odmówić mu racji. Gdybym mógł cofnąć czas, z pewnością nie marnowałbym naboju na strzelanie w ramię. Wszystkie, którymi dysponowałem w tamtym momencie — jakkolwiek by to okrutnie zabrzmiało — wpakowałbym w szyję Dobrowolskiego.

*

Nie zastanawialiśmy się długo, co robić dalej. To, że Andrzej, matka Józka i wszyscy inni pojawili się przed kościołem, nie pozostawiało wątpliwości co do ich intencji. Nie mogli sami wejść do wnętrza świątyni, więc musieli liczyć na naszą pomoc. Ich przywódca zapewne zmarł na jakiś czas od odniesionych ran i to była dla nich jedyna szansa, by wyrwać się z objęć przeklętej nieskończoności.

W przedsionku nie było zbyt dużo miejsca, więc od razu postanowiliśmy, że ułożymy ciała w nawie głównej. Najpierw uprzętnęliśmy przestrzeń przy jednej ze ścian, a następnie zaczęliśmy wnosić do środka jedno ciało po drugim. Wszystko to trwało dość długo, ponieważ zaraz po przekroczeniu progu świątyni ciała zaczynały płonąć wewnętrznym ogniem, uzyskując temperaturę zmuszającą nas do położenia ich na posadzce i odczekania kilku minut, aż cały proces się zakończy. Gdy dymyły mniej, a my mogliśmy już ich dotknąć, nieśliśmy dalej i układaliśmy w rzędzie obok siebie.

Cały kościół wypełnił gryzący w oczy i duszący swąd. To były naprawdę ciężkie chwile, lecz niedogodności fizyczne nie były najgorsze dla moich współtowarzyszy. Oddawali ostatnią

posługę swoim bliskim i sąsiadom, których przecież tak długo znali.

Jasiek z ojcem ze łzami w oczach wnieśli do kościoła dawno niewidzianą Marysię Szczepańską, która była przecież siostrą pierwszego, a jednocześnie córką starego Greli. Później ja z Józkiem przeniosłem jej męża. Potem byli kolejni... Janina Bielakowa, o której śmierci wspominał Rafał, przywołując relację Jaśka usłyszaną w trakcie pierwszego spaceru do kościoła, Andrzej Książ, wciąż tak bardzo podobny do Gielmudy, Władek Duda, starowinka — zapewne ta, którą Rafał tak dobrze pamiętał z pierwszego nabożeństwa wielkanocnego w Starzyźnie. Potem inni...

Na prośbę Józka jego matka została wniesiona jako ostatnia. Wciąż nie mógł się z nią rozstać, ale wreszcie i ona spoczęła obok pozostałych.

W kościele było siwo od dymu, który w dalszym ciągu, choć już nie tak bardzo intensywnie, wydobywał się ze zwłok, więc postanowiliśmy poczekać na zewnątrz, aż się trochę przewietrzy. Pootwieraliśmy okna i drzwi. Wtedy też wyprowadziliśmy Katarzynę z zakrystii.

Józek znów wziął karabin w ręce i wypatrywał księdza.

— No i co teraz? — zapytałem. — Zagrożenie oddalone, Dobrowolski nie zdoła już zrealizować swojego planu, więc chyba możecie zostać...

— Nie spędzę w tym kościele ani jednej nocy dłużej — rzekła stanowczo Katarzyna. — Wolę już umrzeć.

— Tamten też pewno tak łatwo nie odpuści — dodał Jasiek. — W końcu nas i tak dorwie. Jak nie teraz, to za dziesięć albo i za sto lat. Teraz już będzie uważał, nie da się łatwo podejść, ale skoro ma czas, to będzie czekał. Zresztą, co to za życie. Ja też wolałbym stąd uciec. A ty, Józek?

— J... ja, t... to ta... a... ak sa... samo, jak i w... wy.

— Albin?

— Nie chcę tu zostać. Mam już dosyć.

Jasiek spojrział na ojca wyczekująco.

Ten po chwili zastanowienia wszedł do kościoła, by zaraz potem wrócić ze szpadlem w ręce. Postawił go obok framugi.

— A to po co? — zapytałem.

— Żeby nie zapomnieć, jak będziem w nocy wychodzić. Muszą mnie przecież czymś zakopać. Nie zostawią jak psa, a rękami ziemi nie będą darli.

Zrozumiałem, że zostanę w Starzyźnie sam. Nie muszę chyba dodawać, jak bardzo chciałbym móc do nich dołączyć.

XV

Do północy już niedługo, a w powietrzu wciąż czuć smród spalenizny.

Wzmem karabin i pójdę z nimi do drogi, żeby w razie czego nie pozwolić Dobrowolskiemu na utrudnianie ucieczki. Wiedziałem już wcześniej, że to zrobię, jeśli podejmą taką decyzję. Szczerze mówiąc, spodziewałem się jej i po to potrzebne mi były lekcje strzelania.

Kiedy znajdą się w „Twoim świecie”, wiedzą, co mają zrobić, by Cię odnaleźć. Wszystko mają napisane na kartce. Mają pójść do Stanisławskiego i poprosić go o pomoc. Na pewno nie odmówi.

A może będziesz na drodze do Guciowa? Wtedy sprawa byłaby o wiele prostsza. Wiedzą, jak wygląda Twój samochód (o ile przez te dwa lata go nie zmieniłeś). Mam nadzieję, że Paulinka wciąż żyje i publikacja tego brulionu jej pomoże. Kto wie, może zatrzyma też czas dla Jaśka, Katarzyny, Albina i Józka? W przeciwieństwie do mnie będziesz się mógł o tym przekonać.

*

Zastanawiam się, czy nie pójść jutro za dnia na Czarny Wygon, by poszukać tego zwyrodnialca. Mam nadzieję, że uda mi

się go ustrzelić tak, jak ostatniej nocy. Została mu przecież jeszcze jedna ręka i dwie całkiem sprawne nogi. Bez nich chyba cierpiałby przez wieki o wiele bardziej... A jeśli nie uda mi się go znaleźć? Cóż, nie będę go przecież szukał aż do swojej śmierci. Jeszcze by mu to sprawiło satysfakcję, że wciąż jest dla kogoś zagrożeniem? Czort z nim. Niech się błąka po tych lasach w pojedynkę przez nieskończoność. Nikogo już przecież nie skrzywdzi, a taka samotność jest chyba jeszcze gorsza od śmierci. Przynajmniej tak mi się wydaje; ciekawe, czy byś się za mną zgodził.

W każdym razie, tak czy inaczej, na pewno będzie miał to, na co sobie zasłużył.

Najgorzej będzie doczekać do rana. Przede mną noc spędzona w towarzystwie tylu nieboszczyków. A potem jeszcze jedna. Już tylko jedna.

Kolejnych nie będzie. Myślę, że wielkanocne południe to dobry czas na umieranie.

A Ty?

Gdybyś był na moim miejscu, na pewno przyznałbyś mi rację.

Dobrze, że nie jesteś.

Wydaje mi się, że to wszystko.

Mam nadzieję, że o niczym nie zapomniałem.

Epilog

Gdy skończył, było już po południu.

Wetknięte pomiędzy okładki brulionu i zsyte mocną drątwą kartki odłożył na siedzenie pasażera. Długo siedział nieruchomo, wpatrując się w widok za przednią szybą samochodu. Ciężko mu było uwierzyć, że świeci słońce. Wrócił przecież właśnie z krainy, w której nie można go było uświadczyc.

Adam był wstrząśnięty tym, co właśnie przeczytał. Przez cały czas, gdy przewracał kolejne strony, miał nadzieję, że odnajdzie przynajmniej cień szansy na szczęśliwe zakończenie tej historii.

Mylił się.

Wiedział już, że nie zobaczy Witka nigdy więcej. Chociaż...?

Wciąż jednak się łudził. Myślał, że może to właśnie Witek zostawił zapiski w jego aucie, a później, z jakichś nieznanых przyczyn był zmuszony odejść.

Gdzieś w głębi duszy Nawrot zdawał sobie sprawę, że są to tylko jego pobożne życzenia.

Mimo to jedna rzecz przyniosła mu ulgę. Od początku lektury zastanawia! się, czy nie zawiódł przyjaciela, publikując

poprzednie jego notatki dopiero po upływie ponad roku od ich otrzymania. Drżał przewracając kolejne kartki; na każdej z nich spodziewał się potwierdzenia faktu, że wydanie książki jednak coś zmieniło. Skoro jednak Witek nic o tym nie wspomniał, było jasne, że nawet gdyby wydrukowane zapiski ujrzały światło dzienne wcześniej, to i tak sytuacja mieszkańców Starozyzny nie poprawiłaby się. Klątwa zatajenia rządziła się nieugiętymi regułami, które musiały być wypełnione do końca.

Wysiadł z auta i wszedł pomiędzy drzewa rosnące obok drogi.

Nie sądził, że uda mu się odnaleźć strzelbę, którą Uchmann pożyczył od Stanisławskiego, ale ponieważ taki spacer mógł pomóc zebrać myśli, Adam chętnie skorzystał z okazji.

Nie miał pojęcia, gdzie dokładnie stał wtedy opel Rafała; mógł się tego jedynie domyślać, a możliwości było przecież sporo. Nie poddał się od razu i spróbował przeszukać pobocze drogi.

Po jakichś pięciu minutach nadepnął na coś twardego, co z pewnością nie mogło być kawałkiem gałęzi. Pochylił się i spod warstwy ściółki wydobył zardzewiałą już całkiem broń. Wrócił z nią do samochodu i włożył do bagażnika.

„Będę musiał za nią zapłacić Stanisławskiemu” — przeszło mu przez myśl.

W tym momencie Adam najchętniej wsiadłby do samochodu i odjechał, lecz zdawał sobie sprawę, że nie może tego zrobić. Ktoś przecież zostawił notatki w jego aucie, więc musiał być niedaleko.

Odruchowo pomyślał o Czarnym Wygonie.

„Na pewno tam pochowałiby starego Grełę”.

Problem polegał na tym, że Nawrot nigdy nie był w tym miejscu. Do zmięzchu pozostawało jednak na tyle dużo czasu, że mógł przynajmniej spróbować odszukać tę przekłętą polanę.

*

Ani w pierwszym, ani też w drugim brulionie nie opisano dokładnej lokalizacji Czarnego Wygonu. Można było co najwyżej zebrać wszelkie informacje na jego temat i na ich podstawie spróbować tam trafić.

Przed wszystkim Adam musiał dojść do Słonecznej Doliny, co zajęło mu ledwie kilka minut. Skąpana w słonecznym blasku, już lekko zieleniejąca, rozległa przestrzeń nie pozwalała nawet przypuszczać, że tak potworne wydarzenia mogły się tu odbyć. Nad nią i nad okalającymi ją wzgórzami unosiła się lekka mgielka wydobywająca się z podłoża, które chwyciło w ten sposób pierwszy oddech wiosny. Wokół rozlegał się świergot niezliczonej ilości ptactwa. Nawrot nie przyszedł tu jednak po to, by podziwiać uroki roztoczańskiej przyrody.

Jakiś czas szedł drogą krańcem doliny, a następnie, zaraz po minięciu najpierw rozłożystego buka, a potem leciwej jodły, skręcił w prawo, zagłębiając się w las.

Metodycznie penetrował teren o szerokości kilkudziesięciu metrów, z każdym krokiem oddalając się od coraz mniej widocznej za plecami, jasnej przestrzeni. Szukał ścieżki, o której pisał Witek. Wreszcie ją znalazł i przyspieszył kroku.

Był pewien, że zbliża się do celu. Bez troski świergot z każdym krokiem zanikał, by wreszcie zamilknąć prawie całkiem.

Kiedy Adam stanął na skraju niewielkiego, otwartego terenu, miał wrażenie, że zmierzch zapadł w tym miejscu dosłownie w kilkanaście sekund. Pomimo to, w szarówce, zdołał wypatrzeć grupkę osób, siedzących na przeciwległym krańcu polany.

Zauważyli go dopiero, gdy przebył prawie połowę drogi i był niemal dokładnie w centralnym punkcie Czarnego Wygonu. Podnieśli się gwałtownie ze swoich miejsc. Mimo że Nawrota dzieliło od nich jeszcze kilkadziesiąt metrów, widział w ich oczach obawę. Bez trudu rozpoznał Jaśka po wielkiej, bujnej

brodzie i Albina po braku ramienia. Katarzyna i Józek stali tuż obok nich. Cała czwórka odruchowo zbiła się w ciasną grupkę.

Przed nimi piętrzył się niewielki kopczyk świeżej ziemi, zwieńczony niewielkim krzyżem, którego niezbyt grube ramiona związane były giętkimi gałązkami jakiegoś krzewu.

Adam przystanął w pewnej odległości, by nie potęgować strachu tych ludzi.

— Dzień dobry — powiedział, podnosząc rękę. — Nie bójcie się. Nazywam się Adam Nawrot i wiem, kim jesteście.

Jako pierwszy odezwał się Grela:

— Tak, widziałem pana w nocy, w samochodzie... Spał pan.

— Mówcie mi po imieniu. Jestem przyjacielem Witka. To ty przyniosłeś brulion, tak?

Skinął głową.

— Dlaczego mnie nie obudziłeś?

— Musieliśmy najsampierw pochować mojego ojca — odparł, z trudem przełykając ślinę. — Zresztą, Witek powiedział, że jak pan będzie w samochodzie, to przyjdzie tu razem z nami. Pan spał, nie chciałem budzić... — przerwał na chwilę.

Nawrot z przykrością patrzył na tego barczystego mężczyznę, tłumaczącego się przed nim jak mały chłopiec, który coś przeszkrobał. Nie starał się nawet ponowić prośby, aby Grela zwracał się do niego po imieniu. Tylko by go to niepotrzebnie bardziej speszyło.

— ...no i żem myślał, że pan będzie wiedział, jak tu do nas trafić — dokończył, ani razu nie nabierając przez ten czas powietrza.

— No i dobrze żeś zrobił — uśmiechnął się Adam. — Wcale nie musisz się przede mną usprawiedliwiać. Dobrze, że jesteście.

Patrzyli już na niego inaczej. Bardziej z ulgą niż z obawą.

— Musimy się zbierać, bo niedługo noc — dodał. — Pójdziecie ze mną?

— Pó... pó... pójdziem — Józek wyrwał się jako pierwszy.

— Witek mówił, że mamy z panem iść — dodał Grela. — To i pójdziem.

Nawrot szedł przodem, mając jedynie dość krótkoterminowy plan, by doprowadzić to towarzystwo do samochodu. Nie miał pojęcia, co z nimi dalej począć, gdzie ich przenocować, w jaki sposób się nimi zająć.

A jednak, gdy już byli niedaleko samochodu, wpadł mu do głowy pewien pomysł.

*

Ponieważ Grela był najbardziej barczysty, usiadł z przodu, natomiast Cieplakowa, Albin i Józek zajęli miejsca na tylnym siedzeniu fiata.

Jeszcze zanim ruszyli, Nawrot sprawdził, czy jego telefon komórkowy jest w zasięgu. Ponieważ sygnał był bardzo słaby i połączenie mogłoby zostać przerwane, Adam zdecydował, że zatrzyma się, jak tylko będzie mógł zadzwonić bez problemu.

Minęli Guciów i kierowali się w stronę Krasnobrodu. O ile Jasiak, który miał już styczność z autem, czuł się w nim całkiem swojsko, o tyle przestraszone twarze, odbijające się w środkowym lusterku kierowcy świadczyły o tym, że reszta pasażerów nie jest zbyt przekonana do tego środka transportu. Cóż, nie było wyjścia — musieli to jakoś przeżyć.

Adam po raz kolejny spojrział na wyświetlacz i zatrzymał auto na poboczu. Tym razem zasięg był zadowolający.

— Cześć, Heniu, tu Nawrot. Przepraszam, że przeszkadzam ci w Wielką Sobotę, ale mam bardzo pilną sprawę. Będiesz mi mógł pomóc?

Chwila ciszy i zdziwione spojrzenia pasażerów.

— To świetnie. Słuchaj, jestem daleko od netu, więc chciałbym, żebyś mi wygugłał jedną rzecz. Dałoby radę?

— ...

— Super! Chodzi mi o dom... no nie wiem, jak to się dokładnie nazywa. Przyparafialny dom pomocy, czy coś takiego...?

— ...

— Nie, niestety nie wiem, w jakiej miejscowości, ale to jest gdzieś koło Zamościa. Poczekaj sekundę.

Adam wysiadł z samochodu i odszedł kilka kroków.

— Prowadzi go książdz, jego nazwisko to „Dobrowolski”. Wpisz „dom pomocy Dobrowolski”, może coś wyskoczy.

— ...

— Tak, bardzo mi zależy na czasie. Mógłbym zadzwonić za jakieś dziesięć minut?

— ...

— Bardzo fajnie, wielkie dzięki. Aha! Heniu...?

— ...

— Jeszcze jedno. Sprawdź mi, bardzo cię proszę, czy dwudziestego piątego lutego tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku było w Polsce widoczne zaćmienie słońca.

— Tak, zaćmienie.

— Powiem ci, jak się spotkamy, dobra?

— O.K. W takim razie zadzwonię za dziesięć minut...

— ...

— Dobrze, za piętnaście. Bardzo ci dziękuję. Na razie.

Kiedy znów usiadł za kierownicą, patrzyli na niego podejrzliwie. Nic dziwnego — po raz pierwszy widzieli kogoś, kto gada do niewielkiego, czarnego pudełeczka.

Zanim wytłumaczył, o co chodzi, i przekonał, że właśnie byli świadkami, jak rozmawia z kimś, kto jest prawie trzysta kilometrów stąd, nie używając do tej sztuczki kabla, zdążyli znaleźć się w Krasnobrodzie.

Znów wysiadł, zabierając tym razem ze sobą notes.

— Cześć, Heniu! No i jak, udało ci się?

— ...

— O, to genialnie. Poczekaj, zanotuję.

Przycisnęła ramieniem telefon do ucha i zanotował nazwę miejscowości.

— Czekaj, czekaj... Powiedziałaś, że jak ma na imię?

— ...

— Walenty... O.K.

Wydawało mu się, że, jak wynikało z notatek, dokładnie tak nazywał się ksiądz ze Starzyzny.

— Tak, tak, słucham cię Heniu.

— ...

— Aha... Rozumiem, było, tak? Niepełne?

— ...

— A wiesz może, ile mniej więcej procent tarczy było...

— ...

— Czterdzieści. Heniu strasznie ci dziękuję! Jestem ci winien flaszkę. I raz jeszcze przepraszam, że...

— ...

— Dobra, już nie będę. Trzymaj się. Wesołych Świąt!

— ...

— Dzięki.

— No i jak się wam podoba Krasnobród? — zapytał, znów siadając za kierownicę. — Zmienił się trochę od ostatniego czasu, prawda?

Sprawdził w atlasie drogę. Wyglądało na to, że mają przed sobą jakieś czterdzieści minut jazdy.

W drodze podpytał o księdza i dowiedział się, że jednak mylił się co do imienia. Tamten nazywał się Wincenty Dobrowolski. Podobnie, ale jednak na szczęście nie tak samo.

*

Gdy dojechali, była za kwadrans osiemnasta.

Z pomocą kobiety, zmierzającej właśnie do kościoła, trafili do prowadzonego przez księdza domu pomocy, który mieścił się w świeżo odremontowanym dworku.

Nawrot zaparkował niedaleko wejścia.

— Poczekacie tu, dobrze? — rzekł wysiadając. — Zaraz wrócę.

Drzwi otworzyła mu przysadzista, mniej więcej sześćdziesięcioletnia kobieta w szarym habicie.

— Szczęść Boże — zagaił. — Czy zastałem może księdza Dobrowolskiego?

Zmierzyła Adama wzrokiem.

— A pan w jakiej sprawie?

— Mam do niego bardzo pilną sprawę. Czy mógłbym z nim porozmawiać?

— Ksiądz właśnie się zbiera na mszę. Nie wie pan, że jest Wielka Sobota?

— Tak wiem, ale to bardzo pilne...

— Msza zaczyna się zaraz. Chyba że zaczeka pan, aż się skończy.

— Siostró Łucjo! — dobiegło zza jej pleców. — Czy to ktoś do mnie?

W korytarzu pojawił się przygarbiony, siwy staruszek. Adam ocenił, że może mieć około osiemdziesiątki. Zbliżał się do drzwi dziarskim krokiem, a tym, co przykuwało uwagę, były jego szczerze, roześmiane oczy.

— Tak, proszę księdza. Ten pan. Ale ja właśnie mówię, że ksiądz wybiera się do kościoła...

— Siostró Łucjo — przerwał jej z udawaną przyganą w głosie. — Przecież chyba jak się spóźnię parę minut, to nie trafię od razu do piekła?

Siostra Łucja zrobiła Adamowi przejście i przewróciła oczami.

— Zawsze to samo — mamrotała. — Ksiądz to zawsze by każdemu tylko szedł na rękę. Przecież ten pan mógł wcześniej przyjechać, jeśli miał taką pilną sprawę, że nie może ona czekać.

— Gdyby mógł, to pewnie by przyjechał. Prawda, młody człowieku? — zapytał z uśmiechem. — Proszę, niech pan wejdzie dalej.

Adam ruszył za nim korytarzem. Po chwili znaleźli się w skromnie urządzonym biurze.

— Słucham — dopiero wtedy wyciągnął rękę na powitanie. — W czym ci mogę pomóc, chłopcze.

Przyjmując ciepłą, dość jeszcze silną dłoń, Nawrot zastanawiał się, kiedy ktoś ostatnio zwracał się do niego w ten sposób.

Dobrowolski usiadł w swoim fotelu za biurkiem, a Adam, po przedstawieniu się, naprzeciw niego, po drugiej stronie blatu.

— Nie będę owijał w bawełnę, proszę księdza — zaczął. — Bardzo liczę na księdza pomoc. Przekazano mi... ktoś powiedział mi, że księdza bratanek...

— Jestem tu po to, żeby pomagać, młody człowieku. Nie ważne, skąd się dowiedziałeś. Nie przejmuj się, tylko powiedz, o co chodzi.

— W moim samochodzie mam czwórkę osób, które nie mają domu.

Staruszek przypatrywał się Nawrotowi przez dłuższą chwilę.

— Czy to rodzina?

— Nie, proszę księdza. To znaczy, nie są moją rodziną, nie są też spokrewnieni. Czworo dorosłych — trzech mężczyzn i jedna kobieta.

— Nie mają domu, powiadasz? A co stało się z ich domem, czy też może domami?

Adam spuścił wzrok.

— Przykro, ale teraz nie mogę powiedzieć. Mógłbym coś namyślać, ale...

— Dobrze. Skoro nie możesz, to nie mów. Być może przyjdzie na to czas. Poczekaj, niech się zastanowię.

W zamyśleniu pocierał dłonią porane zmarszczkami czoło. Wreszcie znów popatrzył na swojego rozmówcę.

— Nie mamy czterech miejsc.

Adam już miał się odezwać, ale ksiądz powstrzymał go ruchem ręki.

— Poczekaj, chłopcze. Nie mamy czterech miejsc, ale mamy kilka łóżek polowych, które moglibyśmy wykorzystać. Dla pani będzie osobny pokój, ale panowie będą musieli pomieścić się we trzech w jednym.

— Nie wiem, jak księdzu dziękować, naprawdę...

— Nie dziękuj. Po to przecież jestem. Pomaganie ludziom w potrzebie to naprawdę nie taka wielka sztuka — uśmiechnął się i spojrzał na zegarek, po czym z trudem podniósł się z fotela. — No, teraz muszę się już zbierać, bo siostra Łucja zaraz naprawdę się zdenerwuje — mrugnął do Adama porozumiewawczo. — To złota kobieta, tylko trochę szorstka. Powiem jej, żeby wszystko przygotowała. Ty w tym czasie przyprowadź swoich znajomych. Poczekacie w świetlicy — od wejścia na prawo i korytarzem do końca.

— Proszę księdza — powiedział Adam wstając. — Ale ja dziś będę musiał wyjechać... Przyjadę prawdopodobnie jutro. Wiem, że nie najlepiej to wszystko wygląda, ale...

— Nie tłumacz się, chłopcze. Może kiedyś, jak zechcesz, to wszystko mi opowiesz... Cieszę się, że mogę tobie i twoim znajomym pomóc.

— Czy coś mam zapłacić?

Ksiądz uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Damy sobie radę, nie martw się. A teraz idź i ich przyprowadź, bo nie wypada, żeby tak długo czekali w samochodzie.

*

Dziesięć minut później w piątkę siedzieli w świetlicy, czekając na siostrę Łucję. Okazało się, że ksiądz naprawdę aż tak

bardzo nie spieszył się do kościoła, bo już w płaszczu przyszedł, żeby poznać swoich podopiecznych.

Adam wstał uśmiechając się, lecz pozostali zareagowali zupełnie niespodziewanie. Na twarzy Katarzyny odmalował się niekontrolowany strach. Poderwała się z krzykiem i wtuliła w najdalszy kąt pomieszczenia, nie spuszczać księdza z oczu. Albin z Jaśkiem także wstali i stanęli obok niej, wrogo łypiąc na duchownego. Tylko Józek zachował się w miarę normalnie. Wstał, wyprostował się, uśmiechnął niepewnie i zaczął dukać „niech będzie pochwalony”.

Dobrowolski wyglądał na zaskoczonego, lecz mimo to jego twarz nie zmieniła pogodnego wyrazu.

— Na wieki wieków — odpowiedział Józkowi, a potem zwrócił się do pozostałej trójki — nie bójcie się mnie, kochani. Wiem, że jestem już stary i nie za ładnie wyglądam, ale nic złego wam nie zrobię.

Nikt z nich nie odezwał się ani słowem, więc ksiądz odwrócił się i chwycił za klamkę.

— Proszę księdza — rzekł Adam. — Czy mógłby ksiądz sekundę na mnie poczekać?

— Oczywiście, chłopcze. Czekał na zewnątrz.

Gdy staruszek wyszedł, Nawrot warknął do stojącej w kącie trójki:

— Czy wyście powariowali? Przecież ten człowiek chce wam pomóc, a wy jak się zachowujecie?

Milczeli jak zakłęci. Wreszcie Jasiek zdobył się na odwagę.

— To Dobrowolski, proszę pana — odezwał się szeptem. — To on, tylko dużo starszy...

— Skąd możecie wiedzieć, że to on? I jak niby miałby się tak szybko postarzyć? Spójrzcie na siebie. Nawet jeszcze po was nic nie widać, więc jak? Podobny jest, bo miał sutannę i ciemny płaszcz, a rysów twarzy po tylu latach i tak byście nie rozpoznali.

— To on, proszę pana — upierał się. — Te oczy to na końcu świata bym poznał...

— Wy też myślicie, że to wasz ksiądz?

— No nie wiem — odparł Albin. — Bardzo podobny...

— Muszę was tu zostawić. Wolalbym zostać, ale muszę jeszcze zrobić coś, co jestem winien Witkowi. Wiecie, że jestem jego przyjacielem, prawda? — patrzył na nich, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą.

Stłoczona w kącie trójka równocześnie odpowiedziała skinieniem głów. Józek był gdzieś w swoim świecie, oglądając porozwieszane na ścianach kolorowe obrazki, i nie zważał na to, co dzieje się wokół niego.

— Ufaliście mu, prawda?

Znów przytaknęli.

— Skoro tak, to zaufajcie również mi. Przecież wiecie, że on tego chciał. Sam wam powiedział, prawda?

Ten argument wydawał się do nich trafiać. Znów usiedli przy stole.

— Ano, prawda — sapnął Grela.

— Zaraz zajmie się wami siostra Łucja, a ja przyjadę jutro po południu. Zgoda?

— Wierzym panu — znów Jasiak odpowiedział w imieniu wszystkich. — Może to i nie on, tylko ktoś podobny...

— No właśnie. Idę, bo on tam na mnie czeka — rzekł Adam, kierując się do wyjścia. — Aha, byłbym zapomniał. Kto z was ma różaniec Pauliny Podolak?

— Ja, a bo co?

— Jasiak, muszę go zabrać ze sobą. Oddasz mi go, dobrze? Grela lekko się ociągając spełnił prośbę.

— Dobrej nocy — powiedział Nawrot i opuścił świetlicę.

*

Dobrowolski czekał na zewnątrz tak, jak obiecał.

— Chyba się mnie trochę wystraszyli? — zapytał, gdy dołączył do niego Adam.

— Chyba trochę tak. Przepraszam...
— Daj spokój. O co chciałeś zapytać?
— Widział ksiądz, że ich ubrania nie są w najlepszym stanie... Może...
— Znajdziemy coś. Nic się nie martw.
— Bardzo księdzu dziękuję.
Ten tylko machnął ręką.
— No, idę już, bo msza dawno się zaczęła — powiedział. Zdążył już odejść kawalek, gdy Adam się z nim zrównał.
— Jeszcze jedno, proszę księdza...
Dobrowolski przystanął i spojrział z pytającym uśmiechem.
— Proszę się nie gniewać, ale... czy...
— Tak?
— Czy ksiądz miał może... albo ma brata, który także jest duchownym?

Staruszek przyglądał się przez chwilę twarzy swojego rozmówcy. Teraz już się nie uśmiechał. Wreszcie odparł poważnym tonem

— Nie, chłopcze. Nie mam i nie miałem — zawahał się przez chwilę. — Ale... nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy...? Zresztą, wszystko jedno. To dziwne i jeszcze dotąd nikomu o tym nie mówiłem, ale bardzo często mam taki sen, że odprawiam swoją pierwszą mszę wspólnie z moim bratem, który jest do mnie bardzo podobny. Mamy po dwadzieścia kilka lat i jesteśmy szczęśliwi, że równocześnie zostajemy kapłanami...

Zamyślił się, po czym dodał:

— I wiesz... Mimo że jestem wtedy szczęśliwy, to... trudno mi to wyjaśnić... ale za każdym razem, gdy się budzę, mam świadomość, że to nie jest dobry sen — uśmiechnął się smutno.
— Bywaj, chłopcze. Do jutra. Niech cię Bóg prowadzi.

*

Gdy znalazł się znów w Krasnobrodzie, raz jeszcze sięgnął do notatek Witka. Włączył górne światło w aucie i przejrzał

pierwsze strony brulionu. Znalazł poszukiwany fragment, a potem wysiadł z samochodu i zapytał młodą kobietę o drogę do klasztoru dominikanów.

Pięć minut później był na miejscu.

W przyklasztornym kościele akurat skończyła się Liturgia Wigilii Paschalnej. Ludzie niespiesznie rozchodzili się do domów, by tam oczekiwać mającego nastąpić nazajutrz zmartwychwstania.

Kiedy wszedł do wnętrza świątyni, nikogo nie zobaczył. Z zakrystii dobiegały odgłosy krzątania po zakończonym nabożeństwie. Miał nadzieję, że nie zauważą go, zajęci swoimi sprawami.

Odszukał wzrokiem cudowny obraz, podszedł do niego i na wszelki wypadek raz jeszcze rozejrzał się wokół, wyjął z kieszeni różaniec należący niegdyś do Pauliny i umieścił go poniżej obrazu, pośród ryngrafów, sznurów koralu i innych wotywnych darów.

Zwykle są to przedmioty dziękczynne, ale Adam wiedział, że często składa się je też w jakiejś intencji. Miał się o co modlić, więc uklęknął przed obrazem. Nie słyszał wychodzących ministrantów ani księdza, który przysiadł na jednej z ławek i czekał, aż ostatni wierny zakończy swoją rozmowę z Bogiem.

Siedział tak dobrych czterdzieści minut, aż wreszcie Nawrot przeżegnał się i wstał.

— Szczęść Boże — odezwał się do duchownego. — Długo ksiądz czeka?

— Jakiś czas, ale to nic nie szkodzi. Jeśli pan skończył, pora zamykać kościół.

— Dziękuję. Wesołego Alleluja.

— I panu również.

„Nie będzie wesołe, proszę księdza” — pomyślał Nawrot, ale przed wyjściem nie odezwał się już ani słowem.

*

Jeszcze siedząc w samochodzie Adam dochodził do siebie po długiej, wyczerpującej modlitwie. Mimo że był od zawsze zdeklarowanym i praktykującym katolikiem, zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że nie wszystkie prośby zostają wysłuchane. Przeczuwał, że podobnie będzie w tym wypadku, lecz mimo to kilkadziesiąt minut spędzonych na rozmowie z Bogiem pomogło mu się wyciszyć i z większym spokojem przyjąć to, co się stało z Witkiem.

Od poprzedniego dnia nic nie jadł, ale nie czuł głodu. Chciało mu się bardzo pić, a ponieważ spodziewał się, że trudno będzie znaleźć jakiś otwarty sklep, postanowił odszukać cudowne źródło i przy nim ugasić pragnienie.

Niedługo potem ruszył w kierunku Guciowa.

*

Wież wyglądała na wymarłą. Na przebiegającej przez nią drodze nie widać było żywego ducha.

Sam się sobie dziwił, że miał nadzieję na nocleg w pokoju gościnnym gospodarstwa Stanisławskiego. Brama zamknięta była na głucho, a w zabudowaniach nie paliło się żadne światło.

„Mógłbym wrócić do domu, w którym zostawiłem Jaśka i innych, pewnie by mnie tam jakoś przenocowali, a jutro znów bym tu przyjechał” — pomyślał, lecz natychmiast odrzucił ten pomysł.

Po pierwsze, nie chciał sprawiać kolejnego kłopotu księdzu, który i tak wykazał już wystarczająco dużo dobrej woli. Poza tym nie mógł sobie pozwolić na ryzyko, że coś się stanie i nie uda mu się pojawić tu w Wielkanoc na czas. Wystarczyłaby usterka auta, a zamierzenia Adama ległyby w gruzach.

Nie wyobrażał sobie, że może go nie być w południe w okolicy Słonecznej Doliny. Wiedział, że może to głupie, ale czuł, że musi tam być ze względu na przyjaciela.

Wjechał na rozległy parking, leżący naprzeciw zagrody i zgasił silnik.

Czekała go kolejna noc spędzona w samochodzie.

*

Obudził go cichy szmer drobnego deszczu, bębniącego o dach samochodu.

Spojrzał na zegarek i ze zdziwieniem stwierdził, że już minęła siódma.

W nocy długo nie mógł zasnąć. Cały czas myślał o Witku i o tym, co się z nim dzieje. Gdy wreszcie zasnął, spał tak twardo, że nie obudziły go nawet odgłosy przejeżdżających drogą samochodów.

Ludzie spieszyli się na mszę. Pomyślał, że i on weźmie w niej udział. Do południa było jeszcze sporo czasu.

Nie wiedział, gdzie jest kościół, więc postanowił po prostu pojechać za sznurem samochodów i w ten sposób trafił do celu.

Msza rozpoczęła się o ósmej i trwała ponad półtorej godziny. Adam wyraźnie odróżnił się od pozostałych wiernych, z których wielu, zamiast się modlić, kątem oka obserwowało nieznanego w dzinsach, ciężkich, nieco ubłoconych butach i sportowej kurtce.

Było mu wszystko jedno; nigdy nie przywiązywał wagi do drobiazgów, takich jak obowiązkowy odświętny ubiór.

*

Kiedy ponownie zjechał na znajomy parking, była dokładnie dziesiąta.

Zapytał kogoś o najkrótszą drogę do Słonecznej Doliny, a potem znów schował się przed mżawką w ciepłym zaciszu swojego fiata.

Według zapewnienia miejscowych, przez górujący nad wsią podłużny garb, można się do niej dostać w niecałe pół godziny.

Pokazali oni też miejsce, w którym od asfaltu odbija prowadząca tam ścieżka, więc Adam mógł przeczekać w samochodzie.

Coraz bardziej się bał.

*

Dwadzieścia po jedenastej pozamykał samochód i wyruszył w drogę.

Wiedząc, że ma kilka minut zapasu, nie spieszył się podchodząc pod wyniesienie terenu. Buty ślizgały się na błocie i mokrej trawie, a deszcz zalewał oczy. Adam pożałował, że nie przypiął do nieprzemakalnej kurtki kaptura i zaraz potem gorzko się uśmiechnął do samego siebie.

„Pomyśl lepiej o Witku, głąbie, a nie o tym, że ci deszcz pada na głowę. On z pewnością wiele by dał, żeby mieć tylko takie zmartwienia...” — zganiał się w duchu.

*

Mieszkańcy Guciowa, z którymi rozmawiał, chyba zbyt optymistycznie ocenili czas przejścia, bo dziesięć minut przed południem do przełamania grzbietu wciąż miał spory kawałek. Musiał przyspieszyć kroku.

Wreszcie po raz pierwszy zobaczył ją z góry.

Mimo że niewidoczna jeszcze w całej okazałości, Słoneczna Dolina prezentowała się imponująco nawet pomimo mżawki i mgły, spowijającej dno obszernej niecki. Wokół nie było słychać śpiewu ptaków, które najwyraźniej tego ranka wołały schronić się przed deszczem.

Spojrzał na zegarek. Do południa pozostały dwie minuty.

Postanowił przejść jeszcze kawałek, by obejrzeć Słoneczną w całej okazałości. Zaslaniało mu niewielkie wyniesienie terenu i właśnie na jego szczycie zamierzał przystanąć.

Nie zdążył jednak przed dwunastą, więc zatrzymał się trochę wcześniej i wstrzymał oddech. Przez cały ten czas, który minął

od momentu, gdy zapoznał się z zawartością brulionu, zastanawiał się, czy zdoła usłyszeć strzał.

Adam patrzył na najmniejszą wskazówkę zegarka, która za chwilę miała się zrównać z pozostałymi.

Gdy to się stało, nie usłyszał nic, poza krzykiem kruka, zataczającego kręgi nad widocznym w oddali lasem.

Ptaka odzywał się od czasu do czasu, ale do jego metalicznego zaśpiewu po chwili dołączył jeszcze jeden dźwięk. Początkowo nieśmiały, niemal na granicy słyszalności, a później coraz mocniejszy.

Od Słonecznej Doliny dobiegał odgłos bijącej sygnaturki.

— Boże Świąty! — szepnęła Nawrot i nie zastanawiając się, biegiem ruszył do przodu.

Zza widocznego przed nim podwyższenia terenu wyłonił się czubek zieleniejącego już lekko drzewa. Chwilę później Adam zobaczył całą koronę rozłożystej czereśni. Był pewien, że to ta sama, o której pisał jego przyjaciel.

Z mglistego dna doliny rozlegało się miarowe bicie dwóch dzwonów.

„Świąty Józef” odezwał się jako ostatni.

Rozdział ostatni

1.

Sam się sobie dziwię, że mam ochotę pisać.

Może to przez to, że nie mam się do kogo odezwać?

W każdym razie zostało mi jeszcze kilka kartek po drugim brulionie Rafała. Te, które były zapisane, zszyłem dratwą, którą Katarzyna przyniosła z domu, i dałem Jaškowi. Ciekawie to wyglądało. Zastanawiam się, czy Adam zdążył już wszystko przeczytać. Zakładam, że tak, bo tak mi wygodniej.

Człowieka łatwiej zabić, niż odebrać mu nadzieję.

Czy ja to piszę dlatego, że mam nadzieję? Nie sądzę. Jestem tu tak bardzo sam, że nawet ona do mnie nie zagłada.

Bardziej luję się, że ktoś to kiedyś przeczyta. Podobnie jak rozbitek, który wkłada list do butelki, a potem rzuca go na wodę w nadziei...

Ja w kółko o tym samym. Moja nadzieja stoi w kącie zakrystii i jest naładowana jednym starannie wybranym nabojem. Wybrałem taki, który najbardziej się błyszczał. Istne чудо!

Która to jest? Piętnaście po siódmej. Jeszcze cztery i trzy czwarte godziny. Potem będzie po wszystkim. Wbrew wcześniejszym planom zrobiłbym to wcześniej, ale miałem sen. Sen pachnący tytoniem. Ale po kolei...

A właśnie! Może ja piszę dlatego, że dzięki temu czas do południa mi szybciej zleci? Zajmę czymś myśli i jakoś zleci.

Tak, to bardzo prawdopodobne.

2.

Odprowadziłem ich do drogi. Byliśmy dość wcześnie i rozmowa się jakoś nie kleiła. Trudno się żegnać, gdy się wie, że NA PEWNO widzi się kogoś po raz ostatni. Brakuje sensownych słów. Bezsensownych zresztą też.

Dobrowolski nam nie przeszkadzał.

W ostatniej chwili Jasiak chciał mi zostawić różaniec, ale odmówiłem, twierdząc, że może w „tamnym świecie” przyda się bardziej.

W sumie to prawdopodobne, bo tutaj nie byłby do niczego potrzebny.

Gdy zaczęły dzwonić, ruszyliśmy do przodu razem i — przysięgam — widziałem światło księżyca. Naprawdę! Jasne plamy między drzewami i takie srebrne smugi. Mam wrażenie, że gdzieś tam w oddali majaczył też kanciasty zarys bryły samochodu.

Wtedy się zatrzymałem i zacząłem biec w przeciwną stronę. Nie chciałem, żeby przeze mnie im się nie udało. No i udało im się. Chyba. W każdym razie zniknęli ze świata, który przez dziesięciolecia był ich pułapką. Mam nadzieję, że trafili tam, gdzie zamierzali.

Gdy było po wszystkim, polazłem na Czarny Wygon. Tego szurniętego klechy już się nie bałem, bo miałem karabin, i byłem przekonany, że z bliskiej odległości będę potrafił sobie jakoś poradzić. Kręciłem się tam, pohukiwałem, wyzywałem

Dobrowolskiego od najgorszych, ale się nie pojawił. Może bał się, że nie da mi rady jedną ręką?

Przerwałem na chwilę i znów naląłem trochę do kubeczka. Znalazła się jedna butelczynka u Grelów. Tak mi się wydawało, że gdzieś tam jeszcze powinna być. Stała tak sobie sama przez tyle czasu...

Już wczoraj miałem na nią chrapkę, ale pomyślałem, że będzie na święta. No i jest. „Chrystus zmartwychwstał, zdrowia!”

O czym ja tu... Aha. No i nigdzie go nie było, więc pomyślałem, że jeszcze raz tam pójdę w dzień.

Wracałem do kościoła normalnie, drogą. Za bardzo to mi się nie spieszyło do towarzystwa, które na mnie czekało. Szczerze mówiąc, zastanawiałem się, czy nie zostać na dworze do świtu.

Przechodząc obok ruin domu Komisarczuków, usłyszałem jakiś głos. Właściwie głosik. Poszedłem w tamtą stronę. Anielka błąkała się po podwórzu, z płaczem wołając tatę i mamę. Gdy mnie zobaczyła tymi swoimi ślepymi oczyma, zaczęła do mnie iść, ciągle pytając o rodziców. Na wszelki wypadek wycelowałem w nią karabin. Nie wyglądało to najlepiej, wiem, ale bałem się jej. Naprawdę się bałem, tym bardziej że mogła to być jakaś sztuczka „Pana Jednorekiego Bandyty”.

Obiecałem, że ją do nich zaprowadzę, i kazałem iść przede mną do domu Grelów. Zanim zamknąłem Anielkę w tej samej spizarni, w której kiedyś więziliśmy jej rodziców, zapytałem, jak tu trafiła. Powiedziała, że „przez górkę” i że „przeprowadził ją tamtędy taki mały chłopczyk”.

Okazało się, że „przez górkę”, to znaczy koło czereśni, przy której zakopana była Paulina.

I wtedy zapaliło mi się ostrzegawcze światełko. Zacząłem zastanawiać się, czy aby Dobrowolski nie wywinął jakiegoś głupiego numeru. Tak się wcześniej przyzwyczailiśmy do myśli,

że do „mojego świata” lub stamtąd można się wydostać tylko drogą, że nie przyszło nam do głowy, że mogą być też inne możliwości. Mało tego — być może istnieje coś takiego, jak granica okalająca Starzyznę i można ją przekroczyć w dowolnym miejscu, byleby wtedy tylko były dzwony. Nie spodobała mi się ta myśl.

Chlup.

Zostawiłem małej siennik, żeby mogła spokojnie i wygodnie zasnąć, zamknąłem ją od zewnątrz, a potem poszedłem do kościoła.

Sto razy wolałbym nocować w domu Grelów, ale wtedy mógłbym zostać zaskoczony we śnie. W sumie niewiele by to zmieniło, ale obawiałem się bólu. Nie wiedzieć czemu, miałem niejasne przeczucie, że Dobrowolski mógłby mi zechcieć trochę go zadać, więc jednak spędziłem tę noc w zakrystii.

Nie było to przyjemne, bynajmniej, ale na szczęście dość szybko udało mi się zapaść w sen.

Najgorszy był poranek i niepewność, co się dzieje z Anielką. Cholera, mimo wszystko nie chciałem strzelać do małej dziewczynki, a jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że tak właśnie będzie dla niej najlepiej. Byłbym o wiele bardziej okrutny, zostawiając ją tutaj samą albo — co gorsza — z tym świrem w kapturze.

Całe szczęście spała w podobnej pozie do Nich wszystkich. Na plecach, wpatrując się białkami oczu w sufit.

Zrobiłem więc to, co uznałem za najlepsze. Wziąłem ją na rękę i przeniósłem do kościelnego przedsionka. Gdy ostygła i znów mogłem jej dotknąć, otworzyłem wieko, a raczej drzwi szafy Albina, i ułożyłem małe ciało pomiędzy rodzicami.

Pewnie, że zastanawiałem się, kim był ten „mały chłopiec”, który przyprowadził ją do Starzyzny „przez górkę”.

Chyba wiem, kto to był. Właśnie się do niego wybieram.

Może jeszcze kapinkę. Tak na odwagę.

Potem pokuśtykałem na Wygon i spędziłem tam resztę dnia. Najpierw się ukryłem jak tygrys i przyciałem jak smok. No i całe gówno to dało, bo Dobrowolskiego ani widu, ani słychu.

No to znów zacząłem łązić, ale też nic z tego.

Naprawdę. Coś mi tu śmierdzi.

We śnie rozmawiałem z dziadkiem Frankiem. Powiedział, że Krzyś prosił, aby mi przekazać, że jest ze mnie dumny. Podziękowałem grzecznie, ale niezbyt wylewnie, wiedząc, że jeśli to prawda, to Krzyś wkrótce będzie miał okazję powiedzieć mi to osobiście.

Szczerze mówiąc, nie mogłem się już doczekać, więc postanowiłem, że nie będę tu siedział po próżnicy aż do wielkanocnego południa. No i wtedy dziadek Franek zepsuł całą zabawę, bo dodał, że jeśli ta historia z moim pobytem przyniosła jakieś pozytywne skutki, to w południe powinny zacząć bić dzwony.

W sumie jestem ciekawy, więc zamierzam wytrzymać jeszcze trochę.

Co mi tam.

No i wstałem rano, ukląknęłam pośród nieżywych i zacząłem się modlić. Trochę za nich, trochę za Krzysia, za Jaśka i resztę, za Adama, Rafała i małą Paulinkę. Za dziadka Franka też się modliłem.

No i za Dobrowolskiego długo się modliłem. Żeby go szlag jasny trafił jak najszybciej.

No, to chyba w zasadzie tyle...

Alleluja i do przodu!

3.

Już myślałem, że nie zdążę, lecz jednak jakimś cudem udało mi się tu przywlec. Mam niezłe w czubie i trochę się nogi płątały, ale dałem radę.

Z tą czereśnią to jakaś dziwna historia.

Od strony Starzyzny ziemia wokół niej jest rozkopana, a od strony Guciowa w ogóle nie widać śladów po naszym (a właściwie moim, bo to, co kopał Jasiak, i tak następnego dnia było jak dawniej) ryciu szpadlami.

W dodatku zaczęło mżyć. Wydaje mi się, że po drugiej stronie czereśni w ogóle nie pada... Chyba jestem już niezłe narzany.

Usiadłem na mokrej trawie, bo tu wygodniej. To co, że trochę zmoknę. I tak się nie zdążę już rozchorować.

Pomyślałem, że jeszcze raz popatrzę z góry na dolinę, a gdyby te dzwony rzeczywiście miały zamiar bić, to tutaj będzie dobrze słycać, jak niesie się po lasach. Przy towarzyszeniu takiej muzyki, to i nie żal umierać. Tym bardziej że być może dziadek Franek się nie mylił.

Usłyszałem je, jak dochodziłem do czereśni.

To było ledwie chwilę temu, jakieś cztery minuty może...

Wyćwiczyłem już wcześniej „na sucho” celowanie z karabinu we własne podniebienie i równoczesne pociąganie za spust.

Właściwie mogę napisać, że jestem w tym mistrzem.

Trwa to ułamek sekundy.

Zaraz potem, jak usiadłem, miałem lufę między zębami, tyle że... Wydało mi się, że słyszę jakiegoś ptaka. Coś trochę jak gawron, ale trochę jakby inaczej.

Wiem, że to omamy, bo niby skąd tu ptak, ale były tak miłe, że odłożyłem karabin z nadzieją, że znów mi się to przywidzi.

Nie wiem, po jaką cholere zabralem ze soba kartki, ale skoro juz sa, to pisze. Troche deszcz rozmazuje litery, no ale przeciez i tak nikt tego nie bedzie czytala.

Dziwny gawron juz sie nie odzywa, wiec pora sie zbierac.

W sumie szkoda, ze nikt tego nie przeczyta... Wprawdzie wypadaloby to moze troche preredagowac, ale zakonczenie drugiej ksiazki o Czarnym Wygonie (o ile w ogole powstala pierwsza), bylyby calkiem nie od rzeczy.

No ale nie bedzie.

Chodz tu, maleniki.

Pora sie zbierac...

Przemysl, II pazdziernika 2010 r.

Spis treści

Przedmowa	7
Podziękowania	9
Prolog	11
Rozdział pierwszy	16
<i>Starzyzna</i>	57
Rozdział drugi	66
<i>Starzyzna</i>	94
Rozdział trzeci	123
<i>Starzyzna</i>	170
Rozdział czwarty	179
<i>Starzyzna</i>	184
Rozdział piąty	189
<i>Starzyzna</i>	200
Rozdział szósty	224
<i>Starzyzna</i>	240
Epilog	247
Rozdział ostatni	265